

# Roger Zelazny

## ZNAK JEDNOROŽCA



**Roger Zelazny**

**Znak Jednorożca**

# Rozdział 1

---

Zignorowałem pytające spojrzenie stajennego. Zdjąłem z siodła złowieszczy pakunek i zostawiłem konia do przeglądu i obsługi technicznej. Płaszcz nie mógł ukryć charakterystycznego kształtu tłumoka, gdy przerzucałem go przez ramię i człapałem w stronę tylnej bramy pałacu. Piekło miało już, wkrótce zażądać swojej zapłaty.

Minąłem plac ćwiczeń i ruszyłem ścieżką wiodącą na południowy kraniec pałacowych ogrodów. Mniej tu było ciekawskich oczu. I tak ktoś mnie zauważył, ale będzie to mniej kłopotliwe, niż gdybym wchodził od frontu, gdzie zawsze trwała krzątania. Niech to diabli!

I jeszcze raz: niech to diabli! Co do kłopotów, uważałem, że mam ich aż nadto. No cóż, ci, którzy je mają, otrzymują jeszcze więcej. Pewnie to jakaś forma duchowego procentu składanego.

Kilku spacerowiczów stało obok fontanny przy końcu ogrodu. Paru strażników patrolowało krzaki w pobliżu ścieżki. Dostrzegli mnie, rozmawiali chwilę, po czym spojrzeli w inną stronę. Dyskretni.

Wróciłem niecały tydzień temu. Większość spraw nadal czekała na załatwienie. Dwór Amberu pełen był podejrzeń i niepokojów. I jeszcze to: nagły zgon, by jeszcze bardziej zagrozić krótkiemu, nieszczęśliwemu wstępnemu okresowi panowania Corwina I. Czyli mojemu.

Nadeszła pora, by wziąć się za to, co powinienem załatwić na samym początku. Ale wciąż miałem tyle ważnych spraw. Nic, żeby coś przeoczył. Po prostu wyznaczyłem sobie priorytety i trzymałem się ich. Teraz jednak...

Przeszedłem przez ogród, z cienia w blask skośnych promieni słońca. Wszedłem na szerokie, kręcone schody. Wartownik stanął na baczność, kiedy wkraczałem do pałacu. Dotarłem do tylnych schodów, wspiałem się na piętro, potem na drugie. Z prawej strony, ze swoich apartamentów, wyłonił się mój brat, Random.

– Corwinie! – zawołał, obserwując moją twarz. – Co się stało? Zobaczyłem cię z balkonu i...

– Wejźmy – wskazałem wzrokiem drzwi. – Musimy porozmawiać. Natychmiast.

Zawahał się, spoglądając na mój bagaż.

– Dwa pokoje dalej – zaproponował. – Dobra? Tutaj jest Vialle.

– W porządku.

Poszedł przodem i otworzył przede mną drzwi. Wszedłem do niewielkiego saloniku, poszukałem odpowiedniego miejsca i zrzuciłem zwłoki.

Random patrzył na toból.

– Co mam zrobić? – zapytał.

– Odpakuj – poleciłem. – I przyjrzyj się dokładnie.

Przyklęknął i rozwiązał płaszcz. Odchylił róg.

– Trup – stwierdził. – W czym problem?

– Miałeś się przyjrzeć dokładnie. Odsuń mu powiekę. Otwórz usta i zbadaj zęby. Dotknij grzebieni na wierzchu dłoni. Policz stawy palców. A potem pogadamy o problemach.

Zabrał się do wykonywania moich poleceń, ale kiedy obejrzał ręce, przerwał i kiwnął głową.

– Zgadza się – oświadczył. – Przypominam sobie.

– Przypomnij sobie głośno.

– To było u Flory...

– Wtedy po raz pierwszy zobaczyłem kogoś takiego – powiedziałem. – Ale to ciebie ścigali. Nigdy się nie dowiedziałem, dlaczego.

– To prawda – przyznał. – Nie miałem okazji, żeby ci o tym opowiedzieć. Nie byliśmy razem dostatecznie długo. To dziwne... Skąd on się tutaj wziął?

Zawahałem się, niepewny, czy najpierw wysłuchać jego historii, czy opowiedzieć moją. Moja wygrała, ponieważ była moja, a poza tym dość pilna.

Westchnąłem i opadłem na krzesło.

– Właśnie straciliśmy kolejnego brata – oznajmiłem. – Caine nie żyje. Dotarłem na miejsce odrobinę za późno. To coś... ten stwór... to zrobił. Z oczywistych powodów chciałem go dostać żywego. Ale bronił się zaciekle. Nie miałem wyboru.

Gwizdnął cicho i usiadł naprzeciwko mnie.

– Rozumiem – mruknął niemal szeptem.

Obserwowałem jego twarz. Czy mi się zdawało, czy naprawdę najdelikatniejszy z uśmiechów czaił się w kącikach ust, by pojawić się i spotkać z moim uśmiechem? Całkiem możliwe.

– Nie – stwierdziłem zdecydowanie. – Gdyby było inaczej, zorganizowałbym wszystko tak, by moja niewinność nie budziła wątpliwości. Mówię ci, jak było naprawdę.

– Zgoda – odparł. – Gdzie jest Caine?

– Pod warstwą ziemi w Gaju Jednorożca.

– Miejsce budzi podejrzenia. Albo niedługo zacnie. Wśród innych.

Kiwnąłem głową.

– Wiem. Ale musiałem schować ciało i czymś je na razie przykryć. Nie mogłem przecież przynieść go tutaj i od razu wpaść w ogień pytań. Zwłaszcza że czekały na mnie pewne ważne odpowiedzi. W twojej głowie.

– Dobra – stwierdził. – Nie wiem, jak są ważne, ale należą do ciebie. Tylko nie trzymaj mnie w niepewności. Jak do tego doszło?

– Zaraz po lunchu – odparłem. – Jadłem w porcie, z Gerardem. Potem Benedykt ściągnął mnie z powrotem przez Atut. U siebie w pokoju znalazłem wiadomość, którą ktoś musiał wsunąć pod drzwiami. Miałem się udać na spotkanie do Gaju Jednorożca, po południu. Kartka była podpisana "Caine".

– Masz ją jeszcze?

– Tak – wyciągnąłem skrawek papieru z kieszeni i podałem mu. – O, proszę.

Studiował go przez chwilę, po czym potrząsnął głową.

– Sam nie wiem. To mogłoby być jego pismo... gdyby się spieszył. Ale nie sądzę.

Wzruszyłem ramionami. Odebrałem kartkę, zwinąłem i odłożyłem na bok.

– Wszystko jedno. Próbowałem się z nim skontaktować przez Atut, żeby zaoszczędzić sobie jazdy, ale nie odbierał. Pomyślałem, że jeśli sprawa jest aż tak ważna, to pewnie chce zachować w tajemnicy miejsce swego pobytu. Więc wziąłem konia i pojechałem.

– Czy mówiłeś komuś, dokąd jedziesz?

– Nikomu. Uznałem jednak, że koniowi przyda się trochę ruchu, więc kłusowałem w niezłym tempie. Nie widziałem, jak to się stało, ale zobaczyłem Caine'a, gdy tylko dotarłem do lasu. Miał poderżnięte gardło, a kawałek dalej coś się ruszało w krzakach. Dogoniłem tego faceta, skoczyłem na niego, walczyliśmy, musiałem go zabić. W tym czasie nie prowadziłem konwersacji.

– Jesteś pewien, że złapałeś właściwą osobę?

– Jak tylko można być pewnym w takich okolicznościach. Jego ślady prowadziły do Caine'a. Miał świeżą krew na ubraniu.

– Mogła być jego własna.

– Przyjrzyj mu się. Żadnych ran. Skręciłem mu kark. Przypomniałem sobie, oczywiście, gdzie

widziałem podobnych, więc przyniosłem go wprost do ciebie. Zanim mi o tym opowiesz, jeszcze jedno, żeby zamknąć sprawę. – Wyjąłem z kieszeni drugą wiadomość. – Ten stwór miał przy sobie to. Uznałem, że zabrał Caine'owi.

Random przeczytał, skinął głową i oddał mi kartkę.

– Od ciebie do Caine'a z prośbą o spotkanie. Tak, rozumiem. Nie muszę chyba pytać...

– Nie musisz pytać – dokończyłem. – I rzeczywiście przypomina to trochę mój charakter pisma.

Przynajmniej na pierwszy rzut oka.

– Ciekawe, co by się stało, gdybyś przed nim dotarł na miejsce.

– Pewnie nic – odparłem. – Wydaje się, że chcieli mnie żywego i skompromitowanego. Sztuka polegała na ściągnięciu nas tam we właściwej kolejności, a nie jechałem tak szybko, by zdążyć na pierwszy akt.

Przytaknął.

– Biorąc pod uwagę wąski margines czasu – powiedział – to musi być ktoś stąd, z pałacu. Masz jakieś sugestie?

Parsknąłem i sięgnąłem po papierosa. Zapaliłem go i parsknąłem jeszcze raz.

– Dopiero co wróciłem. Ty byłeś tu przez cały czas – zauważyłem. – Kto ostatnio nienawidzi mnie najbardziej?

– To kłopotliwe pytanie, Corwinie – stwierdził. – Każdy tutaj ma coś przeciwko tobie. Normalnie stawiałbym na Juliana, ale on do tego nic pasuje.

– Dlaczego nie?

– Przyjaźnili się z Caine'em. Już od lat. Popierali się nawzajem, chodzili razem. Znana sprawa. Julian jest zimny, małostkowy i tak samo złośliwy, jak za dawnych czasów. Ale jeśli kogokolwiek lubił, to właśnie Caine'a. Nie sądzę, żeby go zabił, nawet po to, by ci zaszkodzić. W końcu, gdyby tylko o to mu chodziło, mógłby znaleźć wiele innych sposobów.

Westchnąłem.

– Kto następny?

– Nie wiem. Po prostu nie wiem.

– No dobrze. Jak, twoim zdaniem, na to zareagują?

– Jesteś przegrany, Corwin. Cokolwiek powiesz, i tak każdy uzna, że ty to zrobiłeś.

Skinąłem głową w stronę trupa. Random wzruszył ramionami.

– To może być jakiś biedak, którego ściągnąłeś z Cienia, żeby zrzucić na niego winę.

– Owszem – przyznałem. – Zabawna rzecz. Wróciłem do Amberu w idealnym czasie, żeby zająć pozycję dającą przewagę.

– Najlepszy możliwy moment – zgodził się Random. – Nie musiałeś nawet zabijać Eryka, by zdobyć to, co chciałeś. Szczęśliwy zbieg okoliczności.

– To fakt. Ale wszyscy wiedzą, po co tu przybyłem. Jest tylko kwestią czasu, by moi żołnierze – cudzoziemcy, specjalnie uzbrojeni i zakwaterowani tutaj – zaczęli budzić niechęć. Jak dotąd, ratuje mnie przed tym jedynie zewnętrzne zagrożenie. Dochodzą jeszcze podejrzenia o czyny, których miałbym dokonać przed powrotem, choćby zamordowanie sług Benedykta. A teraz jeszcze to...

– Owszem – przyznał Random. – Pomyślałem o tym, gdy tylko mi powiedziałaś. Kiedy dawno temu zaatakowaliście razem z Bleysem, Gerard usunął ci z drogi – część floty. Caine natomiast wprowadził swoje okręty do walki i powstrzymał cię. Teraz, kiedy zginął, powierzysz pewnie Gerardowi dowództwo marynarki.

– Komu innemu? Jest jedynym, który się na tym zna.

– Mimo wszystko...

– Mimo wszystko. Zgadza się. Gdybym miał kogoś zabić, żeby umocnić swoją pozycję, logika nakazywałaby wybrać Caine'a. Taka jest prawda.

– Jak chcesz to rozegrać?

– Powiem o wszystkim, co zaszło, i spróbuję wykryć, kto za tym stoi. Masz lepsze propozycje?

– Zastanawiałem się, czy mógłbym ci zapewnić alibi. Ale nie widzę wielkich szans.

Potrząsnąłem głową.

– Wszyscy wiedzą, że jesteśmy przyjaciółmi. Jakkolwiek dobrze by to brzmiało, efekt byłby raczej przeciwny do zamierzeń.

– A myślałeś, czyby się nie przyznać?

– Myślałem. Ale obrona własna odpada. Podcięte gardło wyraźnie dowodzi, że musiał zostać zaskoczony. A nie mam ochoty na jedyną alternatywę: by spreparować jakieś dowody, że był zamieszany w coś paskudnego i że zrobiłem to dla dobra Amberu. Odmawiam wzięcia na siebie winy na tych warunkach. Zresztą, w ten sposób też nie uniknąłbym podejrzeń.

– Ale zyskałbyś opinię twardego faceta.

– Nie ten rodzaj twardości jest mi potrzebny dla tego, co zamierzam. Nie, to wykluczone.

– Wyczerpaliśmy więc wszystkie możliwości. Prawie.

– Co to znaczy "prawie"?

Przymknąwszy lekko powieki zaczął się wpatrywać w paznokcie swego lewego kciuka.

– Wiesz, przyszło mi właśnie do głowy, że może jest ktoś, kogo chciałbyś usunąć ze sceny. Trzeba pamiętać, że zawsze można przesunąć kadr.

Zamyśliłem się. Dopaliłem papierosa.

– Nieglupie – stwierdziłem. – Ale aktualnie nie mam więcej zbędnych braci. Nawet Juliana. Zresztą, on jest najtrudniejszy do wkadrowania.

– To nie musi być nikt z rodziny – zauważył. – Mamy całą masę szlachty z możliwymi motywami.

Wormy sir Reginalda...

– Daj spokój, Random. Przekadrowanie też odpada.

– Jak chcesz. W takim razie moje małe, szare komórki wyczerpały się zupełnie.

– Mam nadzieję, że nie te, które odpowiadają za pamięć.

Westchnął. Przeciągnął się. Wstał, przestąpił nad trzecim obecnym w pokoju i podszedł do okna. Rozsunął zasłony i przez długą chwilę wyglądał na zewnątrz.

– Jak chcesz – powtórzył. – To długa opowieść...

Po czym zaczął głośno wspominać.

## Rozdział 2

---

Wprawdzie seks zajmuje czołową pozycję na bardzo wielu listach osobistych upodobań, ale w przerwach wszyscy mamy jakieś ulubione zajęcia. U mnie, Corwinie, to gra na perkusji, loty i hazard, bez wyraźnie zaznaczonej kolejności. No, może latanie ma pewną przewagę – szybowce, balony oraz niektóre inne odmiany – ale jest to kwestią nastroju i gdybyś zapytał mnie kiedy indziej, mógłbym wybrać coś innego. Zależy, na co akurat miałbym największą ochotę.

Do rzeczy. Kilka lat temu przebywałem tutaj, w Amberze. Nie robiłem nic specjalnego. Wpadłem w odwiedzin i tylko przeszkadzałem. Tato był jeszcze na miejscu i kiedy zauważyłem, że zaczyna ulegać tym swoim humorom, uznałem, że nadeszła pora na wycieczkę. Długą. Już dawno stwierdziłem, że jego sympatia dla mnie wzrasta wprost proporcjonalnie do dzielącej nas odległości. Na pożegnanie podarował mi piękną szpicrutę. Pewnie chciał przyspieszyć wybuch tej sympatii. Ale szpicruta była znakomita, przeplatana srebrem i pięknie obrobiona. Bardzo mi się przydała. Postanowiłem wyruszyć na poszukiwanie jakiegoś niewielkiego zakątka Cienia, gdzie miałbym do dyspozycji pełen zestaw moich prostych przyjemności.

Jazda trwała długo – nie będę cię zanudzał szczegółami – i znalazłem się daleko od Amberu, jak to zwykle bywa. Tym razem nie szukałem miejsca, gdzie byłbym kimś szczególnie ważnym. Po pewnym czasie staje się to nudne albo kłopotliwe, zależy, jak bardzo chcesz być odpowiedzialnym. Miałem ochotę być nieodpowiedzialnym nikim i zwyczajnie się bawić.

Texorami było otwartym miastem portowym, z upalnymi dniami, długimi nocami, dobrą muzyką, kartami do świtu, pojedynkami co rano i bójkami dla tych, którzy nie mogli się doczekać. A prądy powietrzne zdarzały się tam jak w bajce. Miałem małą, czerwoną lotnię i latałem na niej co parę dni. To były dobre czasy. Wieczorami grałem na perkusji w knajpie, w podziemiach nad rzeką, gdzie ściany pociły się prawie tak mocno jak klienci, a dym spływał po lampach jak strużki mleka. Kiedy miałem dość, szukałem jakiejś atrakcji, zwykle kart lub kobiet. I tym się zajmowałem przez resztę nocy. Nawiasem mówiąc, niech piekło pochłonie Eryka. Przypomniałem sobie... Kiedyś zarzucił mi, że oszukuję przy kartach. Wyobrażasz sobie? To jedyne, przy czym bym nigdy nie oszukiwał. Grę w karty traktuję poważnie. Jestem dobry, a przy tym mam szczęście, w obu przypadkach przeciwnie niż Eryk. Problem w tym, że był doskonały w wielu dziedzinach i nie potrafił przyznać, że można coś robić lepiej od niego. Jeśli wygrywałeś z nim w cokolwiek, to znaczy, że oszukiwałeś. Pewnej nocy zaczął dość nieprzyjemną kłótnię na ten temat i mogła z tego wyjść poważna historia, ale Gerard i Caine nas rozdzielili. Trzeba Caine'owi przyznać, że stanął wtedy po mojej stronie. Biedaczysko... Paskudna śmierć, nie uważasz? To jego gardło... No tak, więc siedziałem w Texorami, grałem, zdobywałem kobiety, wygrywałem w karty i fruwałem po niebie. Palmy i rozkwitające nocą powoje. Wiele dobrych, portowych zapachów: przyprawy, kawa, smoła, sól... sam wiesz. Szlachta, kupcy, robotnicy – te same grupy, co w wielu innych miejscach. Marynarze i podróżni wszelkiej maści, przybywający i odpływający. I faceci podobni do mnie, żyjący na krawędzi tego świata. Spędziłem w Texorami trochę ponad dwa lata i byłem szczęśliwy. Naprawdę. Z nikim się specjalnie nie kontaktowałem, co jakiś czas wysyłałem tylko przez Atuty coś w rodzaju pocztówek i właściwie nic więcej. Prawie nie myślałem o Amberze. Wszystko to zmieniło się pewnej nocy, kiedy siedziałem z fulem w rękę, a klient naprzeciw mnie usiłował zgadnąć, czy blefuję.

Wtedy Walet Karo odezwał się do mnie.

Tak, właśnie tak to się zaczęło. Zresztą, byłem w dość niezwykłym stanie ducha. Dostałem kilka

ostrzych rozdań i wciąż byłem trochę podekscytowany. Dodaj do tego zmęczenie po długich lotach i niewiele snu poprzedniej nocy. Później uznałem, że musi to być jakieś skrzywienie psychiki, które sprawia, że tak właśnie reaguję, gdy ktoś próbuje się ze mną skontaktować, a ja mam w ręku karty – jakiegokolwiek karty. Zwykle, oczywiście, odbieramy wiadomość bez żadnych przyrządów, chyba że to my nadajemy. Możliwe, że to moja podświadomość w owej chwili dość rozluźniona – z przyzwyczajenia zaczęła kojarzyć kontakt z aktualną sytuacją. Miałem powody, żeby się potem nad tym zastanawiać.

Walec powiedział:

– Random... – Potem jego twarz rozmyła się i dokończył: – Pomóż mi. Wtedy zacząłem już wyczuwać osobowość, ale bardzo słabo. Wszystko było bardzo słabe. Potem twarz nabrała wyrazistości i zobaczyłem, że miałem rację: to był Brand. Wyglądał okropnie i miałem wrażenie, że jest do czegoś przykuty czy przywiązany. – Pomóż mi – powtórzył.

– Słucham cię – odpowiedziałem. – Co się stało?

– ...więźniem – powiedział, a potem jeszcze coś, czego nie zrozumiałem.

– Gdzie? – spytałem.

Na to pokręcił głową.

– Nie mogę cię ściągnąć – stwierdził. – Nie mam Atutów i jestem za słaby. Musisz tu dotrzeć drogą okrężną...

Nie spytałem go, jak mógł ze mną rozmawiać bez Atutu. Za najważniejsze uznałem ustalenie jego miejsca pobytu. Zapytałem, jak mam go szukać.

– Przyjrzyj się dobrze – odparł. – Zapamiętaj każdy szczegół. Może tylko raz zdołam ci to pokazać. I pamiętaj, bądź uzbrojony...

Wtedy zobaczyłem pejzaż – ponad jego ramieniem. Nie wiem, przez okno czy nad blankami. Był daleko od Amberu, gdzieś tam, gdzie cienie zupełnie wariują. Dalej, niż miałbym ochotę się zapuszczać. Pustka i zmienne kolory. Płomienne. Dzień bez słońca na niebie. Skały, sunące po ziemi jak żagłówki. Brand był zamknięty w czymś na kształt wieży, małym punkcie stabilności w tym pływającym krajobrazie. Zapamiętałem wszystko dokładnie. A także jakąś istotę, owiniętą wokół podstawy wieży. Lśniącą. Pryzmatyczną. Chyba jakiegoś strażnika – był zbyt jaskrawy, by się domyślić jego kształtów czy ocenić rozmiary. Potem nagle wszystko zniknęło. A ja zostałem, wpatrzony znowu w Walec Karo, z tym facetem naprzeciwko, który nie wiedział, czy ma się wściekać, że się tak zamyśliłem, czy może martwić, że to jakiś atak.

Skończyłem grę po tym rozdaniu, wróciłem do domu, wyciągnąłem się na łóżku, paliłem i myślałem. Kiedy odjeżdżałem, Brand był w Amberze. Później jednak, gdy o niego pytałem, nikt nie wiedział, co się z nim dzieje. Miał jeden z tych swoich napadów melancholii, potem nagle mu przeszło i wyjechał. I to wszystko. Żadnych wiadomości, w żadną stronę. Nie kontaktował się i nie odpowiadał.

Usiłowałem przemyśleć wszystkie aspekty sprawy. Brand był sprytny, diabelnie sprytny; może nawet najlepszy mózg w rodzinie. Miał kłopoty i wezwał właśnie mnie. Eryk i Gerard są typami bardziej heroicznymi i pewnie ucieszyliby się perspektywą przygody. Caine wyruszyłby z ciekawości, a Julian, żeby wypaść lepiej od nas wszystkich i zarobić dodatkowe punkty u taty. No i, przede wszystkim, Brand mógł się po prostu skontaktować z tatą. On na pewno coś by wymyślił. Ale wezwał właśnie mnie. Dlaczego?

Przyszło mi do głowy, że może ktoś z pozostałych jest sprawcą sytuacji, w jakiej się znalazł. Powiedzmy, że tato zaczął go faworyzować... Wiesz, jak to jest. Czasem warto wyeliminować ulubieńca. A gdyby wezwał tatę, wyszedłby na słabeusza.



Dlatego właśnie zrezygnowałem z wzywania posiłków. Zwrócił się do mnie i całkiem możliwe, że wydałbym na niego wyrok, gdybym przekazał do Amberu informację, że zdołał nawiązać kontakt. Dobrze więc. Co powinienem robić?

Jeśli chodziło o sukcesję, a Brand wysunął się na czoło, to wyświadczenie mu przysługi wydawało się całkiem rozsądne. Jeżeli nie... Istniały liczne możliwości. Może odkrył w domu coś, o czym warto wiedzieć. Byłem też ciekaw, jak mu się udało nawiązać kontakt bez użycia Atutów. Szczerze mówiąc, właśnie ciekawość skłoniła mnie, żeby wyruszyć mu na ratunek, i to w dodatku samotnie.

Otrzeptałem z kurzu własne Atuty i spróbowałem się z nim połączyć. Bez rezultatu, jak się zapewne domyślasz. Przespałem się i rano spróbowałem jeszcze raz. Z tym samym wynikiem. Dalsze czekanie nie miało już sensu. Wyczyściłem miecz, zjadłem solidne śniadanie i włożyłem stare ubranie. Wziąłem też fotochromatyczne gogle. Nie miałem pojęcia, czy mi się tam na coś przydadzą, ale ten stwór-strażnik wydawał się potwornie błyszczący, a zawsze warto mieć jakieś dodatkowe atuty. Nawiasem mówiąc, zabrałem też pistolet. Miałem przeczucie, że nie zadziała, i rzeczywiście. Ale człowiek nigdy nie jest pewien, dopóki się sam nie przekona.

Pożegnałem się tylko z jedną osobą, znajomym perkusistą, bo wpadłem, żeby mu zostawić swoje bębny. Wiedziałem, że się nimi dobrze zaopiekuje.

Zszedłem do hangaru, wyciągnąłem lotnię, wystartowałem i złapałem odpowiedni prąd. Uznałem, że to najprostszy sposób.

Nie wiem, czy szybowałeś kiedyś poprzez Ciebie, ale... Nie? No więc, wyleciałem nad morze, aż ład stał się tylko zamgloną kreską na północy. Wody pode mną nabrały barwy kobaltu; wznosiły się i potrzęsały roziskrzonymi brodami. Wiatr się zmienił. Zawróciłem. Przemknąłem nad falami do brzegu, pod coraz ciemniejszym niebem. Kiedy znalazłem się nad ujściem rzeki, w miejscu Texorami na całe mile ciągnęło się bagno. Płynąłem na powietrznych prądach w głąb lądu, co parę chwil przelatując nad rzeką, której przybyło zakrętów i zakoli. Zniknęły pomosty, gościńce, ruch. Drzewa rosły wysoko.

Na zachodzie zbierały się chmury, różowe, perłowe i żółte. Słońce przeszło od pomarańczowego poprzez czerwień do żółci. Kręcisz głową? Widzisz, słońce było ceną za te miasta. Wyludniłem je w pośpiechu, a raczej ruszyłem szlakiem żywiołów. Na tej wysokości sztuczne budowle rozpraszałyby tylko uwagę. Odcienie i struktura są dla mnie wszystkim. O to mi właśnie chodziło, kiedy mówiłem, że szybowanie jest zupełnie inne.

Tak więc leciałem na zachód, dopóki las nie ustąpił miejsca płaszczyźnie zieleni, która szybko wyblakła, rozmyła się, zmieniła w brąz, beż, żółć. Potem jasny piasek, w brunatne plamy. Ceną za to była burza. Płynąłem w niej, jak daleko zdołałem, aż zaczęły uderzać pioruny i bałem się, że mój mały szybowiec tego nie wytrzyma. Uciszyłem tę burzę, ale w efekcie na dole pojawiło się więcej zieleni. Mimo wszystko przeleciałem w strefę lepszej pogody, mając za plecami wyraźne, jasnożółte słońce. Po pewnym czasie wytworzyłem pod sobą pustynię, nagą i falującą wydmami.

Potem słońce zmalowało i strzępy chmur przesunęły się po jego tarczy, wymazując ją po kawałku. Ten skrót zaprowadził mnie dalej od Amberu, niż bywałem ostatnimi czasy.

Wreszcie słońce zniknęło. Lecz pozostało światło, równie jasne, ale niesamowite, bezkierunkowe. Myliło wzrok, wykrzywiało perspektywę. Opadłem niżej, by ograniczyć pole widzenia. Wkrótce wynurzyły się skały i starałem się wymusić na nich zapamiętane kształty. Pojawiały się stopniowo.

W tych warunkach łatwiej było osiągnąć efekt płynnego sprzężenia, choć dokonanie tego okazało się fizycznie wyczerpujące. W dodatku pilotując lotnię nie mogłem ocenić własnej skuteczności. Opadłem niżej, niż sądziłem, i niewiele brakowało, a zderzyłbym się z jakąś skałą. W końcu jednak uniosły się dymy, a płomienie zatańczyły tak, jak je pamiętałem – bez żadnego porządku, po prostu

wybuchając tu czy tam z otworów, szczelin czy jaskiń. Barwy zaczęły wariować, dokładnie tak, jak podczas naszego krótkiego kontaktu. Wreszcie skały ruszyły z miejsca, dryfując jak żaglowce pozbawione steru tam, gdzie splata się tęcza.

Prądy powietrzne zupełnie oszalały. Kominy wznosiły się jeden za drugim, jak fontanny. Walczyłem, póki mogłem, wiedziałem jednak, że z tej wysokości nie uda mi się wszystkiego utrzymać. Wzniosłem się na sporą wysokość, zapominając o ziemi przy próbach stabilizacji lotni. Kiedy znowu spojrzałem w dół, zobaczyłem coś w rodzaju otwartych regat czarnych gór lodowych. Skały goniły się, zderzały, cofały wirując, zderzały znowu i wymijały, przesuwając się przez otwartą przestrzeń. Wtedy coś mną szarpnęło, pchnęło w dół, potem w górę – i zobaczyłem, że puszcza odciąg. Raz jeszcze przemieściłem cień i spojrzałem. W oddali wyrosła wieża, a coś jaśniejszego niż lód i aluminium czekało u jej podstawy.

Ostatnie pchnięcie widocznie załatwiło sprawę. Pojąłem to w chwili, gdy wiatr zaczął się zachowywać naprawdę paskudnie. Strzeliło kilka linek, a potem spadałem – jakbym płynął łodzią w wodospadzie. Poderwałem nos i wyrównałem trochę, tuż nad ziemią, zobaczyłem, gdzie lecę, i skoczyłem w ostatniej chwili. Lotnia rozpadła się na kawałki w zderzeniu z jednym z tych spacerujących monolitów. Bardziej odczułem jej stratę niż własne zadrapania, siniaki i guzy.

Musiałem szybko zmykać, gdyż pędził ku mnie jakiś pagórek. Obaj skręciliśmy, na szczęście w przeciwne strony. Nie miałem bladego pojęcia, co wprawia te skały w ruch, i z początku nie dostrzegałem żadnej regularności w ich trajektoriach, Grunt był czasem ciepły, a czasem bardzo gorący, a oprócz dymu i rzadkich wybuchów płomieni z rozpadlin w ziemi wydobywały się jakieś cuchnące gazy. Trasą z konieczności krętą ruszyłem ku wieży.

Długo trwało, nim tam dotarłem. Nie wiem, jak długo, bo nie miałem jak mierzyć czasu. Zacząłem jednak rozpoznawać funkcjonowanie pewnych interesujących praw. Przede wszystkim, duże głazy poruszały się szybciej od tych mniejszych. Poza tym zdawało się, że orbitują wokół siebie – cykle wewnątrz cykli wewnątrz cykli – większe dookoła mniejszych, wszystkie w ciągłym ruchu. Może pierwotny tor wyznaczało jakieś ziarnko kurzu albo pojedyncza molekula. Nie miałem ani czasu, ani ochoty, by poszukiwać ośrodka tego wszystkiego. Pamiętając jednak o moich spostrzeżeniach, mogłem ze sporym wyprzedzeniem przewidywać kolizje.

I tak przybył Childe Random do mrocznej wieży, tak jest, z pistoletem w jednej ręce i mieczem w drugiej. Gogle wisiały mi na szyi. Wśród tego dymu i słabego światła nie chciałem ich zakładać, póki nie okaże się to absolutnie konieczne.

Nie wiem dlaczego, ale skały omijały wieżę. Zdawało się, że stoi na wzgórzu, ale kiedy podszedłem bliżej, zobaczyłem, że te ruchome głazy wyłłobiły dookoła niej ogromne zagłębienie. Z mojej strony trudno było ocenić, czy w efekcie stała się rodzajem wyspy, czy raczej półwyspu.

Przemykałem cię wśród dymu i gruzowisk, unikając wybuchów płomieni z różnych otworów i szczelin. Wreszcie wspiałem się na strome zbocze i zniknąłem z trasy podejścia. Przez kilka chwil tkwiłem tam, tuż poniżej linii obserwacji z wieży. Sprawdziłem broń, uspokoiłem oddech i założyłem gogle. Potem przeskoczyłem przez krawędź i stanąłem pochylony.

Owszem, szkła pociemniały i owszem, smok już czekał.

Wrażenie było straszne, ponieważ wydawał się, na swój sposób, piękny. Miał ciało węża, grubości beczki, i głowę podobną do wielkiego młota ze zwężonym obuchem. Oczy o barwie bardzo bladej zieleni. W dodatku był przejrzysty jak szkło, z cieniutkimi, delikatnymi liniami, układającymi się w kształt łusek. To, co płynęło w jego żyłach, także było przezroczyste. Mogłem mu zajrzeć do wnętrza i oglądać organy – zmętniałe albo mleczne. Można się było zapomnieć patrząc, jak funkcjonuje. Gęsta grzywa, jakby ze szklanych kolców, porastała jego głowę i szyję. Zobaczył mnie,

uniósł łeb i popęzł, niby płynąca woda, żywa rzeka bez koryta i brzegów. Zmroziło mnie jednak coś innego: widziałem wewnątrz jego żołądka. Był tam na wpół strawiony człowiek.

Podniosłem pistolet, wymierzyłem w oko i nacisnąłem spust.

Już ci mówiłem, że nie wystrzelił. Odrzuciłem go więc, odsunąłem się na lewo i skoczyłem do prawego boku węża, by zaatakować oko mieczem.

Sam wiesz, jak trudno zabić stwory o budowie gadów. Od razu uznałem, że przede wszystkim spróbuję go oślepić i odciąć mu język. Potem, gdybym był dość szybki, miałbym szansę wyprowadzić kilka porządnych cięć w okolice głowy i odrąbać ją. Potem smok mógł sobie leżeć i zwijać się w supły, aż znieruchomieje. Miałem też nadzieję, że będzie trochę ospały, skoro ciągle jeszcze kogoś trawił.

Jeśli był ospały, to miałem szczęście, że nie zjawiłem się wcześniej. Odsunął głowę spod mojego ostrza i uderzył ponad nim, gdy ja nie odzyskałem jeszcze równowagi. Ten jego ryj przejechał mi po piersi i naprawdę miałem wrażenie, że oberwałem młotem. Od ciosu padłem jak długi.

Przetoczyłem się, żeby wyjść z zasięgu potwora, i zastopowałem przy samym skraju zbocza. Tam wstałem, a on rozwinął się wolno, przesunął w moją stronę, uniósł i pochylił głowę jakieś pięć metrów nade mną.

Wiem dobrze, że Gerard ten właśnie moment wybrałby do ataku. Skoczyłby z tym swoim wielkim mieczem i rozciął gada na dwie części. Ten pewnie upadłby na niego i wił się, a Gerard wyszedłby z całej akcji z paroma zadrapaniami. Może jeszcze rozbitym nosem. Benedykt trafiłby w oko. Do tej pory pewnie miałyby w kieszeniach już oba, a głową grałby w piłkę, układając w myślach jakiś przypisek do Clausewitza. Ale obaj są naturalnymi typami bohaterów. Ja po prostu stałem kierując ostrze ku górze, z łokciami opartymi o biodra i głową odchyloną tak daleko, jak tylko potrafiłem. Szczerze mówiąc, gdyby udało mi się uciec, miałbym szczęście. Wiedziałem jednak, że gdybym tylko spróbował, ten wielki łeb runąłby w dół i zgniół mnie.

Krzyki dobiegające z wieży wskazywały, że zostałem zauważony. Nie miałem jednak zamiaru się rozglądać. Zacząłem kląć na tego węża. Chciałem, żeby już uderzył i zakończył sprawę, tak albo inaczej.

Kiedy to wreszcie uczynił, odsunąłem się, skręciłem ciało i ustawiłem ostrze na torze celu.

Od uderzenia zdrętwiał mi prawy bok i miałem wrażenie, że moja stopa zagłębiła się w ziemię. Jakoś zdołałem ustać na nogach. Wykonałem wszystko w sposób perfekcyjny. Cały manewr udał się dokładnie tak, jak zaplanowałem i jak miałem nadzieję.

Tylko że potwór nie trzymał się roli. Nie chciał ze mną współpracować i paść w śmiertelnych drgawkach.

Więcej nawet. Znow zaczął podnosić łeb.

Zabrał ze sobą mój miecz, którego rękojeść sterczała z lewego oczodołu, a ostrze wystawało jak jeszcze jeden kolec na czubku głowy. Zaczynało mnie dręczyć przecucie, że atakujący jednak zwycięży.

Wtedy właśnie z otworu u podstawy wieży wolno i ostrożnie wysunęli się jacyś osobnicy. Byli uzbrojeni i paskudni. Uznałem, że w tym konflikcie raczej nie staną po mojej stronie.

Trudno. Wiem, kiedy trzeba się wycofać w nadziei, że następny dzień będzie lepszy.

– Brand! – krzyknąłem. – To ja, Random! Nie mogę się przebić! Wybacz!

Odwróciłem się, podbiegłem i przeskoczyłem przez krawędź, w dół do miejsca, gdzie skały wyczyniały swoje dziwactwa. Nie byłem pewien, czy wybrałem najlepszy moment na zejście.

I – tak jak się często zdarza – odpowiedź brzmiała i tak, i nie.

Nie był to skok, który zaryzykowałbym z powodów innych niż te, które w końcu przeważyły.

Wyszedłem żywy, ale to właściwie wszystko, czym mógłbym się pochwalić. Byłem oszołomiony i myślałem, że złamałem nogę w kostce.

Do ruchu zmusił mnie szeleszczący dźwięk i grzechot kamieni nade mną. Poprawiłem gogle i spojrzałem w górę. Stwór najwidoczniej postanowił zejść za mną i dokończyć dzieła. Wił się widmowo po stoku, a część tułowia przy głowie pociemniała i zmętniała, ponieważ jednak go trafiłem.

Usiadłem. Potem ukląknęłam. Pomacałem kostkę, ale nie nadawała się do użytku. Wokół nie było niczego, co mógłbym wykorzystać jako laskę. Trudno. Poczołgałem się więc. Byle dalej. Co jeszcze mogłem zrobić? Zdobyć możliwie dużą przewagę, a po drodze myśleć i szukać wyjścia.

Ratunek przyniosła mi skała – jedna z tych mniejszych i powolnych, rozmiarów mniej więcej wozu meblowego. Kiedy spostrzegłem, jak się zbliża, przyszło mi do głowy, że nada się na środek transportu, a może zapewni także trochę bezpieczeństwa. Zdawało się, że te szybkie, naprawdę masywne, bardziej się kruszą w zderzeniach.

Obserwowałem więc wielkie skały towarzyszące mojej, oceniałem ich tory i prędkości, próbowałem przewidzieć ruch całego układu i przygotowywałem się do ostatecznego wysiłku. Równocześnie nasłuchiwałem odgłosów zbliżającej się bestii, słyszałem krzyki strażników, stojących na skraju urwiska. i zastanawiałem się, czy któryś z nich stawia na mnie, a jeśli nawet, to ile.

Gdy nadszedł czas, ruszyłem. Bez problemów ominąłem pierwszą wielką skałę, ale musiałem czekać, by przepuścić następną. Zaryzykowałam i przeskoczyłem przed ostatnią. Musiałem, jeśli chciałem zdążyć.

Dotarłem do właściwego punktu we właściwym momencie, złapałem uchwyty, które wcześniej wypatrzyłem, i głaz powlókł mnie parę metrów, zanim zdołałem się podciągnąć. Potem dostałem się jakoś na niezbyt wygodny szczyt, rozciągnąłem się tam i spojrzałem za siebie.

Niewiele brakowało. Zresztą nadal nie byłem bezpieczny, gdyż potwór szedł za mną, śledząc swym zdrowym okiem obroty wielkich skał.

Z góry słyhać było pełne rozczarowania krzyki. Potem chłopcy zbiegli w dół wołając coś, co uznałem za zachętę dla potwora. Zacząłem masować kostkę. Próbowałem się rozluźnić. Gad wszedł w system, przesuając się za pierwszą z dużych skał, gdy tylko ta skończyła obieg orbity.

Jak daleko zdołam dotrzeć w Cieniu, zanim mnie dopadnie? Owszem, miałem stały ruch naprzód, zmianę struktur...

Stwór zaczekał na drugą skałę, prześliznął się za nią, zbliżył jeszcze bardziej.

Cieniu, Cieniu, jak na skrzydłach...

Ludzie tymczasem znaleźli się już niemal u stóp zbocza. Potwór czekał na wolną drogę przez orbitę wewnętrznego satelity. Jeszcze jeden obieg... Wiedziałem, że potrafi sięgnąć tak wysoko, by porwać mnie ze szczytu.

Przybądź zmiążdżyć to straszdyło!

Odwróciłem się i płynnie pochwyliłem materię Cienia, zanurzyłem się w niego, odmieniłem struktury z możliwych poprzez prawdopodobne do rzeczywistych; wyczułem, jak nadchodzi niezauważalnie i w odpowiednim momencie pchnąłem...

Naturalnie, nadpłynęła od strony, gdzie stwór był ślepy. Ogromna skała, wirująca jak pozbawiony kontroli wóz pancerny...

Bardziej eleganckim rozwiązaniem byłoby zmiążdżyć bestię między dwoma głazami. Nie miałem jednak czasu na finezję. Po prostu przejechałem po niej i zostawiłem, rozjeżdżaną granitowymi wozami.

W chwilę później jednak, w niezrozumiały sposób, okaleczone i poszarpane ciało uniosło się nagle nad ziemią i wirując popłynęło w górę. Oddalało się, coraz mniejsze i mniejsze, popychane wiatrem, aż zniknęło.

Moja skała unosiła mnie w równym tempie coraz dalej. Dryfował cały system. Chłopcy z wieży skupili się razem i najwyraźniej postanowili mnie ścigać. Przesuwali się wolno od stóp urwiska poprzez równinę. Uznałem, że nie stanowią problemu. Odjadę moim kamiennym wierzchowcem w Ciebie i pozostawię ich o całe światy za sobą. To najprostsze wyjście z możliwych. Z pewnością trudniej byłoby ich zaskoczyć, niż tego stwora. W końcu byli u siebie, ostrożni i gotowi na wszystko.

Zdjąłem gogle i jeszcze raz wypróbowałem kostkę. Wstałem na chwilę. Zabolą, ale utrzymała mój ciężar. Usiadłem i zacząłem myśleć o tym, co zaszło. Straciłem miecz i byłem daleki od szczytowej formy. Zamiast kontynuować tę przygodę, najrozsądniej i najbezpieczniej byłoby wynieść się stąd. Zdobyłem dosyć informacji o sytuacji i warunkach, by następnym razem mieć większe szanse. Do dzieła zatem...

Niebo nade mną pojaśniało, a cienie stały się bardziej stabilne i uporządkowane. Płomienie wokół zaczęły przygasać. Dobrze. Chmury odnalazły swe drogi na niebie. Doskonale. Wkrótce za ich powłoką pojawiło się skupione w jednym punkcie lśnienie. Znakomicie. Kiedy znikną, słońce znowu zawisnie na nieboskłonie. Obejrzałem się i stwierdziłem ze zdumieniem, że nadal ktoś mnie ściga. Chociaż mogło się zdarzyć, że nie zadbałem należycie o ich odpowiedniki w tej warstwie Cienia. Nie warto zakładać, że się o wszystkim pamiętało, zwłaszcza w pośpiechu. A więc...

Dokonałem zmiany. Skała stopniowo zmieniała kurs i kształt, utraciła satelity, ruszyła po prostej w kierunku, który stał się zachodem. W górze rozpląnęły się chmury i załśniło blade słońce. Przyspieszyliśmy. To powinno załatwić wszystkie problemy. Znalazłem się w zdecydowanie innym świecie.

Ale nie załatwiło. Spojrzałem znowu, a oni nadal byli za mną. Fakt. zwiększyłem trochę dystans, ale ci faceci trzymali się mnie uparcie. No, trudno. To się czasami zdarza. Naturalnie, istniały dwie możliwości. Ponieważ byłem wciąż bardziej niż trochę oszołomiony tym, co niedawno przeszedłem, przeskok nie był idealny i pociągnąłem ich za sobą. Albo zachowałem jakąś stałą tam, gdzie należało wygasić zmienną – to znaczy dokonałem przeskoku i podświadomie zażądałem, by pościg trwał nadal. Zatem, to już kto inny, ale dalej mnie goni.

Rozmasowałem kostkę. Słońce pojaśniało i stało się pomarańczowe. Północny wiatr uniosł zasłonę kurzu i piasku, by zawiesić mi ją za plecami i zasłonić ścigających. Gnałem na zachód, gdzie wyrosło właśnie pasmo gór. Czas wszedł w fazę skrzywienia. Noga bolała trochę mniej.

Odpočząłem chwilę. Skała była stosunkowo wygodna – jak na skałę. Nic warto było zaczynać piekielnego rajdu teraz, gdy sprawy biegły gładko. Wyciągnąłem się, założyłem ręce za głowę i obserwowałem coraz bliższe góry. Myślałem o Brandzie i wieży. Z pewnością trafiłem we właściwe miejsce. Wszystko pasowało do tego, co pokazał mi przez tę krótką chwilę. Naturalnie, z wyjątkiem strażników. Uznałem, że wejść we właściwą warstwę Cienia, zwerbuję własną grupę, a potem wrócę tutaj i dam im szkołę. Tak, wtedy wszystko się ułoży...

Po pewnym czasie przewróciłem się na brzuch i spojrzałem za siebie. I niech mnie diabli, jeśli ich tam nie było! Nawet się trochę zbliżyli.

Zdenerwowałem się oczywiście. Koniec uciekania! Sami o to prosili, więc teraz dostaną, czego chcieli.

Wstałem. Kostka bolała tylko trochę i nieco zdrętwiała. Uniosłem ramiona, szukając cieni, jakich potrzebowałem. I znalazłem.

Skała powoli zesza z prostego kursu i wykręciła w prawo, zacieśniając łuk. Zakreśliłem parabolę

i ruszyłem ku nim z coraz większą prędkością. Nie było czasu, by wywołać burzę za plecami. Gdyby mi się udało, byłby to ładny akcent.

Kiedy runąłem na nich – było ich ze dwa tuziny – rozproszyli się uprzejmie. Paru jednak nie zdążyło. Wprowadziłem skałę w ciasną krzywą, by możliwie szybko zawrócić.

Wstrząsnął mną widok kilku ociekających krwią ciał, wznoszących się w powietrze. Dwa dotarły już całkiem wysoko.

Byłem niemal przy nich, gotów do drugiego przejazdu, gdy zauważyłem, że przy pierwszym kilku z nich skoczyło na moją skałę. Jeden był już na szczycie; dobył miecza i skoczył na mnie. Zablokowałem uderzenie, odebrałem mu broń i zepchnąłem w dół. Chyba właśnie wtedy zauważyłem, że mają grzebienie na wierzchu dłoni. Zadrapał mnie czymś takim.

Tymczasem stałem się celem dla nadlatujących z dołu pocisków o niezwykłym kształcie, dwaj faceci właśnie przechodzili przez krawędź i wyglądało na to, że jeszcze kilku innych przedostało się na pokład.

No cóż, nawet Benedykt czasem się wycofuje. Przynajmniej ci, co przeżyli, dobrze mnie zapamiętają.

Dałem spokój Cieniom, wyrwałem z boku kolczasty krążek i drugi, wbity w udo, odrąbałem jednemu z nich rękę z mieczem i kopnąłem go w brzuch, przyklęknałem, żeby uniknąć szerokiego zamachu następnego, a moja riposta sięgnęła jego nóg. Spadł, tak jak poprzedni.

Jeszcze pięciu wspinało się w górę. Znowu żeglowaliśmy na zachód. Z tyłu może z tuzin jeszcze żywych próbowało się przegrupować na piasku pod niebem, ku któremu unosiły się ociekające krwią trupy.

Z następnym poszło mi łatwo, bo dopadłem go, gdy podciągał się przez krawędź. Tyle na jego temat. Zaraz potem przybyło jeszcze czterech.

Kiedy zajmowałem się tamtym, trzech innych zjawilo się równocześnie z trzech stron.

Skoczyłem do najbliższego, skasowałem go, ale dwaj pozostali dostali się na szczyt i rzucili na mnie. Bronilem się, a wtedy nadszedł już ostatni i przyłączył się do tych dwóch.

Nie byli aż tak dobrzy, ale robiło się tłoczno i wokół mnie sterczała spora ilość ostrych narzędzi. Odbijałem ciosy i odskakiwałem, próbując ich zmusić, by wchodzili sobie w drogę i osłaniali przed swoimi atakami. Udawało mi się częściowo, a kiedy uznałem, że lepiej już się nie ustawią, skoczyłem na nich, dostałem kilka cięć – musiałem się trochę odsłonić – ale rozplatałem jedną czaszkę w zemście za mój ból. Facet spadł, zabierając ze sobą drugiego w płataninie rąk, nóg i pasów.

Na nieszczęście, ten bezmyślny dureń zabrał także mój miecz, który zaklinował się w jakiejś kości, czy co tam znalazło się na drodze klingi. Najwyraźniej miałem dobry dzień na gubienie broni i zaczynałem się zastanawiać, czy mój horoskop coś o tym wspominał. Nie przyszło mi do głowy, żeby go przeczytać.

W każdym razie odskoczyłem szybko na bok, żeby nie trafił mnie ostatni z nich. W związku z tym pośliznąłem się na plamie krwi i pojechałem na sam przód skały. Gdybym tam spadł, przeorałaby mnie i zostawiła zupełnie płaskiego Randoma, podobnego do dywanu z egzotycznych krain, by zadziwiał i zachwycił przyszłych wędrowców.

Ześlizgując się szukałem palcami uchwytów, a ten facet podbiegł do mnie i podniósł miecz, by zrobić ze mną to samo, co ja z jego kumplem.

Chwyciłem go za kostkę i to przyhamowało mnie bardzo ładnie – i, oczywiście, ktoś musiał wybrać akurat ten moment, żeby się ze mną kontaktować przez Atut.

– Jestem zajęty! – wrzasnąłem. – Dzwonić później!

Zatrzymałem się zupełnie, za to ten facet przewrócił się, stuknął o skałę i zsunął w dół.

Próbowałem go złapać na tej drodze do przeistoczenia w dywan, ale nie zdążyłem. Chciałem go potem przepytac. Mimo wszystko osiągnąłem niemały sukces. Przeszedłem znowu na środek, by poobserwować i pomyśleć.

Ci, co przeżyli, nadal podążali za mną, miałem jednak wystarczającą przewagę. Chwilowo nie musiałem się martwić, że zjawi się kolejna ekspedycja. Bardzo dobrze. Sunąłem w stronę gór. Słońce, które przywołałem, przypiekało solidnie. Byłem przesiąknięty krwią i potem, zaczynałem odczuwać rany i chciało mi się pić. Uznałem, że wkrótce, całkiem niedługo, powinien spaść deszcz. Wszystko inne może poczekać.

Zacząłem przygotowania do przeskoku w tym kierunku: zbierające się chmury, coraz ciemniejsze, coraz bardziej gęste...

Zdrzemnąłem się przy pracy, miałem dziwny sen o kimś, kto bezskutecznie próbuje mnie osiągnąć przez Atut. Słodka ciemność.

Obudziłem się w strumieniach deszczu, ulewnego i niespodziewanego. Nie wiedziałem, czy mroczne niebo jest rezultatem burzy, wieczornej godziny czy obu naraz. W każdym razie zrobiło się chłodniej; rozłożyłem płaszcz i po prostu leżałem z otwartymi ustami. Od czasu do czasu wyzimałem wodę z płaszcza. W końcu zaspokoilem pragnienie i znowu poczułem się czysty. Skała wyglądała na wilgotną i śliską; bałem się po niej chodzić. Góry zbliżyły się; błyskawice obrysowywały ich szczyty. Z tyłu panowała ciemność i nie wiedziałem, czy nadal mam towarzystwo. Trasa była ciężka i nie sądziłem, by mogli za mną nadążyć, ale podróżując przez dziwne cienie nie należy raczej polegać na pochopnych sądach. Irytowało mnie, że zasnąłem, ale ponieważ nic złego się nie stało, zawiąłem się w mokry płaszcz i postanowiłem sobie wybaczyć. Znalazłem papierosy, które zabrałem ze sobą – połowa nadawała się jeszcze do użytku. Po ósmej próbie zdołałem tak zamaniupulować Cieniem, że miałem ogień. Potem tylko siedziałem i paliłem, a deszcz spływał mi po ramionach. Było mi dobrze i przez kolejne kilka godzin nie ruszyłem się nawet, by jeszcze coś zmienić.

Kiedy burza wreszcie ucichła i chmury odsłoniły niebo, panowała noc pełna dziwacznych konstelacji. Piękna tak, jak bywają noce na pustyni. Później zauważyłem, że sunę nieco pod górę i że skała trochę zwalnia. Coś się zmieniło w prawach fizyki, które kontrolowały sytuację. To znaczy, nachylenie gruntu nie było dostatecznie duże, by tak radykalnie zmienić prędkość. Wolałem unikać zmian Cienia, które zapewne zniosłyby mnie z kursu. Chciałem możliwie szybko wrócić na znany teren, gdzie moje przecucia miałyby szansę poprawności.

Pozwoliłem więc, by skała wyhamowała ostatecznie, zsunąłem się na ziemię i ruszyłem pieszo. Po drodze grałem z Cieniem tak, jak to robiliśmy będąc dziećmi. Wiesz, mijasz jakąś przegrodę – suche drzewo albo samotny głaz – i sprawiasz, że niebo po obu stronach wygląda inaczej. Stopniowo przywróciłem znajome gwiazdozbiory. Wiedziałem, że będę schodził z innego szczytu niż ten, na który się wspiąłem. Rany wciąż mi doskwierały, za to kostka przestała przeszkadzać. Była tylko trochę sztywna. Wypocząłem. Wiedziałem, że mogę tak iść bardzo długo. Znow wszystko wydawało się takie, jak być powinno.

Przez długi czas wspinałem się coraz, bardziej stromym zboczem. Na szczęście trafiłem w końcu na szlak, co ułatwiło marsz. Szedłem wyżej i wyżej, pod znajomym już niebem, zdecydowany nie zatrzymać się i dotrzeć do celu przed świtem. Po drodze ubranie zmieniło się, dopasowując do cienia: dzinsowe spodnie i kurtka, sucha peleryna zamiast mokrego płaszcza. W pobliżu zahukała sowa, a gdzieś daleko, z tyłu i w dole, rozległo się coś, co mogło być wyciem kojota. Te oznaki znanych mi miejsc sprawiły, że poczułem się pewniej i zwalczyłem resztki desperacji, jakie pozostały mi po ucieczce.

Godzinę później uległem pokusie, by pobawić się trochę Cieniem. Było całkiem prawdopodobne, że jakiś zagubiony koń błąka się w okolicy i naturalnie, znalazłem go. Zaprzyjaźnialiśmy się przez jakieś dziesięć minut, po czym siadłem na oklep i ruszyłem do szczytu w sposób bardziej dla mnie stosowny. Wiatr rzucał szron na naszą ścieżkę. Zbudził się do życia księżyc i wyszedł na niebo.

Krótko mówiąc, jechałem przez całą noc, minąłem wierzchołek i długo przed świtem zacząłem zjazd. Góra wznosiła się nade mną coraz większa i, sam rozumiesz, byłem zadowolony, że nie urosła wcześniej. Po tej stronie zieleń rozcinały dobrze utrzymane szlaki z rzadkimi punktami domostw. Wszystko toczyło się zgodnie z kierunkiem moich pragnień.

Wczesny ranek. Zjechałem między wzgórz, dzins zmienił się w spodnie khaki i jaskrawą koszulę. Sportowa kurtka leżała zwinięta na końskim grzbiecie. Bardzo wysoko jakiś odrzutowiec wybijał dziury w atmosferze, mknąc między horyzontem a horyzontem. Wokół śpiewały ptaki, dzień był słoneczny i spokojny.

Wtedy właśnie usłyszałem swoje imię i poczułem dotknięcie Atutu. Zatrzymałem się i odpowiedziałem.

– Tak?

To był Julian.

– Gdzie jesteś, Randomie? – zapytał.

– Spory kawałek od Amberu – odparłem. – Czemu pytasz?

– Czy ktoś z pozostałych kontaktował się z tobą ostatnio?

– Ostatnio nie. Ale wczoraj ktoś próbował mnie złapać. Miałem robotę i nie mogłem rozmawiać.

– To byłem ja – wyjaśnił. – Wynikła sytuacja, o której powinieneś być poinformowany.

– A gdzie teraz jesteś? – spytałem.

– W Amberze. Ostatnio wiele się zdarzyło.

– Na przykład co?

– Taty nie ma od wyjątkowo długiego czasu. Nikt nie wie, gdzie zniknął.

– Robił już takie rzeczy.

– Ale zawsze zostawiał instrukcje i wyznaczał zastępcę.

– To fakt – przyznałem. – A jak długi jest "długi czas"?

– Dobrze ponad rok. Nie wiedziałeś o tym?

– Wiedziałem, że wyjechał. Gerard wspominał mi o tym jakiś czas temu.

– Więc dodaj tego czasu jeszcze trochę.

– Rozumiem. Jak sobie radziliście?

– O to właśnie chodzi. Jak dotąd rozwiązywaliśmy problemy w miarę tego, jak się pojawiały. Gerard i Caine dowodzili flotą, z rozkazu taty, ale bez niego musieli sami podejmować decyzje. Ja znowu objąłem patrole w Ardenie. Ale nie ma centralnej władzy, kogoś, kto by rozsądzał spory, podejmował decyzje polityczne i występował w imieniu całego Amberu.

– Czyli potrzebujemy regenta. Możemy chyba ciągnąć karty.

– To nie takie proste. Uważamy, że tato nie żyje.

– Nie żyje? Dlaczego? Jak?

– Usiłowaliśmy go znaleźć poprzez Atut, codziennie, już ponad rok. I nic. Jak to wyjaśnić?

Pokiwałem głową.

– Może rzeczywiście – stwierdziłem. – W końcu coś mu się mogło przytrafić. Mimo wszystko nie da się wykluczyć możliwości, że ma jakieś inne problemy... powiedzmy, że został uwięziony.

– Więzienna cela nie ekranuje Atutów. Nic ich nie ekranuje. Wezwałby pomocy przy pierwszym kontakcie.



– Trudno się nie zgodzić – przyznałem. Pomyślałem o Brandzie. – Ale może przecież świadomie unikać kontaktu.

– Po co?

– Nie mam pojęcia, ale to możliwe. Sam wiesz, jaki jest czasem tajemniczy.

– Nie – stwierdził Julian. – To się nie trzyma kupy. Przekazałby przecież w tym czasie jakieś instrukcje.

– No dobrze. A pomijając sytuację i wszelkie wyjaśnienia, co proponujesz?

– Ktoś powinien zasiąść na tronie – oznajmił.

Od początku rozmowy wyczuwałam, że właśnie do tego zmierza. Od dawna nikt nie wierzył, by przytrafiła się taka okazja.

– Kto?

– Wydaje się, że najlepszy byłby Eryk – odparł. Zresztą, od paru miesięcy pełni już obowiązki władcy. Teraz, trzeba to tylko sformalizować.

– Nie jako regent?

– Nie jako regent.

– Rozumiem... Widzę, że wiele się zdarzyło pod moją nieobecność. A co z kandydaturą Benedykta?

– Mam wrażenie, że jest szczęśliwy tam, gdzie jest, w jakimś zakątku Cienia.

– A co sądzi o tej sprawie?

– Nie do końca popiera naszą ideę. Naszym zdaniem jednak nie będzie się przeciwstawiał. Stałoby się to powodem zbyt wielkiego zamętu.

– No, tak – mruknąłem. – A Bleys?

– Przeprowadzili z Erykiem dość gorącą dyskusję na ten temat, ale żołnierze nie słuchają rozkazów Bleysa. Trzy miesiące temu wyjechał z Amberu. Może jeszcze przysporzyć kłopotów. Ale będziemy przygotowani.

– Gerard? Caine?

– Pójdą za Erykiem. Zastanawiałem się, co z tobą.

– A dziewczęta?

Wzruszył ramionami.

– Zawsze przyjmują wszystko spokojnie. Nie ma sprawy.

– Nie sądzę, by Corwin...

– Nic nowego. Nie żyje. Wszyscy o tym wiemy. Od stuleci jego pomnik porasta bluszczem i kurzem. Jeśli żyje, to świadomie i na zawsze porzucił Amber. Nie ma się czego obawiać. Nie wiem tylko, jaką ty zajmiesz pozycję.

– Nie mam specjalnych warunków, by wypowiadać znaczące opinie.

– Musimy to wiedzieć.

Kiwnąłem głową.

– Zawsze potrafiłem wyczuć, z której strony wieje wiatr – oświadczyłem. – I nie poześluję pod prąd.

Uśmiechnął się.

– Doskonale – stwierdził.

– Kiedy będzie koronacja? Zakładam, że jestem zaproszony?

– Oczywiście. Ale data nie została jeszcze ustalona. Pozostało kilka drobiazgów do załatwienia. Gdy tylko coś będzie wiadomo, ktoś się z tobą skontaktuje.

– Dzięki, Julianie.

– Na razie, Random.

Siedziałem tam długo pogrążony w myślach, nim ruszyłem w dalszą drogę. Ile czasu poświęcił Eryk na przygotowanie tej akcji? Pewne sprawy załatwia się w Amberze bardzo szybko, lecz doprowadzenie do takiej sytuacji wymagało chyba dalekosiężnych planów i działań. Miałem swoje podejrzenia co do roli Eryka w obecnym położeniu Branda. Musiałem też liczyć się z jego udziałem w nagłym zniknięciu taty. To było naprawdę trudne i wymagało dobrze przemyślanej pułapki. Im dłużej się zastanawiałem, tym bardziej mi do tego pasował. Przypomniałem sobie nawet, że kiedyś podejrzewano go o zorganizowanie twojego zniknięcia, Corwinie. Ale nie miałem pojęcia, co właściwie powinienem zrobić w tej sprawie. Trzeba się pogodzić z sytuacją. Pozostać w łaskach.

Mimo wszystko... nie należy polegać na informacjach z jednego tylko Źródła. Nie mogłem się zdecydować, do kogo pójść. I kiedy się nad tym zastanawiałem, coś przyciągnęło mój wzrok, gdy spojrzałem za siebie, by raz jeszcze ocenić wierzchołek, z którego nie do końca jeszcze zjechałem.

Niedaleko szczytu dostrzegłem grupę jeźdźców. Najwyraźniej podążali tym samym, co ja, szlakiem. Trudno ich było dokładnie policzyć, ale ich liczba wydawała się podejrzanie bliska dwunastu – sporo, jak na to miejsce i czas. Kiedy zauważyłem, że zjeżdżają w dół drogą, którą poprzednio wybrałem, poczułem nieprzyjemny dreszcz na karku. A jeśli...? Jeśli to ci sami ludzie? Miałem przeczucie, że tak.

Pojedynczo nie stanowili dla mnie zagrożenia. Nawet dwóch jednocześnie nie mogło zbyt wiele. Nie o to mi chodziło. Problem w tym, że jeśli to naprawdę byli ci sami, to nie my jedni umieliśmy przekształcać Ciebie. Ktoś jeszcze potrafił dokonać sztuki, o której przez całe życie myślałem, że jest wyłączną domeną naszej rodziny. Jeśli dodać do tego fakt, że byli strażnikami Branda, ich zamiary wobec nas – przynajmniej części z nas – wcale nie wyglądały na przyjazne. Spociłem się cały, gdy pomyślałem o przeciwniku dysponującym naszą najpotężniejszą bronią.

Naturalnie, byli jeszcze za daleko, bym mógł mieć pewność, że to naprawdę oni. Ale jeśli chcesz zwyciężać w grze o przetrwanie, musisz się liczyć z najgorszym. Czy Eryk mógł wyszukać, wyszkolić lub stworzyć jakieś szczególne istoty obdarzone takimi zdolnościami? Oprócz ciebie i Eryka, właśnie Brand miał największe prawa do tronu... nie żebym chciał podawać w wątpliwość twoją pozycję! Do diabła, wiesz, o co mi chodzi. Muszę o tym mówić, żeby ci uświadomić, co wtedy myślałem. To wszystko. Krótko mówiąc, Brand miał podstawy, by zażądać władzy, gdyby tylko potrafił przedstawić te żądania. Ty byłeś poza sceną, więc to on stał się głównym rywalem Eryka, gdyby przyszło do szukania prawnych uzasadnień. A kiedy połączyłem to z jego aktualną sytuacją i zdolnością tych facetów do podróży przez Ciebie, Eryk wydał mi się o wiele groźniejszy niż poprzednio. Ta idea zresztą przeraziła mnie o wiele bardziej niż sami jeźdźcy, choć ich widok także nie napełniał radością. Zdecydowałem, że muszę szybko dokonać dwóch rzeczy: pogadać z kimś w Amberze i skłonić go, by mnie stąd wyciągnął przez Atut.

No dobrze. Wybrałem szybko. Gerard zdawał się najrozsądniejszy. Jest stosunkowo otwarty i neutralny. Na ogół uczciwy. Z tego, co mówił Julian, wynikało, że w całej sprawie nie odgrywa aktywnej roli. Nie ma zamiaru czynnie przeciwstawiać się Erykowi, bo nie chce wywoływać zamieszania. Co nie znaczy, że go popiera. Z pewnością pozostał dawnym, starym, konserwatywnym Gerardem. Z tą myślą sięgnąłem po moją talię Atutów i niemal zawyłem. Zniknęły.

Przeszukałem wszystkie kieszenie we wszystkich częściach ubrania. Z pewnością zabrałem karty, gdy wyjeżdżałem z Texorami. Mogłem je zgubić w dowolnej chwili podczas wczorajszych wydarzeń. Oberwałem solidnie i przelatywałem z miejsca na miejsce, a poza tym był to mój dobry dzień na gubienie różnych rzeczy. Recytując długą litanie przekleństw wbiłem pięty w boki wierzchowca. Musiałem jechać szybko i jeszcze szybciej myśleć. Przede wszystkim zaś dostać się do

jakiegoś miłego, cywilizowanego miejsca, gdzie prymitywny zabójca znajdzie się w trudnej sytuacji.

Pędząc w dół, do drogi, manipulowałem materią Cienia – tym razem delikatnie, wykorzystując cały swój kunszt. Dwóch rzeczy potrzebowałem teraz najbardziej: ostatecznego uderzenia na moich potencjalnych prześladowców i schronienia gdzieś niedaleko. Świat zamigotał lekko i dokonał przeskoku, stając się Kalifornią, której szukałem. Usłyszałem głuchy, stłumiony grzmot – planowany końcowy akcent. Obejrzałem się. Fragment urwiska poruszył się i jak w zwolnionym tempie zsunął wprost na moich prześladowców.

Zaraz potem zeskoczyłem z konia i pieszo ruszyłem w stronę drogi. Ubranie miałem teraz czystsze i lepszej jakości. Nie wiedziałem, jaka panuje pora roku, i zastanawiałem się, jaka może być pogoda w Nowym Jorku.

Po niezbyt długim czasie zjawił się autobus, którego oczekiwałem. Zatrzymałem go. Usiadłem przy oknie, zapaliłem i zająłem się podziwianiem krajobrazu. Potem usnąłem.

Zbudziłem się dopiero pod wieczór, gdy podjechaliśmy pod dworzec. Byłem wściekle głodny i uznałem, że lepiej coś zjem, zanim złapię taksówkę na lotnisko. Kupiłem więc trzy hamburgery z serem i parę piw, płacąc w byłych dolcach z Texorami. Zamówienie i posiłek trwały razem ze dwadzieścia minut. Wychodząc z bufetu dostrzegłem na postoju rząd taksówek. Zanim jednak wsiadłem, postanowiłem w ważnej sprawie odwiedzić męską toaletę. I w najbardziej nieodpowiednim momencie, jaki tylko można sobie wyobrazić, drzwi sześciu kabin stanęły otworem, a ich użytkownicy rzucili się na mnie. Trudno było nie zauważyć ich przerośniętych szczęk, grzebieni na wierzchu dłoni i płonących oczu. Nie tylko potrafiли mnie dopaść, ale w dodatku byli ubrani całkiem zwyczajnie, jak wszyscy w okolicy. Jeśli miałem jeszcze jakieś wątpliwości co do ich władzy nad Cieniem, to teraz rozwiały się one do końca.

Na szczęście jeden z nich był szybszy od pozostałych. W dodatku, pewnie z powodu mojego wzrostu, wciąż nie zdawali sobie sprawy, jaki jestem silny. Złapałem pierwszego wysoko za ramię, unikając ostrzy, w jakie wyposażyła go natura, przeciągnąłem go przed siebie, podniosłem i cisnąłem w pozostałych. Potem odwróciłem się i wybiegłem. Po drodze wyłamałem drzwi. Nie zatrzymałem się nawet, żeby zapiąć spodnie; zrobiłem to dopiero w taksówce, gdy kierowca ruszał z piskiem opon.

Dość tego. Nie myślałem już o zwyczajnej kryjówce.

Musiałem zdobyć talię Atutów i opowiedzieć w rodzinie o tych facetach. Jeśli byli tworamami Eryka, pozostali powinni się o nich dowiedzieć. Jeśli nie, powinien się dowiedzieć także Eryk. Potrafił podróżować przez Cień, więc może inni też byli do tego zdolni. Ktokolwiek stał za nimi, pewnego dnia mógł zagrozić samemu Amberowi.

Przypuśćmy, tylko przypuśćmy, że nikt w domu nie był wmieszany w tę sprawę? Że tato i Brand padli ofiarami nieprzyjaciela, którego istnienia nikt nie podejrzewał?

Nadciągało coś potężnego i groźnego, a ja przypadkiem na to trafiłem. Wystarczający powód dla tego zacieklego pościgu. Musiało im na mnie zależeć.

Trudno mi było zebrać myśli. Mogło się zdarzyć, że usiłowali mnie wpędzić w jakąś pułapkę. Ci, których widziałem, mogli nie być jedyni.

Uspokoilem się z trudem. Trzeba załatwiać te sprawy po kolei, w miarę, jak się pojawiają, powiedziałem sobie. To wszystko. Oddzielić uczucia od spekulacji. A przynajmniej ich ze sobą nie mieszać. To jest cień Flory. Mieszka na skraju kontynentu, w miejscu zwanym Westchester. Znaleźć telefon i zadzwonić do niej. Przekonać, że to ważna sprawa, i poprosić o ukrycie. Nie może odmówić, nawet jeśli mnie nie znosi. Potem do samolotu i jak najszybciej do niej. Po drodze można się zastanawiać, ale teraz spokój.

Zatelefonowałem z lotniska i ty się odezwałaś, Corwinie. Ta zmiana rozbiła wszystkie moje teorie – fakt, że pojawiłeś się w tym czasie, w tym miejscu, na tym właśnie etapie. Zgodziłem się, kiedy zaproponowałaś mi ochronę, nawet nie dlatego, że jej potrzebowałem.

Przypuszczam, że tych sześciu potrafiłbym sam załatwić.

Ale nie o to teraz chodziło. Myślałem, że są twoi. Uznałem, że ukrywałaś się przez cały czas, czekając na właściwy moment. I teraz, pomyślałem, jesteś gotów.

Wszystko stało się jasne. Usunąłeś Branda i zamierzałeś wykorzystać te swoje chodzące poprzez Ciebie upiory, by zaskoczyć Eryka. Chciałem stanąć przy tobie, ponieważ nienawidziłem Eryka i wiedziałem, że jesteś dobrym strategiem i z reguły osiągasz swój cel. Wspomniałem, że ścigały mnie stwory spoza Cienia, bo chciałem sprawdzić, co na to powiesz. Nic nie powiedziałaś, ale też o niczym to nie świadczyło. Albo byłeś ostrożny, albo nie wiedziałeś, skąd wracam. Rozważałem też możliwość, że wpadnę w zastawioną przez ciebie pułapkę, ale i tak miałem już kłopoty. W dodatku jakoś nie mogłem sobie wyobrazić, bym był aż tak ważny dla równowagi sił, żebyś musiał się mnie pozbyć. Zwłaszcza jeśli ofiaruję ci poparcie, co miałem zamiar zrobić. Więc poleciałem. I, naturalnie, tych sześciu wsiadło za mną na pokład. Co to ma być? – zastanawiałem się. Eskorta? Lepiej poczekać na wyjaśnienia, uznałem. Po lądowaniu zgubiłem ich znowu i ruszyłem do mieszkania Flory. Zachowywałem się tak, jakbym niczego się nie domyślał, i czekałem na twój ruch. Kiedy mi pomogłeś pozbyć się tych facetów, byłem naprawdę zdziwiony. Czy rzeczywiście cię zaskoczyli, czy raczej odegrałeś to wszystko, poświęcając kilku swoich ludzi, by coś przede mną ukryć? Obojętne.

Udawaj, że nic nie wiesz, pomagaj, jeśli trzeba, czekaj, aż pokaże, o co mu idzie. Znakomicie się dopasowałem do roli, jaką przyjąłeś, by ukryć luki w pamięci. Kiedy poznałem prawdę, było za późno. Zmierzaaliśmy do Rebmy i wszystko to nie miało już dla ciebie znaczenia.

Później, po koronacji Eryka, jakoś nie miałem ochoty mu o tym opowiadać. Byłem jego więźniem i żywiłem wobec niego dość niechętnie uczucia. Przyszło mi nawet do głowy, że te informacje mogą pewnego dnia zyskać na wartości – może nawet dadzą się wymienić na wolność – Jeśli znowu pojawi się zagrożenie. Co do Branda, to chyba nikt by mi nie uwierzył; a jeśli nawet, to tylko ja wiedziałem, jak dotrzeć do tamtego cienia.

Wyobrażasz sobie, że Eryk uznaje to za wystarczający powód, by mnie uwolnić? Zaśmiałyby się tylko i kazał wymyślić coś lepszego. Zresztą Brand nie próbował już kontaktu ani ze mną, ani – jak sądzę – z nikim innym. Prawdopodobnie już nie żyje.

To cała historia, której nie miałem ci kiedy opowiedzieć. Sam musisz się domyślić, co oznacza.

# Rozdział 3

---

Obserwowałem Randoma pamiętając, jakim doskonałym jest pokerzystą. Patrząc w jego twarz nie wiedziałem, czy kłamie, a jeśli tak, to czy całkowicie, czy częściowo. Tyle samo mógłbym się dowiedzieć, przyglądając się gębie waleta, powiedzmy: karo. Zresztą, to też był ładny akcent. W całej tej historii było wiele szczegółów, nadających jej pozory prawdopodobieństwa.

– Parafrazując Edypa, Hamleta, Leara i całą resztę, żałuję, że wcześniej o tym nie wiedziałem.

– Po raz pierwszy miałem okazję, by ci to wszystko opowiedzieć.

– Fakt – przyznałem. – Niestety, sprawy nie tylko nie stały się przez to łatwiejsze, ale skomplikowały się jeszcze bardziej. Zresztą, nie jest to takie trudne. Siedzimy nad czarną drogą, biegnącą aż do stóp Kolviru. Prowadzi przez Ciebie i różne stwory dotarły nią aż tutaj, by zaatakować Amber. Nie znamy charakteru mocy, która ją stworzyła, ale jest nam w oczywisty sposób wroga i rośnie w siłę. Od pewnego czasu czuję się winny jej istnienia, ponieważ jest chyba związana z moją klątwą.

Owszem, rzuciłem na nas klątwę. Ale klątwa czy nie klątwa, wszystko kończy się na rzeczach materialnych, z którymi trzeba walczyć. I to właśnie zrobimy. Natomiast od tygodnia usiłuję odgadnąć, jaką rolę odegrała w tym wszystkim Dara. Kim naprawdę jest? Czym jest? Dlaczego tak jej zależało na przejściu Wzorca? I w jaki sposób zdołała tego dokonać i ta jej ostatnia groźba...

"Amber będzie zniszczony", powiedziała. To chyba nie przypadek, że zdarzyło się to w tym samym czasie, co atak od strony czarnej drogi. Moim zdaniem, nie mamy do czynienia z niezależnymi nićmi, lecz ze strzępami tej samej tkaniny. A wszystko wiąże się z tym, że gdzieś w Amberze jest zdrajca... zabójstwo Caine'a, te notki...

Ktoś tutaj albo wspomaga zewnętrznego wroga, albo sam stoi za tym wszystkim. A teraz jeszcze skojarzyłeś te sprawy ze zniknięciem Branda, poprzez tego przyjemniaczka – pchnąłem trupa nogą. – Mam wrażenie, że śmierć czy nieobecność taty też się z tym wiąże. W tym jednak przypadku mamy do czynienia z szeroko zakrojonym spiskiem, gdzie kolejne szczegóły dopracowywano przez całe lata.

Random zbadał zawartość szafki w rogu i wyjął z niej butelkę i dwa kielichy. Napełnił je, podał mi jeden, po czym wrócił na swoje miejsce. Wznieśliśmy cichy toast za bezowocne wysiłki.

– Intrygi – zauważył – to główna rozrywka i sposób zabijania czasu w naszej okolicy, a wszyscy mają mnóstwo wolnego czasu. Sam wiesz. Jesteśmy za młodzi, by pamiętać braci Osrica i Frondo, którzy zginęli w obronie Amberu. Ale rozmawiając z Benedyktem odniosłem wrażenie...

– Owszem – przytaknąłem. – Że nie ograniczyli się do marzeń o tronie i ich bohaterska śmierć dla Amberu stała się konieczna. Też o tym słyszałem. Może to prawda, może nie. Nigdy nie będziemy pewni. Ale tak, to słuszne spostrzeżenie, choć niemal oczywiste. Nie wątpię, że były już wcześniej takie próby. I nie sądzę, by niektórzy z nas nie byli do tego zdolni. Ale kto? Dopóki się nic dowiemy, przeciwnik ma przewagę. Każdy ruch, jaki wykonamy na zewnątrz, będzie skierowany przeciwko ręce, nie głowie bestii. Podejrzewasz kogoś?

– Corwinie – rzekł. – Szczerze mówiąc, potrafiłbym uzasadnić udział każdego, nawet mój własny, choć byłem więźniem i w ogóle. Więcej nawet, byłaby to znakomita osłona. Odczuwałbym szczerą rozkosz, wyglądając na zupełnie bezradnego, a w istocie pociągając za sznurki i zmuszając pozostałych, by tańczyli, jak im zagram. Każdy z nas by to zrobił. Wszyscy mamy swoje motywacje, swoje ambicje. Przez lata mogliśmy przygotować to, co potrzebne. Nie, szukanie podejrzanych do niczego nas nie doprowadzi. Każdy będzie pasował. Pomyślmy raczej, czym powinien się

charakteryzować taki osobnik, poza motywami i możliwościami. Przyjrzyjmy się użytym metodom.

– Bardzo dobrze, Zaczynaj.

– Ktoś z nas wie o Cieniu więcej od pozostałych, zna wszystkie wejścia i wyjścia, wie co, jak i dlaczego – Ma też sprzymierzeńców, zwerbowanych daleko stąd. Taki zestaw przygotował przeciwko Amberowi. Oczywiście, przyglądając się komuś nie można stwierdzić, czy posiada tego typu wiedzę i umiejętności. Zastanówmy się jednak, gdzie mógł je zdobyć. Możliwe, że zwyczajnie dowiedział się czegoś w Cieniu, na własną rękę. Mógł też studiować tutaj, gdy Dworkin żył jeszcze i chętnie udzielał lekcji.

Wpatrzyłem się w swój kielich. Dworkin nadal mógł żyć. To on dostarczył mi środków do ucieczki z lochów Amberu... jak dawno temu? Nikomu o tym nie powiedziałem i nie miałem zamiaru mówić. Przede wszystkim, Dworkin był zupełnie szalony i pewnie dlatego właśnie tato go uwięził. Poza tym zademonstrował mi rzeczy, których nie rozumiałem, a to mnie przekonało, że może być bardzo niebezpieczny. Mimo to odnosił się do mnie przyjaźnie, gdy mu się przypominałem i trochę pochlebiłem. Gdyby żył to przy odrobinie cierpliwości potrafiłbym sobie z nim poradzić. Dlatego trzymałem całą tę sprawę w tajemnicy jako potencjalną tajną broń. Nie było powodów, by właśnie teraz zmieniać decyzję.

– Brand często się przy nim kręcił – wreszcie zrozumiałem, do czego zmierzał Random.

– Interesował się takimi rzeczami.

– Otóż to – potwierdził. – I wiedział więcej niż my, skoro potrafił przesłać wiadomość bez Atutu.

– Myślisz, że dogadał się z obcymi, otworzył im drogę do Amberu, a kiedy go odwiesili, żeby wysechł, rozumiał, że już go nie potrzebują?

– Niekoniecznie. Chociaż to możliwe. Ale moim zdaniem było inaczej i nie przeczę, że jestem skłonny raczej bronić Branda: uważam, że dowiedział się dostatecznie dużo, by wykryć, że ktoś robi coś dziwnego w związku z Atutami, Wzorcem albo przylegającym do Amberu obszarem Cienia. Potem się wygadał. Może nie docenił winnego i sam próbował go pokonać, zamiast się zwrócić do taty albo Dworkina. Co potem? Przestępca zwyciężył go i uwięził w tej wieży. Albo cenił Branda i dlatego go nie zabił, albo zamierzał go jakoś wykorzystać.

– Owszem, to brzmi prawdopodobnie – stwierdziłem. Dodałbym jeszcze "i świetnie pasuje do twojej historii", by potem obserwować jego twarz pokerzysty, gdyby nie pewna sprawa. Kiedy byłem u Bleysa, przed naszym atakiem na Amber, bawiłem się Atutami i wszedłem w krótkotrwały kontakt z Brandem. Wyczułem zagrożenie, uwięzienie, po czym kontakt został zerwany.

Opowieść Randoma pasowała, przynajmniej do tego momentu. Dlatego też powiedziałem:

– Jeśli Brand potrafi wskazać palcem, musimy go tu ściągnąć i skłonić do wskazywania.

– Miałem nadzieję, że to powiesz – odparł Random. – Nie lubię zostawiać takich spraw niedokończonych.

Wstałem, podniosłem butelkę i nalałem nam obu. Wypiłem trochę. Zapaliłem papierosa.

– Zanim się do tego zabierzemy – mruknąłem – muszę pomyśleć, jak powiedzieć wszystkim o Cainie. Nawiasem mówiąc, gdzie jest Flora?

– Chyba w mieście. Była tu rano. Jeśli chcesz, to ci ją znajdę.

– Znajdź. O ile wiem, tylko ona widziała tych facetów, kiedy wdarli się do jej domu w Westchester. Przyda się, żeby potwierdziła, jacy są paskudni. Chciałem też zadać jej kilka pytań.

Dopił wino i wstał.

– Dobrze. Zajmę się tym od razu. Gdzie mam ją przyprowadzić?

– Do moich pokoi. Gdybym jeszcze nie wrócił, zczekajcie.

Skinął głową. Wstałem i odprowadziłem go na korytarz.

– Masz klucz do tego saloniku? – spytałem.

– Wisi na haku.

– Więc lepiej weź go i zamknij drzwi. Ktoś mógłby znaleźć zwłoki przed czasem.

Włożył klucz do zamka, przekręcił i oddał mi. Poszedłem z nim do pierwszego podestu. Zszedł na dół, a ja ruszyłem do swojej kwatery.

Wyjąłem z sejfu Klejnot Wszechmocy, rubinowy wisior, za pomocą którego tato i Eryk sterowali pogodą w okolicach Amberu. Przed śmiercią Eryk zdradził mi procedurę dostrojenia go do mojej osoby. Do tej pory nie miałem czasu, a teraz właściwie też nie. Jednak rozmawiając z Randomem doszedłem do wniosku, że muszę znaleźć wolną chwilę. Odszukałem notatki Dworkina pod kamieniem przy kominku Eryka – o tym też mi powiedział w ostatniej chwili życia. Chciałbym jednak wiedzieć, skąd je wziął, ponieważ, nie były kompletne.

Wyjąłem je z sejfu i przejrzałem jeszcze raz. Potwierdzały instrukcje Eryka co do operacji dostrajania. Wynikało z nich jednak, że Klejnot mógł być wykorzystany na inne sposoby, a sterowanie fenomenami meteorologicznymi było niemal przypadkową, choć efektowną demonstracją zbioru reguł, na których opierało się funkcjonowanie Wzorca i Atutów oraz fizyczna integralność samego Amberu, w odróżnieniu od Cienia.

Niestety, brakowało szczegółów. Im głębiej jednak szukałem w pamięci, tym więcej znajdowałem zdarzeń potwierdzających tę tezę. Tato niezwykle rzadko używał Klejnotu i chociaż zawsze mówił o nim jako o urządzeniu sterującym pogodą, to pogoda nie zawsze się zmieniała, kiedy miał go przy sobie. Często też zabierał go na te swoje wycieczki. Dlatego skłonny byłem uwierzyć, że Klejnot miał większą moc. Eryk pewnie też tak sądził, ale nie zdołał odkryć innych zastosowań. Po prostu wykorzystał kamień w sposób najbardziej oczywisty podczas naszego z Bleysem ataku na Amber i powtórzył to w zeszłym tygodniu, gdy niezwykle stwory nacierały od czarnej drogi. W obu przypadkach Klejnot dobrze mu się przysłużył, choć nie ocalił życia. Dlatego lepiej, żebym się nauczył go używać. Każda dodatkowa przewaga mogła mieć znaczenie. Poza tym dobrze się stanie, jeśli będą mnie widzieć z Klejnotem na szyi. Zwłaszcza teraz.

Odłożyłem papiery do sejfu, a Klejnot schowałem do kieszeni. Potem wyszedłem z pokoju i zbiegłem na dół. Znowu przemierzałem korytarze czując się tak, jakbym nigdy stąd nie odchodził. Tu był mój dom. O tym marzyłem. Teraz ja byłem jego obrońcą. Nie nosiłem korony, ale wszystkie jego problemy stały się moimi.

Cóż za ironia. Wróciłem, by wydrzeć Erykowi władzę, odebrać majestat, panować. I nagle wszystko zaczynało się sypać. Szybko zrozumiałem, że Eryk zachował się nieprawidłowo. Jeśli to on załatwił tatę, nie miał prawa do tronu. Jeśli nie, to jego działanie było przedwcześnie.

Tak czy inaczej, koronacja posłużyła jedynie dla podniesienia jego – i tak już wygórowanego – mniemania o sobie. Co do mnie, to chciałem tronu i wiedziałem, że potrafię go zdobyć. Powstrzymała mnie przed tym odpowiedzialność – w końcu moi żołnierze kwaterowali w Amberze, wkrótce miały spaść na mnie podejrzenia o zabójstwo Caine'a, dowiedziałem się właśnie o pierwszych oznakach fantastycznej intrygi, a w dodatku wciąż istniała możliwość, że tato żyje. Kilkakrotnie miałem wrażenie, że próbuje nawiązać kontakt, a raz nawet, parę lat temu, że potwierdza moje prawo do sukcesji.

Jednak tyle ostatnio zdarzyło się oszustw i mistyfikacji, że sam nie wiedziałem, w co wierzyć. Nie abdykowałem. A ja byłem ranny w głowę i aż za dobrze pojmowałem własne pragnienia. Mózg to zabawne miejsce. Nawet własnym szarym komórkom nie mógłbym zaufać. Czy to możliwe, że właśnie ja to wszystko zorganizowałem?

Wiele się zdarzyło, odkąd stąd zniknąłem. Oto cena należenia do rodu Amber: nie można ufać

nawet samemu sobie. Zastanawiałem się, co powiedziałby Freud. Wprawdzie nie potrafił uleczyć mojej amnezji, ale kilka razy znakomicie trafił zgadując, jaki był mój ojciec i jakie panowały między nami stosunki. Wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy. Chciałbym jeszcze kiedyś z nim porozmawiać.

Przeszedłem przez marmurową jadalnię, by zagłębić się w mroczny korytarz. Skinąłem głową strażnikowi i zbliżyłem się do drzwi. Przekroczyłem próg, wszedłem na podest, ruszyłem dalej, w dół. Nieskończoną spiralą schodów, wiodącą do wnętrza Kolviru. Schodziłem. Tu i tam płonęły światła. Dalej była ciemność.

Gdzieś po drodze wydało mi się, że równowaga uległa zmianie i teraz nie działałem już, a byłem zmuszany do działania. Popędzany. I każdy ruch nieuchronnie prowadził do następnego. Kiedy to się zaczęło? Może trwało od wielu lat i dopiero teraz zdałem sobie z tego sprawę. Może wszyscy byliśmy ofiarami, choć nieświadomymi sposobu i stopnia uzależnienia. Znakomita pożywka dla ponurych myśli. Gdzie teraz jesteś, Sigmundzie? Chciałem kiedyś – i chcę nadal – być królem. Bardziej niż czegokolwiek innego. Im więcej jednak wiedziałem, im więcej myślałem o tym, czego się dowiedziałem, tym bardziej wszystkie moje posunięcia przypominały szachowe otwarcie królewskim pionem.

Pojałem, że to uczucie towarzyszy mi od pewnego czasu, coraz silniejsze, i że wcale mi się ono nie podoba. Ale przecież, pocieszyłem sam siebie, żadna istota żyjąca nie potrafi się ustrzec od błędów. Jeśli wrażenia odpowiadały rzeczywistości, to z każdym dźwiękiem dzwonka mój osobisty Pawłow coraz bardziej zbliżał się do mych kłów. Czułem, że już niedługo nadejdzie pora i znajdzie się bardzo blisko. I wtedy dopilnuję, by już nie odszedł i by nigdy nie powrócił.

Obrót, obrót, dookoła i w dół, światło tu, światło tam, moje myśli jak nici na szpulce, zwijające się lub rozwijające, trudno powiedzieć. Pode mną zgrzyt metalu o kamień – pochwa miecza wstającego wartownika. Zmarszczka blasku z uniesionej latarni.

– Książę Corwin...

– To ja, Jamie.

Na samym dole zdjąłem z półki latarnię, zapaliłem ją, odwróciłem się i ruszyłem w stronę tunelu, krok po kroku spychając ciemność z mej drogi. Wreszcie tunel. Więc dalej, w głąb, licząc boczne korytarze. Szukałem siódmego. Echa i cienie. Pleśń i kurz.

Wreszcie jest. Zakręt. Już niedaleko.

W końcu wielkie, ciemne, okute żelazem drzwi. Otworzyłem je i pchnąłem mocno. Zgrzytnęły, stawiały opór, wreszcie odsunęły się do wnętrza.

Postawiłem latarnię wewnątrz, po prawej stronie. Nie była mi już potrzebna. Wzorzec dawał dość światła dla tego, po co tu przybyłem.

Przez chwilę obserwowałem Wzorzec – lśniąca płataninę krzywych linii w gładkiej czerni podłogi, kpiących z oczu, co próbowałyby wysledzić ich bieg. Dawał władzę nad Cieniem, pozwolił mi odzyskać większość wspomnień. I zniszczyłby mnie natychmiast, gdybym spróbował niewłaściwej drogi. Dlatego lęk przyćmiewał nieco wspaniałe perspektywy, jakie ten widok przede mną roztaczał. Wzorzec był pradawnym i tajemniczym dziedzictwem rodziny, a należne mu miejsce znajdowało się właśnie tutaj, w podziemiach.

Przeszedłem do rogu, gdzie rozpoczynał się labirynt. Tam uspokoiłem umysł, rozluźniłem mięśnie i postawiłem lewą stopę na Wzorcu. Nie zatrzymując się ani na chwilę, ruszyłem naprzód czując, jak prąd przepływa przez moje ciało. Błękitne iskry trysnęły wokół butów.

Kolejny krok. Tym razem rozległ się wyraźny trzask i poczułem opór. Zatoczyłem pętlę, zmuszając się do pośpiechu, pragnąc możliwie szybko dotrzeć do Pierwszej Zasłony. Gdy ją osiągnąłem,



poczułem mrowienie we włosach, a iskry stały się dłuższe i bardziej jaskrawe.

Opór narastał. Każdy krok wymagał większego wysiłku niż poprzedni. Trzaski były coraz głośniejsze, a prąd bardziej intensywny. Włosy stały mi dęba; strząsałem z palców iskry. Nie spuszczałem wzroku z płonącej linii i napierałem bez przerwy.

Nagle opór ustał. Zachwiałem się, ale szedłem dalej. Minałem Pierwszą Zasłonę i jak zawsze tutaj, ogarnęło mnie poczucie spełnienia. Wspomniałem poprzednie przejście, w Rebmie, mieście pod powierzchnią morza. Zakończony właśnie etap był początkiem powrotu mej pamięci. Tak. Parłem dalej, iskry wybuchły od nowa i rozbudziły się prądy. Czułem mrowienie w całym ciele.

Druga Zaslona... Zakręty... Ten etap zawsze wymagał najwyższego wysiłku, przemiany jaźni w czystą Wolę. Wrażenie było niesamowite i potężne. W tej chwili liczyło się dla mnie tylko pokonanie Wzorca. Zawsze byłem w tym miejscu, walczyłem, nigdy nie odchodziłem i nie odejdę, stawiając swoją wolę przeciw temu labiryntowi mocy. Czas przestał istnieć. Pozostało tylko napięcie.

Iskry sięgnęły mi do piersi. Wkroczyłem na Wielki Łuk i walczyłem o każdy krok. Rozpadałem się bez przerwy i odradzałem na każdym metrze jego długości, przypiekany ogniami stworzenia, chłodzony mrozem entropijnego końca świata.

Na zewnątrz i w głąb, i obrót. Jeszcze trzy skręty, kawałek prostej, kilka łuków. Zawrót głowy, wrażenie zanikania i intensyfikacji, jakbym oscylował wokół granicy istnienia. Zwrot za zwrotem, za zwrotem, za zwrotem... Krótki, ciasny łuk... Prosta, wiodąca do Końcowej Zaslony... Przypuszczam, że dyszałem wtedy ze zmęczenia i ociekałem potem. Z trudem przesuwalem stopy. Iskry sięgały do ramion, potem do oczu – przestałem widzieć Wzorzec między mrugnięciami. Jasno, ciemno, jasno, ciemno... I Zaslona. Pchnąłem do przodu prawą stopę rozumiejąc, jak musiał się czuć Benedykt, gdy czarna trawa uwięziła jego nogi. Tuż przed tym, jak go ogłuszyłem. Sam czułem się ogłuszony. Lewa stopa do przodu – bardzo wolno, aż trudno było uwierzyć, że naprawdę się poruszyła. Ramiona były błękitnym płomieniem, nogi kolumnami ognia. Następny krok. I następny. I jeszcze jeden.

Czułem się jak ożywiony posąg, topniejący bałwan, jak pękający filar... Dwa kroki... Trzy... Sunąłem w tempie lodowca, ale miałem do dyspozycji całą wieczność i niezmienną stałość woli, która zostanie doceniona...

Minałem Zasłonę. Za nią czekał ostry skręt. Trzy kroki, by go pokonać i dotrzeć do ciemności i spokoju. Najgorsze ze wszystkiego.

Przerwa na kawę dla Syzyfa! Tak brzmiała moja pierwsza myśl, gdy opuściłem Wzorzec. I druga: Znów mi się udało! I trzecia: Nigdy więcej!

Pozwoliłem sobie na luksus kilku głębokich oddechów i otrząsałem się lekko. Potem wyjąłem z kieszeni Klejnot i na łańcuchu podniosłem go do oka.

Wewnątrz był czerwony, oczywiście, głęboką, wiśniową czerwienią, przydymioną i pełną lśnień. Miałem wrażenie, że po drodze przez Wzorzec nabrał mocniejszego blasku. Przyglądałem się uważnie, myśląc o instrukcjach i porównując je z tym, co już wiedziałem.

Kiedy ktoś przejdzie Wzorzec i dotrze do tego miejsca, może go wykorzystać i przenieść się w dowolny punkt, jaki zdoła sobie wyobrazić. Wymaga to jedynie chęci i aktu woli. Muszę przyznać, że przez moment czułem lęk. Jeśli oczekiwany efekt wystąpi tak, jak zwykle, mogę sam się wpakować w dość niecodzienną pułapkę.

Ale Erykowi się udało. Nie został uwięziony w sercu kryształu, gdzieś daleko w Cieniu. Dworkin, który pisał te instrukcje, był wielkim człowiekiem. Ufałem mu. Uspokajając myśli, uważnie wpatrzyłem się we wnętrze kamienia.

Było tam zniekształcone odbicie Wzorca, otoczone migającymi punktami światła, maleńkie płomyki i rozbłyśki, przedziwne krzywe i ścieżki. Podjąłem decyzję, zogniskowałem wolę...

Spowolniona czerwień... jakbym zanurzał się w oceanie cieczy o wysokiej lepkości. Z początku bardzo powoli. Unosiłem się w coraz gęściejszym mroku, a wszystkie cudowne światła lśniły daleko, bardzo daleko przede mną. Pozorna prędkość rosła. Płatki światła, migotliwe i odległe. Chyba odrobinę szybciej – brakowało punktu odniesienia. Byłem pyłkiem jaźni o nieokreślonym wymiarze, świadomym ruchu, świadomym konfiguracji, ku której zmierza, teraz niemal prędko. Czerwień prawie zniknęła, podobnie jak wrażenie istnienia ośrodka.

Zniknął opór. Pędziłem. Zdawało mi się, że wszystko to trwa tylko moment – moment, który jeszcze nie minął. Wydawało się niezwykle, pozaczasowe. Moja prędkość w stosunku do tego, co uznawałem teraz za cel, była ogromna. Niewielki, spleciony labirynt rósł, rozszerzał się w coś podobnego do trójwymiarowej wersji samego Wzorca. Nakrapiany barwnymi światłami rósł przede mną, przypominając niezwykłą galaktykę, pogrążoną w wiecznej nocy, otoczoną bladą aureolą pyłu, z ramionami tysięcy migocących punktów. Galaktyka rosła lub ja malałem i zbliżała się lub to ja się zbliżałem, aż byliśmy blisko, razem; wypełniała całą przestrzeń, od góry do dołu, od prawej do lewej, a moja szybkość zdawała się stale rosnąć. Pochwycił mnie i oszołomił jej blask. Dostrzegłem smugę światła i wiedziałem, że to jest początek.

Znalazłem się zbyt blisko, zagubiony, by dostrzegać jeszcze ogólny układ, ale sploty migotanie, sprzężenie wszystkiego, co widziałem dookoła, budziło wątpliwość, czy trzy wymiary to dość, by wyjaśnić oszałamiającą zmysły złożoność, jaką miałem przed sobą. Od galaktycznej analogii umysł przeskoczył na przeciwny biegun, sugerując nieskończenie wymiarową przestrzeń Hilberta cząstek subatomowych. Było to jednak desperackie porównanie. Szczerze i zwyczajnie, nic z tego nie rozumiałem. Miałem tylko coraz silniejsze wrażenie – wywołane przez Wzorzec czy może instynktowne – że muszę przejść przez ten labirynt, by wkroczyć na nowy poziom mocy, jakiego pragnąłem.

Nie myliłem się. Wessało mnie do wewnątrz, a moja pozorna szybkość nie zmniejszyła się wcale. Przelatywałem i wirowałem po ognistych drogach, przebijając niematerialne chmury lśnienia i blasku. Nie istniały tu obszary zwiększonego oporu jak we Wzorcu, a początkowy impet wystarczał, by przenieść mnie do centrum. Szaleńcza podróż wirem po Mlecznej Drodze? Tonący wciągnięty między ściany koralowych kanionów? Bezsenny wróbel przelatujący nad wesołym miasteczkiem w noc Czwartego Lipca? Tak myślałem, wspominając niedawne przejście w tej niezwykłej, odmienionej formie. I na zewnątrz, po wszystkim, koniec, w rozbłysku purpurowego światła, które odnalazło mnie, gdy patrzyłem na siebie z Klejnotem w ręku, obok Wzorca, potem patrzyłem na Klejnot, a Wzorzec był w jego wnętrzu i we mnie, wszystko istniało we mnie, a ja w nim; czerwień rozpływała się, gasła, zniknęła. Potem już tylko ja, Klejnot i Wzorzec, i na nowo odbudowane relacje podmiotowo – przedmiotowe, tyle że o oktawę wyżej – tak chyba najlepiej można to wyrazić – ponieważ istniało teraz pewne porozumienie, jakbym uzyskał dodatkowy zmysł, dodatkowy środek wyrazu. Wrażenie było niezwykle i sprawiało satysfakcję. Aby je wypróbować, raz jeszcze podjąłem decyzję i nakazałem Wzorcowi, by przetransportował mnie gdzie indziej.

A potem stałem w komnacie na szczycie najwyższej wieży Amberu. Wyszedłem na zewnątrz, na małe balkon. Widok uderzał swym podobieństwem do pozazmysłowej podróży, którą właśnie zakończyłem. Przez kilka długich chwil po prostu stałem tam i patrzyłem. Morze odbijające częściowo zachmurzone niebo, zabarwione blaskiem zachodu, było studium deseni. Chmury także ukazywały wzory delikatnego lśnienia i ostrych cieni. Wiatr przesuwał się ku morzu i zapach soli był mi chwilowo niedostępny. Czarne punkty ptaków wirowały i unosiły się w dali, ponad wodą. Poda mną pałacowe dziedzińce i tarasy miasta leżały rozwinięte w niezmiennej elegancji aż do krawędzi Kolviru. Ludzie na ulicach zdawali się maleńcy, niemal nieruchomi. Czułem się bardzo samotny.

Wtedy dotknąłem Klejnotu i przywołałem burzę.

# Rozdział 4

---

Kiedy wróciłem, Random i Flora czekali już w mojej kwaterze. Random spojrział najpierw na Klejnot, potem na mnie. Kiwnąłem głową. Skłoniłem się lekko przed Florą.

– Siostró – powiedziałem. – Minęło sporo czasu, a potem jeszcze więcej.

Wyglądała na trochę przestraszona; to dobrze. Uśmiechnęła się jednak i podała mi rękę.

– Witaj, bracie. Widzę, że dotrzymałeś słowa.

Miała jasne, złote włosy. Obciąła je, zachowując jednak grzywkę. Nie potrafiłem zdecydować, czy podoba mi się w tej fryzurze. Miała piękne włosy. A także niebieskie oczy i całe tony próżności, dzięki której mogła spoglądać na wszystko ze swej ulubionej perspektywy. Czasami zachowywała się głupio, ale czasami wcale nie byłem tego pewien.

– Wybacz, że ci się tak przyglądam. Ale przy ostatnim spotkaniu nie mogłem cię widzieć.

– Cieszę się, że sytuacja została naprawiona. To było... Wiesz przecież, że nic nie mogłam zrobić.

– Wiem – przyznałem, wspominając dźwięk jej śmiechu z tamtej strony ciemności, przy okazji któregoś z rocznic wydarzenia. – Wiem.

Podszedłem do okna i otworzyłem je wiedząc, że deszcz nie napada do środka. Lubię zapach burzy.

– Randomie, czy dowiedziałeś się czegoś w sprawie naszego listonosza? – spytałem.

– Niewiele – odparł. – Popytałem trochę. Nikt nie widział nikogo innego w odpowiednim miejscu o właściwym czasie.

– Rozumiem. Dziękuję ci. Może zobaczymy się jeszcze, trochę później.

– Kiedy zechcesz. Będę u siebie przez cały wieczór.

Skinąłem mu głową, odwróciłem się i oparłem o parapet, patrząc na Florę. Random cicho zamknął za sobą drzwi. Przez jakieś pół minuty wsłuchiwałem się w szum deszczu.

– Co masz zamiar ze mną zrobić? – spytała wreszcie.

– Zrobić?

– W aktualnej sytuacji możesz żądać wyrównania rachunków. Zakładam, że niedługo zaczniesz.

– Możliwe – przyznałem. – Jednak większość spraw zależy od innych. A ta sprawa się nie wyróżnia. – Nie rozumiem.

– Daj mi to, czego potrzebuję, a wtedy zobaczymy. Podobno bywam czasem miłym facetem.

– A czego potrzebujesz?

– Opowiedzi, Floro. Zacznijmy od tego, jak stałaś się moją pasterką w cieniu Ziemi. Wszystkie istotne szczegóły. Jakie były ustalenia? W czym się orientowałaś? Wszystko. Na razie tyle.

Westchnęła.

– To się zaczęło... – zastanowiła się. – Tak, w Paryżu, na przyjęciu u niejakiego Monsieur Focaulta. Jakies trzy lata przed Terrorem.

– Momencik – przerwałem. – Co tam robiłaś?

– Przebywałam w tamtym rejonie Cienia przez mniej więcej pięć ich lat. Podróżowałam, szukając czegoś nowego, czegoś, co odpowiadałoby moim kaprysom. Trafiłam wtedy w to miejsce w ten sam sposób, w jaki znajdujemy cokolwiek. Pozwoliłam, by prowadziły mnie pragnienia, i byłam posłuszna instynktowi.

– Niezwykły zbieg okoliczności.

– Wcale nie, jeśli wziąć pod uwagę czas i naszą skłonność do podróży. Jeśli wolisz, to był mój

Avalon, moja namiastka Amberu, dom z dala od domu. Zresztą, nazywaj to jak chcesz, w każdym razie byłam tam, na tym przyjęciu, owej październikowej nocy, gdy się zjawiłeś z taką niewysoką, rudowłosą dziewczyną. Miała chyba na imię Jacqueline.

Słowa Flory przywołały zatarte wspomnienia, od dawna już niemal zapomniane. Pamiętałem Jacqueline o wiele lepiej, niż przyjęcie u Focaulta, ale istotnie, była kiedyś taka impreza.

– Mów dalej.

– Jak już powiedziałam – kontynuowała – byłam tam. Ty przyszedłeś później. Naturalnie, od razu zwróciłam na ciebie uwagę. Chociaż, jeśli ktoś trwa wystarczająco długo i wiele przy tym podróżuje, spotyka czasem osobę bardzo podobną do kogoś znajomego. Tak właśnie pomyślałam, kiedy otrząsnęłam się ze zdumienia: z pewnością jakiś sobowtór. Od tak dawna się przecież nie odzywałeś. Z drugiej strony jednak wszyscy mamy swoje tajemnice i powody, by ich nie zdradzać. To mógł być jeden z twoich sekretów. Postarałam się więc, by nas sobie przedstawiono, a piekielnie trudno było oderwać cię choćby na kilka minut od tego rudowłosego stworzonka. Twierdziłeś, że nazywasz się Fenneval, Cordell Fenneval. Nie mogłam się zdecydować, czy to twój sobowtór, czy jednak ty. Wpadła mi też do głowy trzecia możliwość: żyłeś w jakimś przyległym obszarze tak długo, że rzuciłeś własny cień. Być może wróciłabym do domu, wciąż niepewna, gdyby Jacqueline nie zaczęła się przede mną chwalić twoją siłą. Nie jest to najbardziej typowy dla kobiety temat rozmowy. W dodatku mówiła o tym w taki sposób, jakby naprawdę twoje wyczyny wywarły na niej duże wrażenie. Pociągnęłam ją trochę za język i przekonałam się, że niewątpliwie byłbyś zdolny do wszystkiego, o czym opowiadała. To wykluczało teorię sobowtóra. Zatem: albo ty, albo twój cień. Jeśli nawet Cordell nie był Corwinem, to był tropem, wskazówką, że przebywasz lub przebywałeś gdzieś blisko, w Cieniu; pierwszym prawdziwym śladem prowadzącym do ciebie, na jaki natrafiłam. Podążyłam tym śladem i zaczęłam badać twoją przeszłość. Im więcej wypytywałam, tym bardziej sprawa stawała się zagadkowa. Szczerze mówiąc, po paru miesiącach wciąż nie miałam pewności. Trafiłam na dostatecznie dużo białych plam, by wszystko było możliwe. Rozwiązanie pojawiło się następnego lata, gdy na pewien czas wróciłam do Amberu. Wspomniałam Erykowi o tej dziwnej sprawie...

– I co?

– No cóż... zdawał sobie sprawę...w pewien sposób... z takiej możliwości.

Przerwała na chwilę; poprawiła leżące obok rękawiczki.

– No, tak – mruknąłem. – A co ci właściwie powiedział?

– Że to możesz być ty – odparła. – Twierdził, że zdarzył ci się... wypadek.

– Doprawdy?

– Niezupełnie – przyznała. – Nie wypadek. Powiedział, że walczyliście i zostałeś ranny. Myślał, że umierasz, i nie chciał, by obciążono go winą. Dlatego przeniósł cię w Cień i zostawił, właśnie tam, gdzie cię spotkałam. Po pewnym czasie uznał, że nie żyjesz, co ostatecznie kończy wasze spory. Oczywiście, moja opowieść bardzo go zaniepokoiła. Kazał mi przysiąc, że dochowam tajemnicy, po czym wysłał mnie z powrotem, żebym cię pilnowała. Zdążyłam wszystkim opowiedzieć, jak bardzo mi się tam podobało, więc miałam dobry pretekst, by wrócić.

– Nie wierzę, byś całkiem bezinteresownie obiecała zachować milczenie, Floro. Co ci dał?

– Dał słowo, że nie zapomni o mnie, jeśli kiedykolwiek dojdzie w Amberze do władzy.

– Ryzykowałeś – stwierdziłem. – W końcu miałaś coś, co mogło mu zaszkodzić: wiedziałaś, gdzie przebywa jego rywal, i znałaś rolę, jaką odegrał w pozbyciu się tego rywala.

– Fakt. Ale te kwestie jakby się równoważyły. Musiałabym przyznać, że jestem współniczką, by w ogóle o tym mówić.

Pokiwałem głową.

– Niepewne, ale możliwe – zgodziłem się. – Czy jednak sądzisz, że zostawiłby mnie przy życiu, gdyby pojawiła się szansa przejęcia tronu?

– Nigdy o tym nie mówiliśmy. Nigdy.

– Z pewnością zastanawiałaś się nad tym.

– Owszem – przyznała. – Później. Uznałam, że najprawdopodobniej nie zrobi nic. W końcu było prawie pewne, że straciłeś pamięć. Nie miał powodów, żeby się tobą zajmować, póki byłeś nieszkodliwy.

– Więc dlatego mnie obserwowałaś? Pilnowałaś, czy ciągle jestem nieszkodliwy?

– Tak.

– A co byś zrobiła, gdybym zaczął zdradzać objawy powrotu pamięci?

Spojrzała na mnie, po czym spuściła głowę.

– Powiedziałałabym Erykowi.

– A co on by zrobił?

– Nie wiem.

Zaśmiałem się, a ona zarumieniła. Nie pamiętałem już, kiedy widziałem rumieniec u Flory.

– Nie mam ochoty dyskutować o rzeczach oczywistych – stwierdziłem. – Zostałaś na miejscu i obserwowałaś mnie. Co dalej? Co się stało potem?

– Nic specjalnego. Ty sobie normalnie żyłeś, a ja cię pilnowałam.

– Czy wszyscy wiedzieli, gdzie przebywasz?

– Tak. Nie ukrywałam tego. Odwiedzali mnie nawet kolejno.

– Random także?

– Owszem – skrzywiła się. – Kilka razy.

– Skąd ta mina?

– Za późno, by udawać, że go lubię – oświadczyła. – Sam wiesz. Nie podobają mi się ludzie, którymi się otacza: różni przestępcy, muzycy jazzowi... Staralam się być uprzejma, kiedy odwiedzał mój cień, ale było to bardzo uciążliwe. Ci ludzie kręcili się bez przerwy, jakieś jam sessions, poker całymi nocami... Mieszkanie cuchnęło potem przez parę tygodni. Zawsze z ulgą przyjmowałam jego odjazd. Przepraszam. Wiem, że go lubisz, ale chciałeś znać prawdę.

– Raził twoje delikatne poczucie estetyki. W porządku. Chciałbym teraz wrócić do tego krótkiego okresu, gdy byłem twoim gościem. Random zjawił się u nas dość nieoczekiwanie, ścigało go pół tuzina wrednych typów, których pozbyliśmy się w twoim salonie.

– Przypominam to sobie, bardzo dokładnie.

– Pamiętasz tych ludzi? Te stwory, którymi musieliśmy się zająć?

– Tak.

– Na tyle dokładnie, że poznałabyś takiego, gdybyś go znowu zobaczyła?

– Chyba tak.

– To dobrze. A widziałaś takiego wcześniej?

– Nie.

– A potem?

– Nie.

– Może słyszałaś, jak ktoś o nich mówił?

– Jeśli nawet, to nie pamiętam. Czemu pytasz?

– Jeszcze za wcześnie – pokręciłem głową. – Pamiętaj, że to ja mam zadawać pytania. Pomyśl teraz o wcześniejszym okresie. O wypadku, przez który trafiłem do Greenwood. Może nawet jeszcze

wcześniej. Co się zdarzyło i jak się o tym dowiedziałas? W jakich okolicznościach? Jaka była w tym twoja rola?

– No, tak – mruknęła. – Wiedziałam, że zapytasz mnie o to wcześniej czy później. Otóż Eryk skontaktował się ze mną zaraz następnego dnia, z Amberu, przez Atut – spojrzała na mnie uważnie, zapewne by sprawdzić, jak to przyjmuję, obserwować moje reakcje. Zachowałam kamienny wyraz twarzy. – Powiedział, że poprzedniego wieczoru miałaś paskudny wypadek i jesteś w szpitalu. Kazał cię przenieść do prywatnej kliniki, gdzie miałabym więcej do powiedzenia w kwestii przebiegu kuracji.

– Innymi słowy, chciał, żebym pozostała rośliną.

– Chciał, żeby trzymali cię pod narkozą.

– Czy przyznał się, że ponosi odpowiedzialność za ten wypadek?

– Nie mówił, że polecił komuś przestrzelić ci oponę, ale wiedział, że to właśnie się stało. A skąd mógł wiedzieć? Kiedy się zorientowałam, że zamierza zawładnąć tronem, uznałam, że postanowił usunąć cię ostatecznie. Gdy mu się to nie powiodło, logicznym rozwiązaniem było unieruchomić cię aż do koronacji.

– Nie wiedziałem, że ktoś przestrzelił mi oponę – powiedziałem.

Zmieniła się na twarzy. Potem się opanowała.

– Mówiłeś, że wiesz, że to nie był wypadek. Że ktoś próbował cię zabić. Sądziłam, że jesteś poinformowany o szczegółach.

Znowu, po raz pierwszy od dłuższego czasu, wkroczyłem na niepewny grunt. Wciąż odczuwałem skutki amnezji, których pewnie nie pozbędę się już nigdy. Wspomnienia z okresu poprzedzającego wypadek były raczej mgliste. Wzorzec przywrócił mi pamięć całego życia, ale wstrząs zniszczył chyba nieodwracalnie reminiscencje wydarzeń bezpośrednio sprzed wypadku. Nie było w tym nic niezwykłego. Raczej uszkodzenie organiczne niż zwykłe zaburzenia funkcjonalne. Nie rozpaczałem zanadto, szczęśliwy, że odzyskałem całą resztę. Co do samej katastrofy, to przypominałem sobie wystrzały. Były dwa. Może nawet dostrzegłem postać z karabinem, przelotnie i za późno. A może to tylko fantazja. Chyba jednak nie. Myślałem o czymś takim, kiedy zmierzałem do Westchester. Jednak nawet teraz, kiedy miałem władzę w Amberze, niechętnie przyznawałem się do tej luki. Raz już udało mi się oszukać Florę, choć dysponowałem o wiele mniejszym zasobem informacji. Postanowiłem nie zarzucać zwycięskiej kombinacji.

– Nie miałem możliwości, żeby wysiąść i sprawdzić, w co trafił – odparłem. – Słyszałem strzały. Straciłem panowanie nad wozem. Uznałem, że to opona, ale nie wiedziałem na pewno. Zapytałem wyłącznie dlatego, że byłem ciekaw, jak się o tym dowiedziałas.

– Już ci mówiłam: Eryk mi powiedział.

– Zaniepokoił mnie raczej sposób, w jaki to mówiłaś. Odniosłem wrażenie, że znałaś szczegóły, zanim jeszcze się z tobą skontaktował.

Potrząsnęła głową.

– Musisz mi wybaczyć niezręczne sformułowanie. Czasem tak to wygląda, gdy wspomina się o minionych zdarzeniach. Muszę zaprzeczyć temu, co sugerujesz. Nie miałam nic wspólnego z wypadkiem i nie wiedziałam z góry, że się wydarzy.

– Ponieważ nie ma tu Eryka, który mógłby zaprzeczyć lub potwierdzić twoje słowa, zostawmy tę sprawę – oświadczyłem. – Na razie.

Powiedziałem to, by ją zmusić do obrony, odwrócić uwagę od jakiegoś niezręcznego słowa czy wyrażenia, które zdradziłoby niewielką lukę, wciąż istniejącą w mojej pamięci.

– Czy poznałaś tożsamość osoby, która do mnie strzelała? – spytałem.

– Nigdy – odparła. – Pewnie jakiś płatny morderca. Nie wiem. Coś mnie niepokoiło, ale nie potrafiłem dokładnie określić, co.

– Czy Eryk powiedział, kiedy zabrano mnie do szpitala?

– Nie.

– Dlaczego, kiedy byłem u ciebie, próbowałaś przejścia do Amberu, zamiast użyć Atutu Eryka?

– Nie mogłam go wywołać.

– Mogłaś wezwać kogokolwiek innego, żeby cię przerzucił – stwierdziłem. – Floro, wydaje mi się, że kłamiesz.

Szczerze mówiąc, była to tylko próba, by zbadać jej reakcje. Dlaczego nie?

– W jakiej kwestii? – spytała. – Nikogo nie mogłam wywołać. Wszyscy byli zajęci czym innym. O to ci chodziło?

Przyglądała mi się uważnie. Uniosłem rękę i wyciągnąłem w jej stronę, a za moimi plecami, tuż za oknem, zajaśniała błyskawica. Grzmot zrobił duże wrażenie.

– Grzeszysz, pomijając prawdę – spróbowałem.

Ukryła twarz w dłoniach i zaszlochała.

– Nie wiem, czego ode mnie chcesz! – zawołała. – Odpowiedziałam na wszystkie pytania! O co ci jeszcze chodzi? Nie wiem, dokąd zmierzałeś, kto do ciebie strzelał ani kiedy to się stało! Znam tylko fakty, które ci podałam!

Albo była szczerą, albo nie do złamania tymi metodami. Tak czy tak, traciłem tylko czas, bez szans na uzyskanie czegokolwiek. Lepiej zresztą zostawić temat wypadku, zanim zaczniesz się domyślać, jaki jest dla mnie ważny. Jeśli kryło się w tym coś, o czym nie wiedziałem, wolałbym trafić na to pierwszy.

– Chodź ze mną – powiedziałem.

– Gdzie?

– Mam coś, co powinnaś zidentyfikować. Wytłumaczę ci, dlaczego, kiedy już to zobaczysz.

Wstała i poszła za mną. Zabrałem ją do pokoiku, gdzie leżały zwłoki. Chciałem, żeby je obejrzała, zanim opowiem jej o Cainie.

– Tak – mruknęła. – Nawet, gdybym go nie poznała, chętnie powiem, że tak. Dla ciebie.

Burknąłem coś niewyraźnie. Rodzinna solidarność zawsze mnie trochę wzrusza. Nie wiem, czy uwierzyła w moją historię. Ale ponieważ pewne sprawy równoważyły się z pewnymi innymi, nie miało to większego znaczenia. Nie powiedziałem jej o Brandzie, a ona nie miała chyba żadnych informacji na jego temat. Kiedy już skończyłem, jej jedynym komentarzem było:

– Do twarzy ci z tym Klejnotem. Co z nakryciem głowy?

– Za wcześnie, by o tym mówić.

– Jeżeli moja pomoc przyda się na coś...

– Wiem – stwierdziłem. – Wiem.

Mój grobowiec to spokojne miejsce. Stoi samotnie na skalistym zboczu, z trzech stron osłonięty przed żywiołami, otoczony naniesioną tu ziemią, w której rośnie para karłowatych drzew, rozmaite krzaki, zielsko i pędy górskiego bluszczu. Położony jest jakieś trzy kilometry za szczytem Kolviru. To długa, niska budowla. Przed frontonem stoją dwie ławeczki, a bluszcz łaskawie skrył większą część napuszonego hasła, jakie wyryto pod moim imieniem. Nietrudno zrozumieć, że zwykle stoi pusty.

Tego wieczoru jednak zaszyliśmy się tutaj wraz z Ganelonem, z solidnym zapasem wina, pieczywa i zimnych mięs.

– Nie żartowałaś – zawołał, kiedy zsiadł z konia, podszedł do ściany i odsunąwszy liście odczytał



w świetle księżycy wyryte na murze słowa.

– Pewnie, że nie – odparłem, schodząc na dół, by zająć się końmi. – To mój grób.

Przywiązałem wierzchowce do pobliskiego krzaka, odpiąłem torby z zapasami i przeniosłem je na ławeczkę. Ganelon przyłączył się do mnie, gdy tylko otworzyłem pierwszą butelkę i nalałem ciemnego wina do dwóch głębokich kielichów.

– Wciąż tego nie rozumiem – oznajmił, odbierając swoją porcję.

– A co tu jest do rozumienia? Umarłem i zostałem tu pochowany – wyjaśniłem. – To mój memoriał – dodałem poważnie. – Pomnik, jaki się stawia, gdy nie można odnaleźć ciała. Dopiero niedawno się o nim dowiedziałem. Zbudowano go kilka stuleci temu, gdy uznano, że już nie wrócę.

– To trochę niesamowite – stwierdził. – A co jest w środku?

– Nic. Chociaż zapobiegliwie zrobili tam niszę i urnę na wypadek, gdyby moje szczątki jednak się pojawiły. W ten sposób zabezpieczyli się na obie możliwości.

Ganelon zrobił sobie kanapkę.

– Czyj to był pomysł? – zapytał.

– Random sądzi, że Branda albo Eryka. Nikt dokładnie nie pamięta. Wszyscy wtedy uznali, że to rozsądna idea.

Zachichotał złośliwie. Nieprzyjemnie zgrzytliwy śmiech doskonale pasował do pokrytej zmarszczkami i bliznami rudobrodej postaci.

– A teraz, co się z tym stanie?

Wzruszyłem ramionami.

– Któraś z nich uważa pewnie, że szkoda marnować porządny grób, i oczekuje, że wkrótce zajmę należne mi miejsce. Na razie jednak jest to dobre miejsce, żeby się upić. Nie złożyłem sobie jeszcze kondolencji.

Przykryłem jedną kanapkę drugą i zjadłem obie. Po raz pierwszy od powrotu miałem okazję się odprężyć – i na dłuższy czas chyba ostatnią. Trudno powiedzieć. Ale od tygodnia nie miałem możliwości, żeby spokojnie pogadać z Ganelonem, a był on jedną z niewielu osób, którym ufałem. Chciałem mu o wszystkim opowiedzieć. Musiałem. Musiałem porozmawiać z kimś, kto nie był zamieszany w te sprawy tak, jak my wszyscy.

Opowiadałem. Księżyc przesunął się spory kawałek, a w moim grobowcu rósł wolno stos potłuczonego szkła.

– A jak inni to przyjęli? – zapytał Ganelon.

– Jak było do przewidzenia – odparłem. – Wiem, że Julian nie uwierzył w ani jedno słowo, choć twierdzi, że wierzy. Zna mój stosunek do jego osoby, ale w aktualnej sytuacji woli powstrzymać się od oskarżeń. Benedykt chyba też mi nie wierzy, ale w jego przypadku o wiele trudniej odgadnąć, co myśli. Zwleka i mam nadzieję, że póki nie jest pewien, wszelkie wątpliwości tłumaczy na moją korzyść. Co do Gerarda, mam wrażenie, że ta kropla przepełniła czarę i straciłem resztki jego zaufania. Wraca jednak jutro do Amberu i pojedzie ze mną do Gaju po ciało Caine'a. Nie chcę zmieniać tej wyprawy w safari, ale wolę, by był ze mną ktoś z rodziny. Deirdre robiła wrażenie zadowolonej. Jestem pewien, że nie uwierzyła. Ale to bez znaczenia. Zawsze stała po mojej stronie i nie lubiła Caine'a. Chyba podoba jej się, że umacniam swoją pozycję. Nie wiem, co sądzi Llewella. Moim zdaniem, wcale jej nie obchodzi, co któraś z nas robi drugiemu. Fiona za to zdawała się lekko rozbawiona. Chociaż, zawsze traktuje nasze sprawy obojętnie i z wyższością. Trudno powiedzieć, co naprawdę myśli.

– Powiedziałeś im o tej historii z Brandem?

– Nie. Mówiłem tylko o Cainie i że chcę, by jutro wieczorem wszyscy byli w Amberze. Wtedy

poruszę sprawę Branda. Mam pewien pomysł i chcę go sprawdzić.

– Rozmawiałeś z nimi poprzez Atuty?

– Zgadza się.

– Jest coś, o co chciałbym cię spytać. W tym świecie Cienia, który odwiedziliśmy, żeby zdobyć broń, istniały telefony...

– Tak?

– Dowiedziałem się tam o różnych elektronicznych zabawkach. Jak myślisz, czy to możliwe, by Atuty były na podsłuchu?

Zaśmiałem się, ale umilkłem, gdy zdałem sobie sprawę z implikacji tego przypuszczenia.

– Właściwie nie wiem – stwierdziłem w końcu. – Tak wiele tajemnic otacza prace Dworkina... Nic takiego nie przyszło mi do głowy. Nigdy nie próbowałem. Chociaż, zastanawiam się...

– Czy wiesz, ile istnieje kompletów?

– Każdy w rodzinie ma talię lub dwie, a w bibliotece jest z dziesięć zapasowych. Szczerze mówiąc, nie wiem, czy istnieją jeszcze jakieś inne.

– Wielu rzeczy można by się dowiedzieć po prostu słuchając rozmów.

– Owszem. Talia taty, Branda, ta, którą miałem na początku, i ta, którą zgubił Random... do diabła! Sporo tego. Nie wiadomo, co się z nimi dzieje. Nie wiem, co właściwie powinienem zrobić w tej sprawie. Chyba przeprowadzić inwentaryzację i wykonać pewne eksperymenty. Dzięki, że o tym wspomniałeś.

Skinął głową i przez chwilę popijaliśmy w milczeniu.

– Co masz zamiar robić, Corwinie? – zapytał po pewnym czasie.

– Z czym?

– Ze wszystkim. Kogo zaatakujemy i w jakiej kolejności?

– Gdy tylko sprawy tutaj, w Amberze, trochę się ułożą, planowałem prześledzić bieg czarnej drogi aż do jej początków – odparłem. – Teraz jednak zmieniłem porządek priorytetów. Chcę możliwie szybko ściągnąć tu Branda, o ile jeszcze żyje. Jeśli nie, chcę wiedzieć, co mu się przytrafiło.

– Ale czy nieprzyjaciel pozostawi ci dość czasu? Może już w tej chwili szykuje nową ofensywę?

– Masz rację. Myślałem o tym. Mam jednak przecucie, że nie będą się spieszyć, zwłaszcza po ostatniej klęsce. Muszą na nowo zebrać siły, przygotować armię, przeanalizować sytuację z uwzględnieniem naszego nowego uzbrojenia. W tej chwili zamierzam jedynie umieścić wzdłuż czarnej drogi posterunki strażnicze, by ostrzegły nas odpowiednio wcześniej o ich ewentualnych ruchach. Benedykt zgodził się zająć całą operacją.

– Zastanawiam się, ile mamy czasu.

Nalałem mu jeszcze wina, ponieważ była to jedyna odpowiedź, jaka mi przyszła do głowy.

– W Avalonie sprawy nigdy nie były tak skomplikowane. To znaczy, w naszym Avalonie.

– Fakt – przyznałem. – Nie ty jeden tęsknisz do tamtych dni. Teraz, w każdym razie, wydają się proste.

Pokiwał głową. Poczęstowałem go papierosem, ale odmówił. Wolał swoją fajkę. W świetle płomyka zapalniczki obserwował Klejnot Wszechnocy na mojej piersi.

– Mówisz, że rzeczywiście potrafisz tą zabawką wpływać na pogodę? – zapytał.

– Tak.

– Skąd wiesz?

– Sprawdziłem. Udało się.

– A co zrobiłeś?

– Ta burza dziś po południu. Była moja.

– Zastanawiam się...

– Nad czym?

– Co ja bym zrobił, gdybym miał taką władzę. Jak bym jej użył.

– Pierwsza rzecz, jaka mi przyszła do głowy – odparłem, klepiąc mur mego grobowca – to zniszczyć to miejsce, uderzać w nie gromami, póki nie rozpadnie się w gruzy. Nie pozostawić cienia wątpliwości co do moich uczuć i mojej potęgi.

– Czemu zrezygnowałeś?

– Zastanowiłem się trochę. Uznałem... Do diabła! Ten grób może się przydać, i to już niedługo, jeśli nie będę dość sprytny, dość twardy albo jeśli nie będę miał szczęścia. Gdyby to nastąpiło, to gdzie właściwie chciałbym, żeby zrzucili moje kości? Pomyślałem, że to naprawdę dobry punkt: wysoko położony, czysty, z nie ujarzmionymi jeszcze żywiołami. Widać tylko skały i niebo. Gwiazdy, chmury, słońce, księżyc, wiatr, deszcz... Lepsze towarzystwo niż kupa innych sztywniaków. Czemu niby miałbym leżeć przy kimś, kogo nie chcę mieć przy sobie teraz? A nie ma wielu takich, których bym chciał.

– Robisz się ponury, Corwinie. Albo pijany. Albo jedno i drugie. W dodatku zgorzkniały. Nie służy ci to.

– Skąd niby wiesz, co mi służy?

Poczułem, jak sztywnieje obok mnie, i zaraz się odpręża.

– Nie wiem – odpowiedział. – Po prostu mówię to, co widzę.

– Jak tam nasi żołnierze? – spytałem.

– Chyba wciąż jeszcze oszołomieni, Corwinie. Przybyli tu, by stoczyć świętą wojnę na stokach nieba. Uważają, że o to szło w zeszlotygodniowej strzelaninie. Są więc szczęśliwi, ponieważ zwyciężyliśmy. Ale to wyczekiwanie w mieście... Nie rozumieją tego. Niektórzy z tych, których uważali za wrogów, są teraz przyjaciółmi. Więc czują niepokój. Wiedzą, że mają być gotowi do walki, ale nie mają pojęcia, przeciw komu i kiedy. Nie mogli opuścić kwater, więc nie zdają sobie sprawy, jak bardzo ich obecność irytuje regularną armię i wszystkich mieszkańców. Ale chyba szybko się zorientują. Czekałem, by poruszyć z tobą tę sprawę, ale byłeś ostatnio bardzo zajęty...

Przez długą chwilę skupiałem uwagę na papierosie.

– Będę chyba musiał z nimi porozmawiać – stwierdziłem w końcu. – Jutro nie będę miał okazji, a sądzę, że trzeba podjąć jakąś decyzję. Może przenieść ich do obozu w lesie Arden. Tak, najlepiej jutro. Jak tylko wrócimy, pokażę ci na mapie odpowiednie miejsce. Powiesz im, że to w celu lepszej kontroli nad czarną drogą. Że kolejny atak może nastąpić w każdej chwili, co zresztą jest prawdą. Musztruj ich, utrzymuj zdolność bojową. Zjawię się tam, gdy tylko będę mógł, i pogadam z nimi.

– Zostaniesz wtedy w Amberze bez żadnej ochrony osobistej.

– Zgadza się. Ryzyko jednak może się opłacić. Będzie to demonstracja zaufania, a jednocześnie dowód rozważli. Tak, sądzę, że okaże się to rozsądnym posunięciem. Jeśli nie... – wzruszyłem ramionami.

Nalałem nam obu i cisnąłem pustą butelkę do grobowca.

– Przy okazji – dodałem. – Przepraszam.

– Za co?

– Za to, że jestem ponury, pijany i zgorzkniały. Nie służy mi to.

Zachichotał i stuknął się ze mną kielichem.

– Wiem – oświadczył. – Wiem.

I tak siedzieliśmy pod zachodzącym księżycem, póki ostatnia butelka nie została pogrzebana wśród swych towarzyszek. Rozmawialiśmy o dawnych dniach. Potem milczeliśmy, a ja wpatrywałem się w

gwiazdy nad Amberem. Dobrze, że przyszliśmy w to miejsce, lecz teraz wzywało mnie miasto. Ganelon wyczuł, o czym myślę, wstał, przeciągnął się i ruszył do koni. Ulżyłem sobie przy ścianie mojego grobowca i poszedłem za nim.

# Rozdział 5

---

Gaj Jednorozca znajduje się w Ardenie, na południowy zachód od Kolviru, w pobliżu wzniesienia, skąd teren zaczyna się obniżać aż do doliny zwanej Garnath. Gdy Garnath była przeklinana, palona, atakowana i zdobywana, nikt nie zakłócał spokoju niedalekiej wyżyny. W tym gaju tato, całe wieki temu, zobaczył podobno jednorozca i przeżył niezwykle wydarzenia, które doprowadziły w efekcie do uznania zwierzęcia za patrona Amberu i umieszczenia go w naszym herbie. Jeśli nie pomyliliśmy miejsca, była to niewielka, asymetryczna polanka, ledwie osłonięta od strony morza. Leżała dwadzieścia, może trzydzieści kroków od krawędzi urwiska. Wąski strumyk ciurkał tam spod masy skał, rozlewał się w nieduży staw i maleńkim wąwozem płynął dalej w dół, ku Garnath.

Tam właśnie wyruszyliśmy następnego dnia razem z Gerardem. Wyjechaliśmy o takiej porze, że znaleźliśmy się już w połowie drogi z Kolviru, gdy słońce rozrzuciło po oceanie krople światła, a potem całym ich wiadrem chlusnęło na niebo. Gdy to robiło, Gerard ściągnął cugle. Potem zeskoczył z siodła i skinął na mnie, bym poszedł w jego ślady. Co uczyniłem, pozostawiając Gwiazdę i jucznego konia obok jego potężnego srokacza.

Potem ruszyłem za nim, może z dziesięć kroków, do zagłębienia, wypełnionego w połowie żwirem. Zatrzymał się tam i czekał na mnie.

– O co chodzi? – spytałem.

Odwrócił się i spojrzał na mnie. Zmrużył oczy i zacisnął zęby. Odpiął płaszcz, zwinął i położył na ziemi. Potem zdjął pas z mieczem i umieścił go na płaszczu.

– Odrzuć broń i płaszcz – powiedział. – Będą tylko przeszkadzać.

Przeczuwałem już, co się stanie, i uznałem, że lepiej nie protestować. Zwinąłem płaszcz, położyłem Klejnot Wszechmocy obok Grayswandira i stanąłem przed Gerardem. Powiedziałem tylko jedno słowo.

– Dlaczego?

– Minęło sporo czasu – odparł. – Mogłeś zapomnieć.

Zbliżał się wolno. Cofnąłem się, wysuwając ręce przed siebie. Nie wyprowadził ciosu – byłem szybszy od niego. Obaj pochyliłiśmy się. Poruszał lekko prawym ramieniem, trzymając lewe blisko tułowia.

Gdybym miał wybierać miejsce do walki z Gerardem, na pewno poszukałbym innego. On, oczywiście, wiedział o tym. Gdybym musiał z nim walczyć, nie zdecydowałbym się na starcie z gołymi rękami. Jestem lepszy na miecze albo kije. Cokolwiek, co wymaga szybkości i strategii, co zmuszałoby go do obrony, a mnie dawało szansę trafienia, pozwoliło zmęczyć go w końcu i otworzyć drogę do coraz silniejszych ataków. On, oczywiście, wiedział o tym także. Dlatego właśnie złapał mnie w pułapkę. Rozumiałem go jednak, a teraz musiałem grać według jego reguł.

Kilka razy odepchnąłem jego rękę. Przyspieszył i z każdym krokiem był coraz bliżej. Wreszcie zaryzykowałem, wykonałem unik i uderzyłem. Szybki, silny lewy sierp trafił w górną część brzucha. Mógłby rozwalić deskę albo rozerwać wnętrzności zwykłego śmiertelnika. Niestety, Gerard nie osłabł z wiekiem. Usłyszałem, jak stęknął, ale zablokował mój prawy, wsunął prawą rękę pod moją lewą i chwycił mnie z tyłu za ramię.

Zwarłem się z nim wtedy, bojąc się dźwigni, której – być może – nie potrafiłbym przełamać. Odwróciłem się i pchnąłem, chwytając w podobny sposób jego lewe ramię. Wsunąłem prawą nogę za jego kolano i udało mi się przewrócić go na plecy.

Nie puścił mnie jednak, więc zwałem się razem z nim. Zwolniłem chwyt i wbiłem mu łokieć w lewy bok. Kąt nie był idealny, a jego lewa ręka sięgnęła w górę i w bok, by gdzieś za moją głowę połączyć się z prawą. Wysunąłem się jakoś, ale on wciąż trzymał moje ramię.

Przez moment miałem szansę na czysty cios w krocze, powstrzymałem się jednak. Nie dlatego, że mam coś przeciwko uderzeniom poniżej pasa. Po prostu wiedziałem, że jeśli to zrobię, odruchowy skurcz mięśni Gerarda połamie mi kości. Dlatego, rozdzierając skórę o żwir, zdołałem wykręcić lewe ramię i wcisnąć mu je za głowę, równocześnie wsuwając prawe między jego nogi, by pochwycić udo. W tym samym momencie przetoczyłem się w tył, próbując wyprostować nogi, gdy tylko moje stopy znalazły się pode mną. Chciałem go podnieść i cisnąć o ziemię, dla pewności dokładając ramieniem w brzuch.

Gerard jednak rozstawił nogi i przekreślił się na lewo, zmuszając mnie do salta nad sobą. Padając, puściłem jego głowę i wyszarpnąłem lewą rękę. Obszedłem go, odsunąłem prawą i spróbowałem chwycić go z tyłu. Gerard jednak nie miał zamiaru mi na to pozwalać. Wsunął ręce pod siebie, uwolnił się jednym potężnym szarpnięciem i stanął na nogach. Wyprostowałem się i odskoczyłem. Ruszył do mnie natychmiast. Uznałem, że rozgniecie mnie na miazgę, jeśli nie zrezygnuję z zapasów. Musiałem trochę zaryzykować.

Obserwowałem jego stopy. Gdy nadszedł odpowiedni moment, zanurkowałem pod jego wyciągniętymi ramionami akurat wtedy, gdy przenosił ciężar ciała na lewą nogę i podnosił prawą. Udało mi się złapać jego prawą kostkę i szarpnąć ją w tył i w górę. Poleciał w przód i upadł na lewy bok.

Próbował się podnieść, gdy trafiłem go lewym sierpowym w szczękę i powaliłem znowu. Potrząsnął głową, wysunął gardę i wstał. Próbowałem kopnięcia w brzuch, ale skręcił ciało i chybiłem, trafiając w biodro. Utrzymał równowagę i ruszył do natarcia. Okrążyłem go, wyprowadzając pojedyncze ciosy na szczękę. Dwa razy trafiłem w korpus i odskoczyłem natychmiast. Uśmiechnął się; wiedział, że boję się zwarcia. Kopnąłem w brzuch. Opuścił ręce na tyle, bym rąbnął go w szyję, tuż nad obojczykiem. Jednak dokładnie w tym momencie jego ramiona wystrzeliły w przód i objęły mnie w pasie. Uderzyłem grzbietem dłoni w szczękę, ale to go nie powstrzymało; zaciskał chwyt i wolno podnosił mnie w górę. Za późno, by znów go trafić. Potężne łapy powoli miażdżyły moje nerki. Odnalazłem kciukami jego tętnice szyjne i przycisnąłem. Podnosił mnie ponad głowę. Mój uchwyt osłabł, ześliznął się. Potem Gerard cisnął mnie plecami na żwir, tak jak wieśniaczki ciskają pranie na kamienie.

Widziałem maleńkie eksplozje blasku, a świat stał się miejscem na pół tylko realnym, kiedy podniósł mnie znowu na nogi. Dostrzegłem jego pięść...

Wschód słońca wyglądał wspaniale, tylko kąt się nie zgadzał. O jakieś dziewięćdziesiąt stopni... Poczulem zawrót głowy. Przestałem kontemplować sieć dróg bólu, zbiegających się w wielkim mieście w okolicach mojego podbródka.

Wisiałem w powietrzu. Kiedy lekko odwróciłem głowę, mogłem spojrzeć bardzo daleko w dół. Czulem na ciele dwie potężne klamry, zaczepione o ramię i udo. Kiedy na nie spojrzałem, okazały się dłońmi. Wykręciłem głowę jeszcze dalej i zobaczyłem, że należą do Gerarda. Trzymał mnie w górze na wyciągniętych rękach. Stał na samej krawędzi szlaku. Daleko w dole widziałem Garnath i końcowy przystanek czarnej drogi. Gdyby mnie puścił, częściowo dołączyłbym do ptasich odchodów, rozsmarowanych na skale urwiska. Reszta przypominałaby pewnie wyrzucone na brzeg meduzy, zapamiętane z dawnych plaż.

– Tak. Patrz w dół, Corwinie – odezwał się, czując jak się poruszam. Podniósł głowę i spojrzał mi w oczy. – Wystarczy mi wyprostować palce.

– Słyszę – odparłem. Myślałem, w jaki sposób pociągnąć go za sobą, gdyby się na to zdecydował.

– Nie jestem mądrym człowiekiem – oświadczył. – Jednak przyszła mi do głowy pewna myśl...

potworna myśl. I tylko w taki sposób mogę ją sprawdzić. Pomyślałem mianowicie, że od bardzo dawna nie było cię w Amberze. Nie wiem, czy historia o utracie pamięci jest do końca prawdą. Wróciłeś i objąłeś rządy, ale nie jesteś jeszcze władcą. Niepokoiło mnie zabójstwo sług Benedykta, teraz niepokoi mnie śmierć Caine'a. Ale całkiem niedawno zginął także Eryk, a Benedykt został okaleczony. Niełatwo jest obarczyć cię winą za te wypadki, pomyślałem jednak, że jest to możliwe – gdyby się okazało, że sprzymierzyłeś się w tajemnicy z naszymi wrogami z czarnej drogi.

– To nieprawda – stwierdziłem.

– To bez znaczenia wobec tego, co chcę powiedzieć – odparł. – Wysłuchaj mnie. Wszystko potoczy się tak, jak ma się potoczyć. Jeśli w czasie swej długiej nieobecności zaaranżowałeś aktualną sytuację, może nawet usuwając tatę i Branda, by nie przeszkadzali w realizacji twoich planów, to teraz chcesz pewnie zgnieść wszelki opór wobec twej uzurpacji.

– Czy wpadłbym wtedy w ręce Eryka, pozwolił się oślepić i uwięzić?

– Wysłuchaj mnie! – powtórzył. – Mogłeś popełnić błędy, które do tego doprowadziły. To nieistotne. Możesz być niewinny, jak twierdzisz, albo winny, jak to tylko możliwe. Spójrz w dół, Corwinie. To wszystko. Spójrz na czarną drogę. śmierć jest granicą podróży, jaką odbędziesz, jeśli to twoje dzieło. Pokazałem ci swoją siłę na wypadek, gdybyś zapomniał. Mogę cię zabić, Corwinie. Nawet miecz ci nie pomoże, jeśli choć na chwilę pochwyć cię w swoje ręce. A pochwyć, by dotrzymać słowa. Przrzekam ci tylko to, Corwinie, że jeśli jesteś winien, zabiję cię w tej samej chwili, gdy się o tym przekonam. Wiedz też, że moje życie jest zabezpieczone, gdyż złączone jest z twoim życiem.

– W jaki sposób?

– Inni są teraz z nami, poprzez mój Atut. Patrzą i słuchają. Nie zdołasz mnie teraz usunąć, nie odkrywając przed całą rodziną swych prawdziwych intencji. Jeśli zginę, zamordowany zdradziecko, ktoś zrealizuje moją obietnicę.

– Rozumiem. A jeśli kto inny cię zabije, wtedy mnie też zlikwidują. Jedyne Random, Julian, Benedykt i dziewczęta pozostaną, by bronić barykady. Coraz lepiej dla tego, kto to wymyślił. Kto wpadł na ten pomysł, Gerardzie?

– Ja! Ja sam! – zwołał. Poczulem, jak wzmacnia uchwyt, jak sztywnieje i ugina ramiona. – Znowu próbujesz wszystko poplątać! Jak zawsze! – warknął. – Sprawy szły dobrze, dopóki nie wróciłeś! Niech to diabli, Corwinie! Uważam, że to przez ciebie!

I cisnął mnie w powietrze.

– Jestem niewinny, Gerardzie! – zdążyłem tylko krzyknąć.

Wtedy mnie złapał – potężnym, wrywającym ramię ze stawu chwytem – i ściągnął znad przepaści. Szarpnął mnie, odwrócił i postawił na ziemi. Odszedł natychmiast w stronę zwirowatej misy, gdzie stoczyliśmy walkę. Ruszyłem za nim. Zebraliśmy nasze rzeczy. Kiedy zapinał pas, spojrzał na mnie i zaraz odwrócił wzrok.

– Nie będziemy więcej o tym mówić – powiedział.

– Zgoda.

Wróciliśmy do koni. Wskoczyliśmy na siodła i ruszyliśmy w dalszą drogę.

Strumyk wygrywał w gaju swoją cichą muzykę. Stojące już wyżej na niebie słońce przewlekało struny światła między drzewami. Rosa pokrywała jeszcze ziemię. Darń, którą pokryłem mogiłą Caine'a, była wilgotna. Wyjąłem z juków łopatę i odsłoniłem grób. Gerard bez słowa pomógł mi przenieść ciało na płachtę żeglarskiego płótna, którą w tym celu przywieźliśmy. Zawinęliśmy je i

zasznurowaliśmy luźnymi pętlami liny.

– Corwinie! Popatrz! – szepnął nagle Gerard, ściskając mnie za łokieć.

Podążyłem wzrokiem za jego spojrzeniem i zamarłem. Żaden z nas nawet nie drgnął, gdy wpatrywaliśmy się w przedziwne zjawisko: otaczała go delikatna, migotliwa aureola bieli, jakby świt tworzył jego sierść i grzywę; małe kopytka lśniły złotem, tak jak smukły, spiralny róg, wyrastający z wąskiego czoła. Stał na szczycie któregoś z mniejszych głazów i skubał porastający skałę mech. Jego oczy, kiedy podniósł głowę, były jasne i szmaragdowozielone. Na kilka sekund znieruchomiał, tak jak my. Potem wykonał szybki, nerwowy ruch przednimi nogami, wymachując nimi w powietrzu i trzykrotnie uderzając w kamień. Zamigotał i zniknął bezgłośnie jak śnieżny płatek; być może wśród drzew po prawej stronie.

Wstałem i podszedłem do głazu. Gerard był przy mnie. Tam, wśród mchu, odszukałem maleńkie odciski kopyt.

– Więc naprawdę go zobaczyliśmy – stwierdził Gerard.

– Coś zobaczyliśmy – przytaknąłem. – Widziałeś go przedtem?

– Nie. A ty?

Pokręciłem głową.

– Julian twierdzi, że widział go kiedyś z daleka – powiedział. – Mówi, że psy nie chciały go gonić. – Był piękny. Długi, jedwabisty ogon, złociste kopyta...

– Tak. Tato zawsze uznawał to za dobry znak.

– Też chciałbym w to wierzyć.

– Pojawił się w niezwykłym momencie... po tylu latach...

Przytaknąłem znowu.

– Czy jest jakiś specjalny rytuał? On jest naszym patronem i w ogóle... Czy powinniśmy zrobić coś szczególnego?

– Jeśli nawet, to tato nic mi o tym nie mówił – odparłem. Pogładziłem skałę, na której wszystko się wydarzyło. – Jeśli zwiastujesz zmianę fortuny, przynosisz nam łaskę spokoju, dzięki ci, jednorożcu – powiedziałem. – A nawet jeśli nie, dzięki za światło twej obecności w tym mrocznym czasie.

Potem napiliśmy się ze strumienia. Umocowaliśmy nasz pakunek na grzbiecie jucznego konia. Prowadziliśmy wierzchowce, dopóki nie znaleźliśmy się daleko od tego miejsca, gdzie prócz wody wszystko zamarło w bezruchu.



# Rozdział 6

---

Wiecznotrwałe rytuały życia tryskają nieprzerwanie, ludzie piją ciągle ze Źródła nadziei, a deszcze bez rynien nieczęsto padają między nimi: oto dzisiejsze podsumowanie mej życiowej mądrości, dojrzałe w atmosferze twórczego podniecenia. Random odpowiedział mi skinieniem głowy i jakąś przyjazną sprośnością.

Byliśmy w bibliotece. Usiadłem na brzegu wielkiego biurka, Random zajął krzesło po mojej prawej ręce. Gerard stał na drugim końcu pokoju, studiując zawieszony na ścianie okazy broni. A może przyglądał się rzeźbie jednorożca autorstwa Reina? W każdym razie, on także ignorował Juliana, rozwalonego w fotelu obok szaf z książkami, na samym środku. Wyciągnął skrzyżowane w kostkach nogi i gapił się na swe wysokie buty.

Fiona – jakieś metr sześćdziesiąt wzrostu – wpatrywała się swymi zielonymi oczyma w błękitne oczy Flory, gdy rozmawiały stojąc przy kominku. Jej włosy wynagradzały brak ognia i żarzących się głowni. Jak zawsze, przypominała mi dzieło, od którego na moment odstąpił artysta i odłożywszy narzędzia myśli o pytaniach, formujących się z wolna za zasłoną uśmiechu. To miejsce u podstawy szyi, gdzie jego palec wyłobił kość obojczyka, zawsze przyciągało mój wzrok, jako znak mistrza i twórcy. Zwłaszcza kiedy podnosiła głowę, tajemniczo lub władczo, by spojrzeć na nas, wysokich.

Uśmiechnęła się delikatnie, z pewnością świadoma mego spojrzenia – ta jej zdolność graniczyła z jasnowidzeniem, i choć wiedziałem o niej, nigdy nie przestawała mnie niepokoić.

Llewella stała w kącie udając, że czyta. Odwróciła się do nas plecami, a jej zielone loki zawijały się o kilka centymetrów powyżej ciemnego kołnierza. Nie wiem, czy to wyobcowanie wynikało z nastroju, nieśmiałości czy po prostu braku zaufania. Prawdopodobnie ze wszystkiego po trochu. Jej obecność w Amberze była wyjątkowym zdarzeniem.

I właśnie fakt, że tworzyliśmy raczej zbiór indywidualuów niż zespół, rodzinę, właśnie wtedy, gdy chciałem osiągnąć jakąś wspólną świadomość, jakąś wolę współpracy, wywołał moją uwagę i odpowiedź Randoma.

Wyczułem znajomą obecność, usłyszałem "Witaj, Corwinie" i oto stała przede mną Deirdre, wyciągając ku mnie rękę. Chwyciłem jej dłoń i uniosłem. Postąpiła o krok, jakby zaczynając jakiś powolny taniec. Zbliżyła się. Na moment zakratowane okno obramowało jej głowę i ramiona, a wspaniały gobelin ukazał się na ścianie po lewej stronie. Zaplanowała to, naturalnie, i odpowiednio ustawiła. Mimo to, uzyskała pożądaną efekt. Trzymała w palcach mój Atut. Uśmiechnęła się.

Pozostali spojrzeli w naszą stronę, kiedy się pojawiła, a ona odwróciła się wolno i trafiła ich swym uśmiechem, niby Mona Lisa z pistoletem maszynowym.

– Witaj, Corwinie. – Musnęła wargami mój policzek i cofnęła się. – Chyba przybyłam za wcześnie.

– Nigdy – odparłem, oglądając się na Randoma.

Wstał właśnie, przewidując, o co poproszę.

– Pozwolisz, siostrze, że przygotuję ci coś do picia – zaproponował, biorąc ją pod ramię. Ruchem głowy wskazał barek.

– Z przyjemnością. Dziękuję.

Odprowadził ją na bok i nalał wina, zażegnując, a w każdym razie odsuwając na pewien czas tradycyjne starcie z Florą. Przynajmniej, pomyślałem, większość dawnych animozji trwa nadal tak, jak je zapamiętałem. Choć więc straciłem na chwilę towarzystwo Deirdre, to jednak wyczułem

wzrost wskaźnika domowego spokoju, co było dla mnie dość istotne. Random potrafi sobie poradzić, gdy tylko mu na tym zależy.

Zabębniłem palcami po biurku, roztarłem bolące ramię, wyprostowałem nogi, założyłem jedną na drugą, rozważyłem zapalenie papierosa...

I nagle zjawił się. Na drugim końcu pokoju Gerard odwrócił się, powiedział kilka słów, wyciągnął rękę. Chwilę później ścisnął lewą i jedyną dłoń Benedykta, ostatniego członka naszej grupy.

Bardzo dobrze. Benedykt zdecydował się przybyć, używając Atutu Gerarda, nie mojego. W ten sposób dał wyraz uczuciom, jakie wobec mnie żywił. Czy demonstrował także istnienie sojuszu, mającego kontrolować moje wpływy? W każdym razie chciał mnie skłonić do zastanowienia. Czyżby to on namówił Gerarda do tej porannej gimnastyki? Prawdopodobnie.

Julian wstał, przeszedł przez pokój, rzucił Benedyktowi kilka słów i uściśnął mu rękę. Poruszenie zwróciło uwagę Llewelli. Odwróciła się, zamknęła i odłożyła książkę. Potem podeszła, przywitała się z Benedyktem, skinęła głową Julianowi i powiedziała coś do Gerarda.

Zaimprovizowana konferencja stawała się coraz bardziej ożywiona. Jeszcze raz: bardzo dobrze. I jeszcze. Czworo i troje. I dwójka pośrodku...

Czekałem, przyglądając się grupce pod ścianą. Wszyscy byli na miejscu. Powinienem się odezwać, zacząć tłumaczyć, po co ich wezwałem. Mimo to...

Nie mogłem się powstrzymać. Wiedziałem, że wszyscy wyczuwamy napięcie, jakby nagle w pokoju zaczął działać potężny magnes. Chciałem zobaczyć, jak ułożą się opilki.

Flora spojrzała na mnie nieznacznie. Byłem prawie pewien, że przez tę noc nie zmieniła zdania. Chyba że zdarzyło się coś nowego. Nie, z pewnością właściwie przewidziałem kolejne posunięcie.

I miałem rację. Dosłyszałem, jak mówi coś o pragnieniu i kieliszku wina. Odwróciła się i zrobiła krok w moją stronę, jakby oczekiwała, że Fiona pójdzie za nią. Gdy to nie nastąpiło, zawahała się na moment, skupiła na sobie uwagę całego towarzystwa. Zdając sobie z tego sprawę błyskawicznie podjęła decyzję, po czym z uśmiechem ruszyła ku mnie.

– Corwinie – powiedziała. – Napiłabym się trochę wina.

Nie odwracając głowy, nie odrywając spojrzenia od tego, co działo się przede mną, rzuciłem przez ramię:

– Randomie, nalej Florze wina, dobrze?

– Ależ naturalnie – odparł i usłyszałem odpowiednie dźwięki.

Flora kiwnęła głową, starła z twarzy uśmiech i mijając mnie przeszła na prawo.

Cztery na cztery oraz nasza droga Fiona, płonąca jaskrawo na samym środku pokoju, świadoma i rozbawiona wywieranym wrażeniem, natychmiast odwróciła się w stronę owalnego lustra w ciemnej, misternie rzeźbionej ramie, zawieszzonego pomiędzy rzędami półek. Zaczęła poprawiać jakieś niesforne pasemko włosów w okolicy lewej skroni.

Gdy się poruszyła, coś błysnęło srebrem i zielenią wśród czerwonej i złotej geometrii dywanu, tuż obok miejsca, gdzie przed chwilą spoczywała jej lewa stopa. Miałem ochotę równocześnie zakląć i roześmiać się. Ta wredna dziwka znowu się z nami bawiła. Zawsze jednak godna podziwu... Nic się nie zmieniło. Bez przekleństw i bez uśmiechu ruszyłem ku niej. Wiedziała, że podejde.

Julian jednak zbliżył się także, odrobinę szybciej niż ja. Może stał trochę bliżej, a może dostrzegł to o ułamek sekundy wcześniej.

Schylił się i podniósł to delikatnie.

– Twoja bransoleta, siostrze – powiedział uprzejmie. – Głupia, porzuciła twoją rękę. Pozwól, proszę. Wyciągnęła rękę, obdarowując go jednym ze swych spojrzeń spod opuszczonych rzęs. Julian

zapiął szmaragdowy łańcuch. Gdy skończył, ujął jej dłoń i pociągnął do swojego kąta, skąd pozostali obserwowali dyskretnie rozwój wypadków, udając zainteresowanie rozmową.

– Jestem pewien, że rozbawi cię żarcik, który właśnie opowiadamy – zaczął.

Uśmiechnęła się jeszcze bardziej promiennie i uwolniła rękę.

– Dzięki, Julianie – odparła. – Jestem przekonana, że będę się śmiała, gdy go usłyszę. Obawiam się jednak, że jako ostatnia. Jak zwykle – ujęła mnie pod ramię. – Teraz jednak trzeba mi czegoś innego – dodała. – Wina.

Poszedłem z nią i podałem jej kielich. Pięć do czterech. Julian, który nie lubi okazywać uczuć, w chwilę później podjął decyzję i ruszył za nami. Nalał sobie wina, napił się, obserwował mnie przez dziesięć czy piętnaście sekund.

– Chyba wszyscy jesteśmy już na miejscu – stwierdził wreszcie. – Kiedy zamierzasz przystąpić do tego, po co nas tu sprowadziłeś?

– Nie ma powodu zwlekać – odparłem. – Skoro kolejka już obeszała.

Po czym dodałem głośniejszym głosem, kierując się do grupki na drugim końcu pokoju:

– Czas nadszedł. Usiądźmy wygodnie.

Pozostali zbliżyli się wolno. Przyniesiono krzesła, podano więcej wina. Po minucie byliśmy gotowi.

– Dziękuję wszystkim – powiedziałem, gdy ucichły ostatnie szmery. – Mam kilka spraw, które chciałbym omówić, i część z nich pewnie nawet omówię. Wszystko zależy od tego, co się wydarzy. Zaraz przystąpimy do rzeczy. Randomie, powiedz im to, co opowiedziałeś mi wczoraj.

– Jak sobie życzysz.

Wycofałem się na fotel za biurkiem, a Random zajął moje miejsce. Usiadłem wygodnie i znowu wysłuchałem historii o kontakcie z Brandem i nieudanej wyprawie ratunkowej. Była to wersja skrócona, bez wszystkich domysłów i teorii, o których pamiętałem jednak, odkąd Random mi o nich powiedział. I mimo że teraz o nich nie wspomniał, wszyscy byli świadomi implikacji jego opowieści. Wiedziałem o tym. Właśnie dlatego zależało mi, by Random pierwszy zabrał głos. Gdybym to ja spróbował streścić swoje podejrzenia, uznaliby z pewnością, że przeprowadzam uświęconą tradycją operację odwracania uwagi od własnej osoby. A to wywołałoby w efekcie serię metalicznych trzasków zamykających się przede mną umysłów. Teraz jednak, choć podejrzewają, że Random mówi to, co chcę, by powiedział, wysłuchają go i zaczną się zastanawiać. Przede wszystkim będą rozważać powody, dla których zwołałem to zebranie. Będą analizować przesłanki na wypadek ewentualnego ich potwierdzenia. I rozważać, czy jestem w stanie przedstawić dowody. Sam się nad tym zastanawiałem. Czekałem i myślałem, obserwując przy tym swoje rodzeństwo, co było zajęciem bezowocnym, choć nieuniknionym. Zwykła ciekawość raczej niż podejrzliwość zmuszała do studiowania ich twarzy w poszukiwaniu reakcji, grymasów, wskazówek – twarzy, które znałem lepiej niż ktokolwiek inny, do granic mych możliwości poznania. I, naturalnie, niczego z nich nie wyczytałem.

Może to prawda, że przyglądamy się ludziom jedynie przy pierwszym spotkaniu; potem, gdy ich rozpoznajemy, mózg dokonuje czegoś w rodzaju odczytu stenograficznego. Mój umysł był na tyle leniwy, że było to możliwe; wykorzystywał zdolność uogólniania i gdy tylko mógł, zakładał regularność, by uniknąć jakiegokolwiek pracy.

Tym razem jednak zmuszałem się, by patrzeć, choć bez rezultatu. Julian zachował swą maskę lekkiego znudzenia i rozbawienia. Gerard sprawiał wrażenie na przemian zaskoczonego, rozgniewanego i zmartwionego. Benedykt pozostał chłodny i nieufny. Llewella smutna i nieprzenikniona, jak zawsze. Deirdre była roztargniona, Flora spokojna, Fiona obserwowała

wszystkich, ze mną włącznie, układając pewnie własny katalog reakcji. Jedyne, co mogłem stwierdzić z całą pewnością, to że Random zrobił wrażenie. Nikt się nie zdradził, widziałem jednak, jak opada znudzenie, znikają stare podejrzenia i rodzą się nowe. Moje rodzeństwo było coraz bardziej zaciekawione. Niemal zafascynowane. Potem zaczęli zadawać pytania, z początku kilka, później ruszyła lawina.

– Czekajcie – przerwałem wreszcie. – Dajcie mu skończyć. Niech opowie wszystko. Poznacie odpowiedzi na część pytań. Pozostałe mogą poczekać.

Pokiwali głowami, burcząc niechętnie, a Random mówił dalej, aż do samego końca, to jest do naszej walki z tymi stworami w domu Flory. Powiedział, że byli tacy sami jak ten, który zabił Caine'a, a Flora to potwierdziła. Teraz padły pytania. Słuchałem uważnie. Wszystko w porządku, póki dotyczyły opowieści Randoma. Nie chciałem jednak dopuścić do spekulacji na temat ewentualnego spisku kogoś z nas. Gdyby ktoś o tym pomyślał, natychmiast stałbym się głównym podejrzanym. A w efekcie padłyby nieprzyjemne określenia i nastrój stałby się taki, jakiego wolałem uniknąć.

Lepiej najpierw zdobyć dowody, a oskarżenia zachować na później; od razu nie się uda – przygwoździć winnego, a przy okazji wzmocnić własną pozycję. Słuchałem więc i czekałem. Kiedy uznałem, że kluczowy moment zbliżył się niebezpiecznie, zatrzymałem zegar.

– Cała ta dyskusja, wszystkie spekulacje byłyby zbędne – stwierdziłem – gdybyśmy znali fakty. Niewykluczone, że jest sposób, by je poznać. Natychmiast. Dlatego właśnie tu jesteście.

To załatwiło sprawę. Miałem ich. Skupionych. Gotowych. Może nawet chętnych.

– Proponuję dotrzeć do Branda i sprowadzić go do domu – oświadczyłem. – Zaraz.

– Jak? – spytał Benedykt.

– Przez Atuty.

– Próbowaliśmy tego – powiedział Julian. – Nie da się z nim skontaktować. Nie odpowiada.

– Nie mówiłem o zwykłym kontakcie – odparłem. – Prosiłem, żebyście wszyscy przynieśli ze sobą pełne talie Atutów. Macie je?

Przytaknęli.

– To dobrze. Wyszukajmy kartę Branda. Proponuję, byśmy wszyscy jednocześnie spróbowali się z nim połączyć.

– Interesujący pomysł – zauważył Benedykt.

– Owszem – zgodził się Julian. Wyjął talię i przerzucał karty. – Warto przynajmniej spróbować.

Może uzyskamy dodatkową moc. Nie wiadomo.

Odnalazłem Atut Branda. Odczekałem, aż wszyscy znajdą swoje.

– Spróbujemy razem – powiedziałem. – Wszyscy gotowi?

Osiem razy tak.

– Więc zaczynamy. Skupcie się. Już.

Wpatrzyłem się w swoją kartę. Brand był podobny do mnie, niższy jednak i szczuplejszy. Włosy miał jak Fiona. Ubrany w zielony kostium do konnej jazdy, dosiadał białego ogiera. Jak dawno to było? – pomyślałem. Marzyciel, mistyk i poeta, Brand zawsze zdawał się rozczarowany lub radosny, cyniczny albo ufny. Jego nastroje nie znały chyba stanów pośrednich. Depresja maniakalna jest określeniem zbyt prostym dla złożonego charakteru Branda, może jednak posłużyć do wskazania kierunku generalnych ocen. Potem można je różnicować. Zależnie od stanu rzeczy, bywał tak czarujący, delikatny i lojalny, że ceniłem go bardziej niż resztę rodzeństwa.

Kiedy indziej jednak stawał się do tego stopnia zgorzkniały, sarkastyczny i wręcz złośliwy, że unikałem jego towarzystwa w obawie, że zrobię mu krzywdę. Podsumowując, kiedy widziałem go po

raz ostatni, był raczej w tym drugim stanie ducha. Wkrótce potem doszło do starcia z Erykiem, zakończonego moim wygnaniem a Amberu.

...To właśnie myślałem i czułem, gdy patrzyłem na jego Atut i sięgałem ku niemu umysłem i wolą, otwierając pustą przestrzeń, którą miał wypełnić. Obok inni robili to samo, snując własne wspomnienia.

Karta z wolna zasnęła się senną mgłą i nabrała pozoru głębi. Nastąpiło znajome rozmycie konturów, a wraz z nim wrażenie ruchu, zwiastujące kontakt z obiektem. Atut stał się chłodniejszy w dotyku, obrazy popłynęły, uformowały się, nabrały wyrazistości, uporczywej, dramatycznej i całkowitej.

Siedział w celi. Za plecami miał kamienną ścianę. Na podłodze leżała słoma. Jego ręka była przykuta do wielkiego, żelaznego pierścienia w murze łańcuchem dość długim i wystarczająco luźnym, by pozwalał na pewną swobodę ruchów. Brand wykorzystywał to właśnie, leżąc w kącie na stosie słomy i szmat. Włosy i brodę miał długie, twarz bardziej wychudzoną niż kiedykolwiek, a ubranie podarte i brudne. Chyba spał. Wspomniałem własną niewolę, smród, zimno, nędzny wikt, wilgoć i obłęd, który przychodził i odchodził. Przynajmniej zostały mu oczy, gdyż zamrugał i zobaczyłem je wyraźnie, gdy kilkoro z nas wymówiło jego imię. Były zielone, o tępym, nieobecny spojrzeniu.

Czyżby go odurzili? A może sądził, że ma halucynacje?

Nagle jednak odzyskał świadomość. Wstał. Wyciągnął rękę.

– Bracia! – powiedział. – Siostry!

– Idę! – zabrzmiał czyjś krzyk.

Przewracając krzesło, Gerard zerwał się na nogi. Przebiegł przez pokój i nie wypuszczając Atutu, porwał ze ściany wielki bojowy topór. Zamarł na chwilę, wpatrzony w kartę, potem wyciągnął wolną rękę i nagle stał tam ściskając Branda, który tę właśnie chwilę wybrał, by ponownie stracić przytomność. Obraz zafalował i kontakt został zerwany.

Zakląłem i poszukałem w talii Atutu Gerarda. Kilkoro innych robiło właśnie to samo. Znalazłem i spróbowałem połączenia. Powoli wystąpiło rozmycie, wir, formowanie... jest! Gerard rozciągnął łańcuch na ścianie i atakował go toporem, ale grube ogniwa opierały się potężnym ciosom.

Wreszcie ostrze zgniotło i naderwało kilka z nich, lecz minęły już prawie dwie minuty i hałas zaalarmował strażników.

Z lewej strony dobiegły jakieś stukoty – brzęk odsuwanych rygli, zgrzyt zawiasów. Wprawdzie pole widzenia nie sięgało tak daleko, ale jednak zdawało się oczywiste, że ktoś otwiera drzwi. Brand uniósł się znowu. Gerard nadał ciał łańcuch.

– Gerardzie! Drzwi! – wrzasnąłem.

– Wiem! – krzyknął, owinął łańcuch wokół ramienia i szarpnął. Bez skutku. Puścił łańcuch i ciał toporem pierwszego z grzebieniorękich wojowników, który zaatakował go wznosząc klingę. Napastnik upadł, lecz jego miejsce zajął następny, a potem drugi i trzeci. Nadbiegali kolejni.

Coś zamigotało nagle i na scenie pojawił się Random. Klęczał ściskając prawą dłońią ramię Branda. W lewej trzymał krzesło, wystawiając je przed sobą niby tarczę, nogami na zewnątrz. Zerwał się natychmiast i ruszył na napastników, używając krzesła jak tarana. Cofnęli się. Random zakreślił krzesłem w powietrzu. Jeden z tamtych padł martwy, powalony toporem Gerarda. Drugi odskoczył w bok, ściskając kikut ramienia. Random wydobył sztylet i pozostawił go w brzuchu najbliższego, rozbił krzesłem dwie głowy i odepchnął ostatniego z przeciwników. W tym czasie martwe ciało uniosło się w górę, ociekając krwią. Ten, który dostał sztyletem, opadł na kolana, zaciskając palce na ostrzu. Gerard ujął łańcuch oburącz, zaparł się nogą o ścianę i zaczął ciągnąć.

Przygarbił się, a potężne mięśnie nabrzmiały mu na karku. Łańcuch nie ustępował. Dziesięć sekund, mniej więcej. Piętnaście... I nagle pękł, z brzękiem i grzechotem. Gerard zatoczył się, podparł wyciągniętą ręką. Spojrzał za siebie, pewnie na Randoma, w tej chwili poza zasięgiem mojego wzroku. Usatysfakcjonowany, pochylił się i wziął na ręce Branda, który znowu stracił przytomność. Random, już bez krzesła, wskoczył w moje pole widzenia i skinął na nas.

Sięgnęliśmy po nich wszyscy i sekundę później stali już wśród nas, a my tłoczyliśmy się dookoła. Podniósł się rodzaj okrzyku radości, kiedy usiłowaliśmy zobaczyć go, dotknąć naszego brata, zaginionego wiele lat temu, a teraz wyrwanego tajemniczym dręczycielom. Poza tym, może w końcu uzyskamy odpowiedzi na kilka ważnych pytań. Tyle że Brand był tak słaby, wychudzony i blady...

– Cofnąć się! – huknął Gerard. – Trzeba go położyć. Potem możecie się przyglądać...

Martwa cisza. Każdy z nas odstąpił o krok i skamieniał. A to dlatego, że na ubraniu Branda pojawiła się plama, z której kapłała krew. A to z kolei dlatego, że w jego lewym boku, z tyłu, tkwił sztylet. Jeszcze przed chwilą go tam nie było. Jedno z nas próbowało dosięgnąć nerek Branda i niewykluczone, że skutecznie.

Nieszczerólnie pocieszyła mnie myśl, iż Hipoteza Randoma-Corwina – że to Jedno Z Nas Stoi Za Tym Wszystkim – nagle zyskała znaczące potwierdzenie. Miałem do dyspozycji jedynie krótką chwilę, by zarejestrować w pamięci pozycje obecnych. Potem czar prysnął, Gerard przeniósł Branda na sofę, a my cofnęliśmy się.

Wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę nie tylko z tego, co zaszło, ale i z implikacji tego faktu. Gerard ułożył Branda na brzuchu i zdarł z niego brudną koszulę.

– Przynieście czystej wody – polecił. – I ręczniki. Trzeba go umyć. Potrzebuję płynu fizjologicznego i glukozy. I czegoś, na czym da się je powiesić. Przynieście pełny zestaw medyczny.

Deirdre i Flora ruszyły do drzwi.

– Moje pokoje są najbliżej – wtrącił Random. – Tam znajdziecie apteczkę. Ale sprzęt do kroplówek jest tylko w laboratorium na drugim piętrze. Lepiej pójde z wami.

Wyszli razem.

Każde z nas kończyło kiedyś jakieś kursy medyczne, tutaj i za granicą. Jednak to, czego dowiadywaliśmy się w Cieniu, w Amberze trzeba było modyfikować. Na przykład większość antybiotyków tutaj nie działała.

Z drugiej strony, nasze procesy immunologiczne przebiegają inaczej niż u ludzi, których badaliśmy, więc o wiele trudniej jest nam się czymś zarazić. Zarażeni, skuteczniej radzimy sobie z chorobą. Poza tym dysponujemy potężnymi zdolnościami regeneracji.

Wszystko jest tym, czym być musi dla istot potężniejszych od swych cieni. A że jesteśmy Amberytami i znamy te fakty od dzieciństwa, w stosunkowo wczesnym okresie życia przechodzimy kurs opieki medycznej. Powodem, prócz znanej teorii, że najlepiej być własnym lekarzem, jest przede wszystkim nasz usprawiedliwiony często brak zaufania właściwie do każdego, zwłaszcza tych, od których zależy nasze życie. To po części tłumaczy, czemu nie odsunąłem Gerarda, by samemu zająć się leczeniem Branda, mimo że w okresie ostatnich kilku pokoleń ukończyłem studia medyczne na cieniu-Ziemi.

Druga część wyjaśnienia to sam Gerard, nie dopuszczający nikogo do rannego. Julian i Fiona wysunęli się do przodu, najwyraźniej chcąc mu pomóc, napotkali jednak ramię Gerarda, blokujące drogę niby szlaban na przejeździe kolejowym.

– Nie – oświadczył. – Wiem, że ja tego nie zrobiłem, i nic więcej. Nie pozwolę, by ktoś spróbował po raz drugi. Gdyby któreś z nas odniosło taką ranę – bez innych uszczerbków na zdrowiu – powiedziałbym, że jeśli przetrzyma pierwsze pół godziny, to przeżyje. Brand jednak... w takim

stanie... trudno przewidzieć.

Wrócił Random z dziewczętami, przynosząc sprzęt i materiały opatrunkowe. Gerard umył Branda, oczyścił i zabandażował ranę, podłączył kroplówkę. Potem rozbił kajdany młotem i dłutem, które znalazł Random, okrył Branda pledem i zmierzył mu puls.

– Jak? – spytałem.

– Słaby – odparł, przysunął sobie krzesło i usiadł obok sofy. – Niech ktoś mi poda miecz. I szklankę wina; nie mam nic do picia. Przy okazji, jeśli zostało jeszcze coś do jedzenia, to jestem głodny.

Llewella ruszyła do kredensu, a Random wziął jego miecz ze stojaka przy drzwiach.

– Masz zamiar tu obozować? – spytał, podając broń.

– Owszem.

– Może by przenieść Branda do lepszego łóżka?

– Jest mu dobrze tu, gdzie jest. Sam uznaj, kiedy trzeba go przenieść. Tymczasem niech ktoś rozpali ogień. I zgasi parę świec.

– Zaraz się tym zajmę – kiwnął głową Random.

Podniósł nóż, który Gerard wyjął z pleców Branda, wąski sztylet z osiemnastocentymetrowym ostrzem. Ułożył go płasko na dłoni.

– Czy ktoś to rozpoznaje? – zapytał.

– Ja nie – odparł Benedykt.

– Ani ja – dodał Julian.

– Nie – oświadczyłem.

Dziewczęta pokręciły głowami.

Random przyjrzał się uważnie.

– Łatwo go ukryć – w rękawie, w bucie albo za stanikiem. Ale użycie go w ten sposób wymaga mocnych nerwów...

– Desperacji – mruknąłem.

–...I bardzo dokładnego przewidywania rozwoju naszej sceny zbiorowej. Niemal natchnienia.

– Czy mógł to zrobić któryś ze strażników? – spytał Julian. – Jeszcze w celi?

– Nie – stwierdził Gerard. – Żaden z nich nie podszedł dostatecznie blisko.

– Wydaje się, że jest dobrze wyważony – zauważyła Deirdre. – Można nim rzucić.

– Owszem – przyznał Random, przesuwając sztylet palcami. – Tyle że nie mieli miejsca ani możliwości. Jestem pewien.

Wróciła Llewella z tacą, na której leżały plastry krojonego mięsa, pół bochenka chleba, butelka wina i kielich. Uprzątnąłem mały stolik i ustawiłem go obok krzesła Gerarda.

– Ale dlaczego? – spytała Llewella, stawiając tacę. – Pozostajemy tylko my. Czemu ktoś z nas miałby to zrobić?

Westchnąłem.

– Jak myślisz, czyim był więźniem?

– Kogoś z nas?

– Jeśli coś wiedział i ktoś nie chciał, by to wyjawiał... kto był gotów narazić się na ryzyko, byle tylko zmusić go do milczenia? Zapewne z tego samego powodu umieścił go tam, gdzie go znaleźliśmy, i tam trzymał.

Zmarszczyła brwi.

– Przecież to nie ma sensu. Dlaczego po prostu nie zabił go i nie zakończył całej sprawy?

– Widocznie chciał go jakoś wykorzystać – odparłem. – Jest tylko jeden człowiek, który zna

odpowiedzi na twoje pytania. Zapytaj, kiedy go spotkasz.

– Albo ją – dodał Julian. – Wiesz, siostrze, zupełnie nagle zrobiłaś się strasznie naiwna.

Llewella zmierzyła go spojrzeniem oczu przypominających parę gór lodowych, w których odbijały się mroźne nieskończoności.

– O ile sobie przypominam – stwierdziła – wstałeś, kiedy się pojawili, przesunąłeś się na lewo, obszedłeś biurko i stanąłeś po prawej stronie Gerarda. Wychyliłeś się bardzo daleko do przodu. Wydaje mi się, że nie było widać twoich rąk.

– O ile ja sobie przypominam – odparował – ty także byłaś dostatecznie blisko, po lewej stronie Gerarda. I także się wychylałaś.

– Musiałabym uderzyć lewą ręką. A jestem praworęczna.

– Być może temu właśnie zawdzięcza tę resztkę życia, jaka w nim jeszcze pozostała.

– Jakoś bardzo ci zależy, by wykazać, że to ktoś inny, Julianie.

– Dosyć! – zawołałem. – Dostatecznie przestańmy się oskarżać. Tylko jeden z nas tego dokonał, a to nie jest sposób, by go wykurzyć.

– Albo ją – dodał Julian.

Gerard wstał, wyprostował się i spojrzał groźnie.

– Nie pozwolę niepokoić mojego pacjenta – oświadczył. – Random, miałeś chyba rozpaść w kominku.

– Już rozpałam – odparł Random, biorąc się do dzieła.

– Przenieśmy się do salonu obok głównego hallu – zaproponowałem. – Gerardzie, postawię przy drzwiach dwóch strażników.

– Nie. Wolę, żeby ten, kto zechce spróbować jeszcze raz, dotarł aż tutaj. Rano wręcę ci jego głowę. Przytaknąłem.

– Gdybyś czegoś potrzebował, możesz zadzwonić. Albo wezwij nas przez Atut. Jeśli się czegoś dowiemy, opowiemy ci rano.

Gerard usiadł, burknął coś i wziął się do jedzenia. Random rozpaścił ogień i wygasił część świec. Koc Branda unosił się i opadał, wolno, lecz regularnie. Wyszliśmy wszyscy, kierując się w stronę schodów i pozostawiając ich samych w blasku ognia i trzasku płomieni, wśród rurek i butelek.



# Rozdział 7

---

Wiele razy budziłem się wśród nocy, czasem drżący, zawsze przerażony, gdyż śniło mi się, że znowu jestem w mojej dawnej celi, znów ślepy, w lochach pod Amberem. Nie chodzi o to, że stan uwięzienia był dla mnie czymś obcym. Zamykano mnie już wielokrotnie, na różne okresy. Ale samotność plus ślepotą, z małą nadzieją na odzyskanie wzroku, podwyższały rachunek za brak bodźców czuciowych. To, razem z poczuciem ostatecznej klęski, pozostawiło swoje ślady. Na ogół za dnia trzymam swoje wspomnienia w bezpiecznym kątku, lecz nocą, czasami, uwalniają się, tańczą w przejściach i szaleją wokół stoiska wyobraźni, raz, dwa, trzy. Widok Branda w celi przywołał je na nowo, a dodatkowy cios chłodu zapewnił im stałe miejsce. Teraz, siedząc z moim rodzeństwem wśród wiszących na ścianach tarcz, nie potrafiłem uciszyć myśli o tym, że jedno lub kilkoro z nich uczyniło Brandowi to, co Eryk uczynił mnie.

Wprawdzie sam fakt nie był zaskakującym odkryciem, to jednak przebywanie w tym samym pomieszczeniu co winowajca oraz brak danych co do jego osoby, niepokoiły mnie bardziej niż tylko trochę. Pocieszało mnie to, że każdy z obecnych także odczuwa niepokój. Winowajca także, zwłaszcza teraz, kiedy zyskaliśmy dowód twierdzenia o jego istnieniu. Zrozumiałem, że wciąż miałem nadzieję, iż całą winę ponoszą obcy. Ale teraz... Z jednej strony musiałem bardziej niż zwykle uważać na to, co mówię. Z drugiej, wszyscy znaleźli się w tak nienormalnym stanie ducha, że nadeszła chyba odpowiednia chwila, by uzyskać więcej informacji. Każdy zechce pomóc w rozprawie z niebezpieczeństwem, a to skłaniało do współpracy. I nawet winowajcy będą próbowali zachowywać się tak, jak wszyscy. Któż wie, co może im się wymknąć przy tych próbach?

– Planujesz może jakieś inne eksperymenty? – spytał Julian. Założył ręce za głowę i rozparł się w moim ulubionym fotelu.

– Chwilowo nie.

– Szkoda – stwierdził. – Miałem nadzieję, że zaproponujesz, byśmy w ten sam sposób poszukali taty. Gdyby się udało, ktoś mógłby bardziej skutecznie go usunąć. Potem zagralibyśmy wszyscy w rosyjską ruletkę, korzystając z tej doskonałej broni, jakiej dostarczyłeś. Zwycięzca bierze wszystko.

– Mówisz nierozważnie.

– Wcale nie. Rozważyłem każde słowo – zapewnił. – Tak wiele czasu spędziliśmy oszukując się nawzajem, że uznałem za zabawne powiedzenie tego, co naprawdę myślę. Żeby sprawdzić, czy ktoś zauważy.

– Więc widzisz, że zauważyliśmy. Jak również, że prawdziwy nie jesteś wcale lepszy od udawanego.

– Którękolwiek wolisz, obaj się zastanawiamy, czy masz jakiś pomysł, co robić dalej.

– Mam – oświadczyłem. – Zamierzam uzyskać odpowiedzi na kilka pytań, dotyczących wszystkiego, co nas prześladowa. Możemy zacząć od Branda i jego problemów.

Odwróciłem się do Benedykta, który siedział wpatrzony w ogień.

– W Avalonie powiedziałeś, Benedykcie, że Brand był jednym z tych, którzy szukali mnie po moim zniknięciu.

– To prawda.

– Wszyscy cię szukaliśmy – wtrącił Julian.

– Nie od początku – odparłem. – Pierwotnie był to Brand, Gerard i ty, Benedykcie. Tak mi mówiłeś.

– Zgadza się – przyznał. – Inni jednak także się potem przyłączyli. To też ci powiedziałem.

Skinąłem głową.

– Czy Brand opowiadał wtedy o czymś niezwykłym? – spytałem.

– Niezwykłym? W jakim sensie?

– Sam nie wiem. Szukam jakiegoś związku między tym, co przydarzyło się jemu, a tym, co spotkało mnie.

– Więc szukasz w złym miejscu – oświadczył Benedykt. – Brand wrócił i powiedział, że nie trafił na żadne ślady. Zresztą, minęły potem całe wieki i nikt go nie niepokoił.

– Domyślam się. Jednak z tego, co mówił mi Random, wywnioskowałem, że jego ostateczne zniknięcie nastąpiło mniej więcej miesiąc przed moim wyzdrowieniem i powrotem. A to dość szczególnie zbieg okoliczności. Jeśli w czasie poszukiwań nie zauważył niczego niezwykłego, to może wspominał o czymś przed zniknięciem? Albo między jednym a drugim? Ktoś coś słyszał? Cokolwiek? Powiedźcie, jeśli coś wiecie!

Wszyscy spojrzeli po sobie, jednak raczej z ciekawością, niż podejrzliwie czy nerwowo.

– No... – odezwała się w końcu Llewella. – Sama nie wiem. To znaczy, nie wiem, czy to ważne.

Wszystkie oczy zwróciły się w jej stronę. Zaczęła zawiązywać i rozwiązywać końce paska.

– To było gdzieś pomiędzy i może nie mieć żadnego związku – powiedziała. – Po prostu fakt wydał mi się niezwykły.

Bardzo dawno temu Brand zjawił się w Rebmie...

– Jak dawno? – przerwałem.

Zmarszczyła brwi.

– Pięćdziesiąt, sześćdziesiąt, siedemdziesiąt lat... Nie jestem pewna.

Przypomniałem sobie przybliżony współczynnik konwersji, który wyliczyłem podczas swego długiego uwięzienia. Dzień w Amberze, według mojej oceny, to trochę powyżej dwóch i pół dnia na cieniu – Ziemi, gdzie spędzałem swe wygnanie. Gdy tylko mogłem, odnosiłem tutejsze zdarzenia do własnej skali czasowej na wypadek, gdyby ujawniły się jakieś dziwne zbieżności. Krótko mówiąc, Brand przybył do Rebmmy mniej więcej w okresie, który dla mnie był dziewiętnastym wiekiem.

– W każdym razie – ciągnęła Llewella – zjawił się z wizytą. Został kilka tygodni. Pytał o Martina – dodała, spoglądając badawczo na Randoma.

Random zmrużył oczy i przechylił głowę.

– Tłumaczył, dlaczego? – zapytał.

– Niezupełnie – odparła. – Sugerował, że spotkał Martina podczas jednej ze swych podróży. Sprawiał wrażenie, jakby chciał się z nim skontaktować. Dopiero jakiś czas po jego wyjeździe zdałam sobie sprawę, że uzyskanie wszelkich możliwych informacji na temat Martina było chyba jedynym powodem jego wizyty. Wiecie, jak subtelny potrafi być Brand, gdy zadaje pytania i nikt nie podejrzewa, czym się naprawdę interesuje. Dopiero, kiedy porozmawiałam z innymi, których też odwiedził, zaczęłam pojmować, co zaszło. Ale nigdy się nie dowiedziałam, dlaczego.

– To... niezwykle – zauważył Random. – Przywodzi na myśl pewien fakt, do którego nie przywiązywałem wagi. Brand wypytywał mnie kiedyś szczegółowo o syna. To mogło być mniej więcej w tym samym czasie. Nie wspominał jednak, że go spotkał, ani że chciałby spotkać. Cała rozmowa zaczęła się jakimś dowcipem o bękartach. Obraziłem się, a on przeprosił i zadał kilka bardziej odpowiednich pytań. Uznałem wtedy, że to z grzeczności, żeby zatrzeć złe wrażenie. Chociaż, jak stwierdziłaś, miał swoje sposoby zdobywania informacji. Dlaczego właściwie nigdy mi o tym nie mówiłaś?

Llewella uśmiechnęła się rozbrajająco.

– A powinnam?

Random pokiwał głową. Jego twarz nie zdradzała niczego.

– A co mu powiedziałaś? – zapytał. – Czego się dowiedział? Czy wiesz o Martinie coś, czego ja nie wiem?

Spowaźniała.

– Właściwie nic – wyjaśniła. – Nikt w Rebmie chyba o nim nie słyszał, odkąd przeszedł Wzorzec i zniknął. Nie sądzę, by Brand wyjeżdżając wiedział więcej, niż w chwili przybycia.

– Dziwne... – mruknąłem. – Czy rozmawiał na ten temat z kimś jeszcze?

– Nie pamiętam – oświadczył Julian.

– Ani ja – dodał Benedykt.

Pozostali pokręcili głowami.

– Zapamiętajmy więc ten fakt i zostawmy go na razie – postanowiłem. – Jest jeszcze kilka spraw, o których chciałbym dowiedzieć się więcej. Julianie, rozumiem, że jakiś czas temu podjęliście z Gerardem próbę przejazdu czarną drogą i że w czasie tej wyprawy Gerard został ranny. O ile wiem, przebywaliście potem u Benedykta czekając, aż Gerard wróci do zdrowia. Chciałbym poznać szczegóły waszej ekspedycji.

– Wydaje się, że już je znasz – stwierdził Julian. – Właśnie streściłeś wszystko, co wtedy miało miejsce.

– Gdzie się o tym dowiedziałeś, Corwinie? – zainteresował się Benedykt.

– Jeszcze w Avalonie.

– Od kogo?

– Od Dary.

Wstał, podszedł do mnie i spojrzał z góry.

– Wciąż się upierasz przy tej absurdalnej historii!

Westchnąłem.

– Tyle razy o tym mówiliśmy. Powiedziałem ci wszystko, co wiem na ten temat. Albo mi uwierzysz, albo nie. Ale to właśnie ona mi powiedziała.

– Najwyraźniej zachowałeś w tajemnicy kilka spraw. O tej, na przykład, nigdy nie wspominałeś.

– Czy to prawda, czy nie? To o Julianie i Gerardzie?

– Prawda – przyznał.

– Więc zapomnijmy na razie o Źródle informacji i zajmijmy się tym, co zaszło.

– Zgoda – rzekł Benedykt. – Mogę mówić szczerze, gdyż główny powód zachowania tajemnicy już nie istnieje. Chodzi, naturalnie, o Eryka. Podobnie jak większość, nie znał miejsca mojego pobytu. Gerard dostarczał mi wieści z Amberu. Czarna droga niepokoiła Eryka coraz bardziej i bardziej, aż wreszcie postanowił wysłać zwiadowców, by zbadali jej bieg poprzez Cień, aż do Źródła. Wybrano Juliana i Gerarda. W pobliżu Avalonu zaatakował ich silny oddział stworów drogi. Gerard przez Atut wezwał mnie na pomoc, więc ruszyłem. Przeciwnik został rozbity. Gerard wyszedł z bitwy ze złamaną nogą, a Julian też mocno ucierpiał, więc zabrałem ich ze sobą do domu. Przerwałem wtedy milczenie i skontaktowałem się z Erykiem. Powiedziałem, gdzie są i co się im przytrafiło. Nakazał przerwać wyprawę i wracać do Amberu, gdy tylko poczują się lepiej. Do tego czasu pozostali u mnie. Potem wrócili.

– Czy to wszystko?

– To wszystko.

Nieprawda. Dara powiedziała mi jeszcze o czymś. Wspomniała o innym gościu. Owego dnia, nad strumieniem, przy maleńkiej tęczycy w wodnej mgiełce nad wodospadem, obok młyńskiego koła,

zsyłającego i ścierającego sny; dnia, w którym fechtowaliśmy się, rozmawialiśmy i chodziliśmy w Cieniu, przemierzaliśmy dziewiczą puszcę, docierając do miejsca nad potężną rzeką, obracającą koło na miarę młyna bogów; dnia, gdy jedliśmy na trawie, flirtowaliśmy i plotkowaliśmy – mówiła wtedy o wielu rzeczach, z których część była nieprawdą. Nie kłamała jednak wspominając o podróży Juliana i Gerarda. Wierzyłem, że nie kłamała także opowiadając o wizytach Branda w Avalonie. "Częstych" – takiego słowa użyła.

Z kolei Benedykt nie robił tajemnicy z faktu, że mi nie ufa. Tłumaczyło to, czemu ukrywa informacje na temat, który uznał za zbyt delikatny, by mówić o nim ze mną.

Do diabła, jeśli mu wierzyć, to sam bym sobie nie ufał na jego miejscu. Ale tylko głupiec kwestionowałby teraz jego stwierdzenia. Istniały bowiem inne możliwości. Być może zamierzał powiedzieć mi później, w cztery oczy, o okolicznościach wizyt Branda. Mogły dotyczyć faktów, których wolał nie poruszać przy wszystkich, zwłaszcza w obecności niedosłego zabójcy.

Albo... istniała możliwość, że to właśnie Benedykt stoi za całą sprawą. Wolałem nawet nie myśleć o konsekwencjach. Służyłem pod Napoleonem, Lee i MacArthurem, i nauczyłem się doceniać zarówno taktyka, jak stratega. Benedykt był jednym i drugim, w dodatku najlepszym, jakiego znałem. Niedawna strata prawej ręki nie zmniejszyła jego zdolności ani zresztą umiejętności walki wręcz. Gdyby nie moje szczęście, bez trudu zamieniłby mnie w talerz małży – wszystko z powodu pewnego nieporozumienia. Nie, nie chciałem, by to był Benedykt, i nie miałem ochoty grzebać w czymś, co w danej chwili wolał zachować w tajemnicy. Miałem tylko nadzieję, że powie mi wszystko później.

Zaakceptowałem więc jego "To wszystko" i postanowiłem przejść do innych spraw.

– Floro – zacząłem. – Kiedy cię odwiedziłem, pierwszy raz po wypadku, powiedziałaś coś, co wciąż nie do końca rozumiem. Ponieważ wkrótce potem miałem aż za dużo czasu na myślenie, natrafiłem w pamięci na to zdanie i od czasu do czasu zastanawiałem się nad nim. I nadal go nie rozumiem. Czy zechcesz mi wyjaśnić, co miałaś na myśli mówiąc o cieniach, które mieszczą w sobie rzeczy straszniejsze, niż ktokolwiek przypuszczał?

– Właściwie nie pamiętam, żebym coś takiego powiedziała – stwierdziła Flora. – Ale pewnie tak było, skoro wywarło to na tobie tak silne wrażenie. Znasz zjawisko, o które mi chodziło: że Amber działa czasem jak magnes na przyległe cienie i ściąga z nich różne rzeczy; im bliżej jesteśmy Amberu, tym łatwiejsza jest droga. Nawet dla istot Cienia. Ciągłe pilnowaliśmy, by nie prześliznęło się coś niezwykłego. No więc, na kilka lat przed twoim wyzdrowieniem, w okolicy Amberu zaczęło się pojawiać coraz więcej różnych stworzeń. Niemal zawsze niebezpiecznych. Wiele z nich pochodziło z pobliskich krain. Potem jednak przybywały z coraz dalszych i dalszych cieni. W końcu przedostało się kilka zupełnie nieznanymi. Nie znaleźliśmy powodów tego nagłego transportu zagrożeń, choć bardzo daleko szukaliśmy zaburzeń, pędzących je w naszą stronę. Innymi słowy, zdarzały się wysoce nieprawdopodobne przebiegi Cienia.

– Czy zaczęło się to jeszcze w obecności taty?

– Ależ tak. Kilka lat przed twoim wyzdrowieniem, jak mówiłam.

– Rozumiem. Czy ktoś zastanowił się nad ewentualnym związkiem między takim stanem rzeczy a zniknięciem taty?

– Naturalnie – odparł Benedykt. – Nadał uważam, że dlatego właśnie zniknął. Wyruszył zbadać sprawę, może szukać lekarstwa.

– Ale to czysta teoria – wtrącił Julian. – Znasz go przecież. Nigdy się nie tłumaczył.

Benedykt wzruszył ramionami.

– Moim zdaniem to rozsądne założenie – oświadczył. – Jak rozumiem, wielokrotnie wyrażał swe zaniepokojenie ową... migracją potworów, jeśli można tak to określić.

Wyjąłem z futerału talię kart – ostatnio przyzwyczailem się zawsze je ze sobą nosić – odszukałem Atut Gerarda i wpatrzyłem się w niego. Pozostali obserwowali mnie w milczeniu. W chwilę później nastąpił kontakt.

Gerard nadal siedział na krześle z mieczem na kolanach. Wciąż jadł. Przełknął, gdy wyczuł moją obecność.

– Tak, Corwinie? – zapytał. – O co chodzi?

– Jak się czuje Brand?

– Śpi – odparł. – Puls ma trochę wyraźniejszy. Oddech regularny. Jeszcze za wcześnie...

– Wiem – przerwałem mu. – Chciałem spytać, czy coś sobie przypominasz, czy nie odniosłeś wrażenia, że wyjazd taty związany był z rosnącą liczbą istot Cienia, przedostających się do Amberu? Czy nie powiedział czegoś albo czegoś nie zrobił, co by sugerowało taki związek?

– Takie pytania – wtrącił Julian – określa się mianem zasadniczych.

Gerard otarł wargi.

– Tak, mogło istnieć takie powiązanie – przyznał. – Tato wydawał się czymś zaniepokojony, zaabsorbowany. I mówił o tych stworach. Nigdy jednak nie wspominał, że to jego główny problem... ani też, że to coś całkiem innego.

– Na przykład co?

Potrząsnął głową.

– Cokolwiek. Chociaż... jest coś, o czym chyba powinieneś wiedzieć, choć nie mam pojęcia, czy to ważne. Po jego zniknięciu próbowałem sprawdzić, czy istotnie byłem ostatnim, który go widział. Jestem prawie pewien, że tak. Cały wieczór spędziłem w pałacu, szykując się do powrotu na okręt flagowy. Tato przed godziną poszedł do siebie, a ja zostałem na wartowni i grałem w warcaby z kapitanem Thobenem. Rankiem mieliśmy wypłynąć i postanowiłem zabrać coś do czytania. Przeszedłem więc tutaj, do biblioteki. Tato siedział za biurkiem – wskazał głową. – Przeglądał jakieś stare księgi i jeszcze się nie przebrał. Spojrzał na mnie, a kiedy wyjaśniłem, że przychodzę po książkę, powiedział "Trafiłeś we właściwe miejsce" i czytał dalej. Kiedy szukałem na półkach, dodał jeszcze coś w stylu, że nie mógł zasnąć. Znalazłem książkę, życzyłem mu dobrej nocy, on rzucił "Pomyślnych wiatrów", po czym wyszedłem. – Gerard przymknął oczy. – Otóż jestem pewien, że miał wtedy na szyi Klejnot Wszechmocy, że widziałem go tak wyraźnie, jak teraz widzę u ciebie. Jestem też przekonany, że wcześniej tego wieczoru go nie miał. Przez długi czas sądziłem, że zabrał go ze sobą tam, gdzie odjechał. Nie znaleźliśmy w jego pokojach śladów świadczących o tym, że zmieniał ubranie. Nigdy też nie widziałem Klejnotu, aż do chwili, gdy został rozbity twój i Bleysa szturm na Amber. Wtedy nosił go Eryk. Kiedy go spytałem, wyjaśnił, że znalazł Klejnot u taty. Musiałem mu uwierzyć, z braku dowodów, że nie mówi prawdy. Chociaż nie byłem usatysfakcjonowany. Twoje pytanie – i Klejnot na twojej szyi – przypomniały mi to wszystko. Pomyślałem, że lepiej ci powiem.

– Dzięki. – Pomyślałem o jeszcze jednym pytaniu, ale postanowiłem chwilowo go nie zadawać. Ze względu na towarzystwo zakończyłem rozmowę mówiąc: – Może trzeba ci paru dodatkowych koców? Albo czegokolwiek innego?

Gerard uniósł kielich i napił się.

– Doskonale, świetnie się spisujesz – stwierdziłem, przesuwając dłoń nad kartą.

– Nasz brat, Brand, powoli wraca do siebie – oznajmiłem. – A Gerard nie przypomina sobie niczego, co sugerowałoby związek między przejściami Cienia a zniknięciem taty. Zastanawiam się, co powie Brand, kiedy odzyska przytomność.

– Jeśli odzyska – zauważył Julian.

– Chyba odzyska. Każdy z nas zdrowo kiedyś oberwał. Nasza żywotność to jedyne, czego możemy być pewni. Moim zdaniem, rano będzie mógł mówić.

– A co zrobimy z winnym? O ile Brand go wskaże?

– Przesłuchamy.

– W takim razie chciałbym osobiście poprowadzić to przesłuchanie. Zaczynam wierzyć, Corwinie, że masz rację i że ten, kto próbował go zabić, jest też odpowiedzialny za stan oblężenia, w jakim się znaleźliśmy, za zniknięcie taty i śmierć Caine'a. Z przyjemnością z nim pogadam, zanim poderzniemy mu gardło. I zgłoszę się na ochotnika do tego ostatniego.

– Będziemy o tym pamiętać – zapewniłem go.

– Ty też nie jesteś wolny od podejrzeń, Corwinie.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– Chciałbym coś powiedzieć – wtrącił Benedykt, ucinając ripostę Juliana. – Niepokoi mnie zarówno siła, jak i cel naszych przeciwników. Spotkałem się z nimi już kilka razy i widzę, że po prostu chcą naszej krwi. Zakładając na chwilę, że historia Corwina o tej dziewczynie jest prawdziwa, jej końcowe słowa podsumowują ich działania. "Amber będzie zniszczony". Nie pobity, nie upokorzony, nie dostanie nauczki. Zniszczony. Julianie, chciałbyś tutaj rządzić, prawda?

– Może w przyszłym roku – uśmiechnął się Julian. – Dzisiaj raczej nie.

– Chodzi o to, że potrafiłbym wyobrazić sobie ciebie – każdego z nas – jak wykorzystujesz najemników albo szukasz sprzymierzeńców, by przejąć władzę. Nie wierzę, by ktoś użył sił tak potężnych, że później przedstawiałyby poważny problem. Nie takich, które chciałyby raczej nas zniszczyć, niż pokonać. Nie wierzę, byś ty, ja, Corwin czy ktokolwiek z nas naprawdę chciał zagłady Amberu lub też układał się z siłą, która by do tego dążyła. Dlatego właśnie nie jestem przekonany do teorii Corwina, że to ktoś z nas kieruje całą akcją.

Musiałem przyznać mu rację. Zdawałem sobie sprawę ze słabości tego ogniwa w łańcuchu domysłów. Było jednak tak wiele niewiadomych... mogłem zasugerować pewne rozwiązania alternatywne, podobnie jak kiedyś Random, jednak to niczego nie dowodziło.

– A może – odezwał się Random – jeden z nas zawarł układ, lecz nie docenił swoich sprzymierzeńców. Niewykluczone, że teraz jest w sytuacji równie trudnej, co wszyscy pozostali. Nie może się wycofać, choćby chciał.

– Moglibyśmy zaoferować mu tę możliwość – stwierdziła Fiona. – Gdyby zdradził teraz swych współników. Julian dałby się przekonać, by pozostawić jego gardło w całości. My wszyscy także. Może wyznać swe winy – o ile teoria Randoma jest słuszna. Nie zdobędzie tronu, ale i tak nie miał wielkich szans. Zachowa życie i zaoszczędzi Amberowi wielu problemów. Czy wyrażacie zgodę na takie rozwiązanie?

– Ja tak – powiedziałem. – Daruję mu życie, jeśli się przyzna. Pod warunkiem, że spędzi je na wygnaniu.

– Jestem skłonny się zgodzić – stwierdził Benedykt.

– Ja także – dodał Random.

– Z jednym zastrzeżeniem – oświadczył Julian. – Zgodzę się, jeżeli nie był osobiście odpowiedzialny za śmierć Caine'a. W przeciwnym razie odmawiam. I muszę mieć dowody.

– Życie na wygnaniu – powtórzyła Deirdre. – Dobrze, zgadzam się.

– Ja też – powiedziała Flora.

– I ja – rzekła Llewella.

– Gerard nie powinien protestować – stwierdziłem. – Ale nie jestem pewien, czy Brand zareaguje tak samo. Mam przeczucie, że niekoniecznie.

– Spytajmy Gerarda – zaproponował Benedykt. – Jeśli Brand przeżyje i jako jedyny nie wyrazi zgody, winny będzie wiedział, że ma tylko jednego wroga. Zawsze zresztą mogą ustalić własne warunki.

– Więc dobrze – oświadczyłem, tłumiąc pewne wątpliwości. Połączyłem się z Gerardem, który się nie sprzeciwił.

Powstałiśmy wtedy i przysięgliśmy to na Jednorożca Amberu – przysięga Juliana zawierała dodatkową klauzulę. Zobowiązaliśmy się też, że pošlemy na wygnanie tych spośród nas, którzy naruszają przysięgę. Szczerze mówiąc, nie wierzyłem, byśmy coś w ten sposób osiągnęli, ale to zawsze miło widzieć, jak rodzina działa wspólnie. Potem każdy z nas zaznaczył, że zamierza pozostać w pałacu do rana – zapewne by wykazać, iż nie obawia się tego, co mógłby powiedzieć Brand, a przede wszystkim, że nie chce opuszczać miasta, co byłoby zapamiętane, nawet gdyby Brand nocą oddał ducha. Nie miałem dalszych pytań i nikt nie próbował się przyznać do czynów, o których była mowa w przysiędze. Usiadłem wygodnie i przysłuchiwałem się rozmowom. Głównym tematem luźnych konwersacji była konieczność rekonstrukcji sceny w bibliotece tak, by każdy z nas stanął na miejscu, które zajmował. Wymiany zdań kończyły się niezmiennie tłumaczeniem, że każdy prócz, mówiącego mógł zaatakować Branda. Zapaliłem, nie wypowiadałem się na ten temat. Deirdre dostrzegła pewną interesującą możliwość. Mianowicie, że to właśnie Gerard pchnął Branda sztyletem, gdy wszyscy tłoczyliśmy się dookoła, a jego bohaterskie wysiłki nie wynikały z chęci ocalenia życia brata, ale raczej z potrzeby zamknięcia mu ust. W takim przypadku Brand nie przeżyłby tej nocy.

Pomysłowe, ale jakoś nie potrafiłem w to uwierzyć. Zresztą, inni też nie. W każdym razie nikt nie zaproponował, że pójdzie na górę i wyrzuci Gerarda.

Po chwili zbliżyła się Fiona.

– Spróbowaliśmy jedynej rzeczy, jaką udało się nam wymyślić – powiedziała, siadając obok mnie. – Mam nadzieję, że coś z tego wyjdzie.

– Może.

– Widzę, że dodałeś do swojej garderoby pewną interesującą ozdobę – zauważyła, podnosząc dwoma palcami Klejnot Wszechmocy. Przyjrzała mu się i podniosła głowę.

– Czy potrafisz zmusić go do robienia jakichś sztuczek? – spytała.

– Niektórych – odparłem.

– Więc wiedziałeś, jak go dostroić. Potrzebny jest Wzorzec, prawda?

– Tak. Tuż przed śmiercią Eryk powiedział, jak się do tego zabrać.

– Rozumiem.

Puściła kamień, usiadła wygodniej i spojrzała w płomienie na kominku.

– Czy uprzedził cię także o zagrożeniach?

– Nie.

– Zastanawiam się, czy zrobił to świadomie, czy raczej w rezultacie okoliczności.

– Wiesz, był wtedy bardzo zajęty umieraniem. To ograniczyło swobodę rozmowy.

– Wiem. Ciekawe tylko, czy to jego nienawiść do ciebie przeważała nad dobrem kraju, czy zwyczajnie nie znał pewnych zasad.

– A tyje znasz?

– Przypomnij sobie śmierć Eryka, Corwinie. Nie było mnie przy tym, ale zjawiłam się przed grobem i asystowałam przy myciu, stryżeniu i ubieraniu zwłok. Przyjrzałam się jego obrażeniom i nie wierzę, by same z siebie były śmiertelne. Miał trzy rany piersi, ale tylko jedna mogła sięgnąć osierdzia...

– Jedna zupełnie wystarczy, gdy...

– Zaczekaj – przerwała. – To było trudne, ale cienkim szklanym prętem zbadałam kąt przebicia.

Chciałam wykonać nacięcie, ale Caine się nie zgodził. Mimo to nie wierzę, by uszkodzone było serce albo główne arterie. Jeżeli chcesz, bym sprawdziła dokładniej, to jeszcze nie jest za późno na sekcję. Uważam, że obrażenia i stan ogólnego stresu przyczyniły się do śmierci, ale wierzę, że to Klejnot był zasadniczym powodem.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Ze względu na pewne sprawy, o których mówił Dworkin kiedy się u niego uczyłam. A także inne, na które dlatego właśnie zwróciłam uwagę. Dworkin stwierdził, że wprowadzie Klejnot daje niezwykle możliwości, to jednak czerpie moc z siły życiowej swego właściciela. Im dłużej go nosisz, tym więcej ci odbiera. Zaczęłam zwracać na to uwagę i zauważyłam, że tato zakładał go rzadko i zawsze na krótko.

Wróciłem myślą do Eryka, tamtego dnia, gdy leżał na zboczu Kolviru, a wokół wrzała bitwa. Wspomniałem moje pierwsze wrażenie, jego bladą twarz, ciężki oddech, krew na piersi... i Klejnot Wszechmocy na łańcuchu, czerwony, pulsujący jak serce wśród fałd jego stroju. Nigdy przedtem ani potem nie widziałem, by się tak zachowywał. Pamiętam, że zjawisko słabło coraz bardziej, a kiedy Eryk skonał i splotłem mu palce na Klejnocie, pulsowanie ustało zupełnie.

– Co wiesz o działaniu Klejnotu? – spytałem.

Potrząsnęła głową.

– Dworkin uważał to za tajemnicę państwową. Wiem to, co oczywiste – o sterowaniu pogodą – a z luźnych uwag taty wywnioskowałam, że kamień wpływa na rodzaj podwyższonej percepcji, czy raczej percepcji wyższego poziomu. Dla Dworkina był przykładem wszechobecności Wzorca we wszystkim, co daje nam moc. Nawet Atuty zawierają Worzec. Trzeba się tylko przyjrzeć uważnie i z bliska. Twierdził też, że ilustruje zasady zachowania: nasze specjalne zdolności mają swoją cenę. Im większa moc, tym więcej kosztuje. Atuty są drobnostką, jednak używając ich odczuwasz znużenie. Chodzenie wśród Cienia, wykorzystujące obraz Wzorca, jaki istnieje w każdym z nas, wymaga większego wysiłku. Przejście samego Wzorca głęboko narusza rezerwy energii. Jednak Klejnot, jak twierdził, znajduje się jeszcze o oktawę wyżej na tej skali i koszty użytkownika rosną wykładniczo.

Był to kolejny, niejednoznaczny przejaw charakteru mego zmarłego, najmniej kochanego brata. Jeśli zdawał sobie sprawę z tego fenomenu, a mimo to nosił Klejnot, by bronić Amberu, stawał się w pewnym sensie bohaterem. Oddał mi go jednak bez słowa przestrogi, co robiło wrażenie ostatniej próby zemsty, podjętej na łożu śmierci. Wykluczył mnie wprowadzie ze swej klątwy – jak twierdził, po to, by użyć jej przeciw naszym wrogom. Znaczyło to tylko, że nienawidził ich trochę bardziej niż mnie i strategicznie wykorzystywał resztki swej potęgi dla dobra Amberu. Pomyślałem wtedy o niepełnych notatkach Dworkina, znalezionych we wskazanym przez Eryka miejscu. Czy to możliwe, że zdobył je w całości i by zgładzić swego następcę, świadomie zniszczył część zawierającą konieczne przestrogi? Ten pomysł nie wydał mi się szczególnie trafny. Nie mógł przecież wiedzieć, że powrócę właśnie wtedy, w taki sposób, że bitwa przybierze taki obrót i że to ja, nie kto inny, zostanę następcą.

Równie dobrze mógł objąć władzę któryś z jego faworytów, a wtedy z pewnością nie zastawiałby na niego pułapek. Nie. Moim zdaniem Eryk albo nie miał pojęcia o niebezpiecznych właściwościach Klejnotu, albo ktoś przede mną dotarł do papierów i usunął ich część, by postawić mnie wobec śmiertelnego zagrożenia. Mógł to być, po raz kolejny, nasz prawdziwy wróg.

– Wiesz, jaki jest margines bezpieczeństwa? – spytałem.

– Nie – odparła. – Podam ci tylko dwie wskazówki, choć nie wiem, ile są warte. Po pierwsze, tato



nigdy nie nosił Klejnotu przez dłuższy czas. Druga jest wnioskiem z kilku jego wypowiedzi, a przede wszystkim uwagi: "Kiedy ludzie zmieniają się w posągi, jesteś w niewłaściwym miejscu, albo masz kłopoty". Męczyłam go o to długo i w końcu domyśliłam się, że pierwszym objawem działania Klejnotu jest rodzaj zniekształcenia poczucia czasu. Wydaje się, że przyspiesza metabolizm, a w rezultacie świat wokół zwalnia. To musi być straszliwy wysiłek dla osoby, która to przeżywa. Nic więcej nie wiem i przyznaję, że większa część moich wniosków to tylko domysły. Jak długo nosisz kamień?

– Dość długo – odparłem. W myślach liczyłem uderzenia serca i rozglądałem się dyskretnie, czy wszyscy wokół nie poruszają się wolniej.

Nic nie zauważyłem, chociaż istotnie nie czułem się najlepiej. Uznałem jednak, że to efekt bójki z Gerardem. Nie miałem jednak zamiaru zrywać kamienia z szyi tylko dlatego, że ktoś z rodziny mi to zasugerował. Nawet jeśli była to rozsądna Fiona w wyjątkowo przyjaznym nastroju. Upór, przekora... Nie, raczej niezależność. Właśnie tak. Szło o czysto formalny brak zaufania. Zresztą, włożyłem go na wieczór, ledwie parę godzin temu. Zaczekam.

– Wiem, co chcesz pokazać nosząc go – mówiła dalej. – Chciałam cię tylko ostrzec przed zbyt długą ekspozycją. Póki nie dowiesz się czegoś więcej.

– Dzięki, Fi. Wkrótce go zdejmę i jestem ci wdzięczny za przestrożę. A przy okazji, co się właściwie stało z Dworkinem?

Popukała się w skroń.

– Jego umysł w końcu nie wytrzymał. Biedaczysko. Chcę wierzyć, że tato umieścił go w jakimś spokojnym miejscu w Cieniu.

– Rozumiem, o co ci chodzi – stwierdziłem. – Tak, lepiej w to wierzyć. Biedak.

Julian powstał, kończąc dyskusję z Llewellą. Przeciągnął się, skinął jej głową i podszedł do nas.

– Corwinie, czy masz jeszcze dla nas jakieś pytania?

– Żadnych, które chciałbym zadawać w tej chwili.

Uśmiechnął się.

– Czy chciałbyś jeszcze coś powiedzieć?

– Nie teraz.

– Jakież eksperymenty, pokazy, zagadki?

– Nie.

– To dobrze. W takim razie idę do łóżka. Dobrej nocy.

– Dobranoc.

Skłonił się Fionie, pomachał Benedyktowi i Randomowi, skinął Florze i Deirdre, gdy mijali ich kolejno w drodze do drzwi. Zatrzymał się jeszcze na progu, odwrócił, powiedział: "Teraz możecie rozmawiać o mnie" i wyszedł.

– Znakomicie – mruknęła Fiona. – Porozmawiajmy. Uważam, że to on.

– Dlaczego? – spytałem.

– Omówię wszystkich po kolei, choć argumenty będą subiektywne, oparte na intuicji i uprzedzeniach. Benedykt jest, moim zdaniem, poza podejrzeniem. Gdyby chciał tronu, zdobyłby go już bezpośrednio, militarnymi metodami. Miał dość czasu, by przygotować atak, który by się powiódł, nawet przeciwko tacie. Jest dostatecznie dobry i wszyscy o tym wiemy. Ty natomiast popełniłeś kilka błędów, których byś się ustrzegł, gdybyś dysponował pełnią informacji. Właśnie dlatego wierzę w twoją historię, tę amnezję i całą resztę. Nikt nie pozwoli się oślepić tylko dla realizacji jakiejś strategii. Gerard jest na najlepszej drodze, by wykazać swoją niewinność. Można by prawie przypuścić, że siedzi z Brandem w tym właśnie celu, nie po to, by go chronić. W każdym

razie już niedługo będziemy wiedzieli na pewno... albo zrodzą się nowe podejrzenia. Randoma po prostu zbyt dokładnie pilnowano przez ostatnie lata, by zdołał zorganizować to, co się aktualnie dzieje. Można go skreślić. Co do słabszej części rodziny, Florze brakuje rozumu, Deirdre charakteru, Llewella nie ma motywacji, gdyż jest szczęśliwa jedynie u siebie, nigdy tutaj. Co do mnie, trudno mnie oskarżyć o cokolwiek prócz złośliwości. Pozostaje więc Julian. Czy byłby do tego zdolny? Tak. Czy chce tronu? Oczywiście. Czy miał czas i sposobność? Jeszcze raz: tak. A więc to on.

– Czy zabiłby Caine'a? Byli kumplami.

Wydeła wargi.

– Julian nie ma przyjaciół – oświadczyła. – Ten jego lodowaty charakter mięknie wyłącznie wtedy, gdy myśli o sobie. Istotnie, ostatnio sprawiał wrażenie, że jest z Caine'em bliżej niż z kimkolwiek innym. Ale nawet to... nawet to mogło być tylko elementem gry. Udawał przyjaźń tak długo, że wszyscy w nią uwierzyli po to, by teraz nikt go nie podejrzewał. Wierzę, że Julian byłby do tego zdolny, ponieważ nie potrafię uwierzyć, by był zdolny do silnych związków emocjonalnych.

Pokręciłem głową.

– Sam nie wiem. Ta przyjaźń z Caine'em zaczęła się podczas mojej nieobecności, więc dysponuję jedynie informacjami z drugiej ręki. Zrozumiałbym jednak, gdyby Julian szukał kogoś bliskiego, jakiejś pokrewnej duszy. Byli do siebie podobni. Mam wrażenie, że ten ich układ nie był udawany, ponieważ nie wierzę, by ktokolwiek potrafił przez całe lata wmawiać innej osobie swoją przyjaźń. Chyba że ta druga osoba jest niewiarygodnie głupia, a Caine z pewnością nie był głupi. Zresztą... sama mówiłaś, że twoje rozumowanie jest subiektywne, intuicyjne i oparte na uprzedzeniach. Moje także, przynajmniej w tej sprawie. Nie chcę myśleć, że można być takim nędznym draniem i w ten sposób wykorzystać jedyne przyjaciela. Dlatego uważam, że w twojej liście coś się nie zgadza.

Westchnęła.

– Jak na kogoś, kto był tak długo nieobecny, Corwinie, wypowiadasz niezbyt rozsądne opinie. Czyżby zmienił cię długi pobyt w tym zabawnym świątku? Przed laty dostrzegłbyś rzeczy oczywiste, tak jak ja.

– Może się zmieniłem, ponieważ takie rzeczy nie wydają mi się już oczywiste. A może to ty się zmieniłaś, Fiono? Stałaś się odrobinę bardziej cyniczna niż ta dziewczynka, którą kiedyś znałem.

Uśmiechnęła się lekko.

– Nigdy nie mów kobiecie, że się zmieniła, Corwinie. Chyba, że na lepsze. Kiedyś o tym także wiedziałeś. Czy to możliwe, byś był tylko jednym z cieni Corwina, przysłanym tutaj, by cierpieć i zwyciężać w jego imieniu? Czy prawdziwy Corwin ukrywa się gdzieś i wyśmiewa z nas wszystkich?

– Jestem tutaj i wcale się nie wyśmiewam – odparłem.

– Tak, to właśnie to – roześmiała się. – Nie jesteś sobą, Corwinie. Uwaga! Ważna wiadomość! – zawołała, zrywając się z fotela. – Odkryłam, że to nie jest prawdziwy Corwin! To musi być któryś z jego cieni! Właśnie wyznał wiarę w przyjaźń, godność, szlachetność ducha i inne rzeczy, występujące głównie w romansach! Najwyraźniej trafiłam na ważny trop!

Wszyscy spojrzeli na nią ze zdziwieniem. Roześmiała się znowu i usiadła gwałtownie.

Dosłyszałem, jak Flora mruczy "upiła się" i wraca do rozmowy z Deirdre. Random rzekł "wysłuchajmy tych cieni" i zajął się dyskusją z Benedyktem i Llewellą.

– Widzisz? – spytała Fiona.

– Co?

– Jesteś nieważny – stwierdziła, klepiąc moje kolano. – Zresztą ja też, jak się nad tym chwilę zastanowić. To był ciężki dzień, Corwinie.

– Wiem. Też się czuję fatalnie. Zdawało mi się, że to znakomity sposób, by ściągnąć Branda z

powrotem. Więcej nawet, był skuteczny. I dużo mu z tego przyszło.

– Nie zapominaj o swojej świeżo nabytej wierze w ludzką szlachetność – powiedziała. – Trudno cię winić za to, co się stało.

– Dzięki.

– Uważam, że Julian miał znakomity pomysł. Nie mam ochoty dłużej tu siedzieć. Jestem śpiąca. Wstałem i odprowadziłem ją do drzwi.

– Nic mi nie jest – zapewniła. – Naprawdę.

– Jesteś pewna?

Z przekonaniem kiwnęła głową.

– Więc do zobaczenia rano.

– Mam nadzieję – stwierdziła. – Teraz możecie rozmawiać o mnie.

Mrugnęła porozumiewawczo i wyszła.

Kiedy się obejrzałem, zbliżali się do mnie Benedykt i Llewella.

– Wychodzicie?

Benedykt przytaknął.

– Już czas – powiedziała Llewella i pocałowała mnie w policzek.

– A to za co?

– Za różne rzeczy. Dobranoc.

– Dobranoc.

Random przykucnął przed kominkiem i pogrzebaczem szturchał głownie.

– Nie dokładaj do ognia, jeśli to ze względu na nas – zawołała Deirdre. – Flora i ja też już idziemy.

– Jak chcecie – odłożył pogrzebacz i wstał. – Przyjemnych snów – krzyknął za nimi.

Deirdre uśmiechnęła się do mnie sennie, a Flora nerwowo. Pożegnałem je i patrzyłem, jak odchodzą.

– Dowiedziałeś się czegoś nowego i pożytecznego? – spytał Random.

Wzruszyłem ramionami.

– A ty?

– Opinie, hipotezy. Żadnych nowych faktów. Próbowaliśmy odgadnąć, kto mógłby być następny na liście.

– I...?

– Benedykt uważa, że to sprawa rzutu monetą. Ty albo on. Zakładając, oczywiście, że to nie ty jesteś winien. Sądzi też, że twój kumpel, Ganelon, powinien się pilnować.

– Ganelon... Tak, to jest myśl. Sam powinienem na to wpaść. Ma chyba rację co do monety. Może być trochę fałszywa, gdyż wiedzą, że jestem czujny, odkąd próbowali mnie zrobić w morderstwa.

– Przypuszczam, że wszyscy teraz rozumieją, że Benedykt też ma się na baczności. Udało mu się każdemu streścić tę swoją teorię. Moim zdaniem, zamach tylko go ucieszy.

Zachichotałem.

– To znowu wyrównuje szanse. Chyba naprawdę będą rzucać monetą.

– O tym także powiedział. Naturalnie, zdawał sobie sprawę, że ci powtórzę.

– Naturalnie. Chciałbym, żeby znów zaczął się do mnie odzywać. Cóż... niewiele mogę teraz na to poradzić. Do diabła z tym wszystkim. Idę do łóżka.

Skinął głową.

– Tylko najpierw pod nie zajrzyj.

Wyszliśmy razem i ruszyliśmy korytarzem.

– Wiesz, Corwinie, szkoda, że się nie domyśliłeś, by oprócz karabinów przywieźć ze sobą trochę kawy – stwierdził. – Napiłbym się.

– Śpisz potem dobrze?

– Owszem. Lubię wieczorem napić się kawy.

– Mnie brakuje kawy rano. Trzeba będzie sprowadzić trochę, kiedy skończy się to zamieszanie.

– Niewielka pociecha, ale niezły pomysł. A nawiasem mówiąc, co się stało Fi?

– Uważa, że to Julian jest winien.

– Może mieć rację.

– A Caine?

– Załóżmy, że to nie jest jeden człowiek – powiedział, kiedy wchodziliśmy na górę. – Powiedzmy, że było ich dwóch, na przykład i Julian, i Caine. Pokłócili się, Caine przegrał, Julian pozbył się go i wykorzystał tę śmierć, by przy okazji osłabić twoją pozycję. Dawni przyjaciele stają się najgorszymi wrogami.

– To nie ma sensu – stwierdziłem. – W głowie mi się kręci, kiedy zaczynam rozważać wszystkie możliwości. Musimy albo poczekać, aż coś się wydarzy, albo sprawić, żeby się wydarzyło. Prawdopodobnie to drugie. Ale nie dzisiaj.

– Hej! Poczekaj!

– Przepraszam – zatrzymałem się na podeście. – Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Pewnie końcowy wybuch energii.

– To nerwowe – stwierdził, zrównując się ze mną. Razem doszliśmy na górę. Z wysiłkiem równałem do jego tempa, tłumiąc pragnienie pośpiechu.

– Śpij dobrze – powiedział w końcu.

– Dobrej nocy, Randomie.

Wspinał się dalej, a ja ruszyłem do moich pokojów. Czuję się dość niepewnie i chyba dlatego upuściłem klucz. Wyciągnąłem dłoń i pochwyciłem go w powietrzu, zanim zdążył upaść. Równocześnie odniosłem wrażenie, że spadał jakby wolniej, niż powinien. Wsunąłem go w zamek i przekręciłem. W pokoju było ciemno, postanowiłem jednak nie zapalać świecy ani lampy. Bardzo dawno temu przyzwyczailem się do ciemności. Zamknąłem i zaryglowałem drzwi. Oczy przystosowały się już do mroku po przejściu ze słabo oświetlonego korytarza. Odwróciłem się. Odrobina światła gwiazd przebijała się przez zasłony. Ruszyłem przez pokój, odpinając po drodze kołnierzyk. Cekał w alkwie, po lewej stronie drzwi. Zajął doskonałą pozycję i nie uczynił nic, co mogłoby go zdradzić. Wszedłem prosto w pułapkę. Stał w idealnym miejscu, trzymał gotowy do ciosu sztylet, dysponował przewagą całkowitego zaskoczenia. Wedle wszelkich reguł powinienem zginać – nie na łóżku, ale natychmiast, u jego stóp.

Pochwyciłem jakiś ruch, wyczułem czyjaś obecność i pojąłem, co oznacza, w chwili, gdy przekraczałem próg. Już podnosząc ramię do osłony wiedziałem, że jest za późno, by uniknąć pchnięcia. Uderzyła mnie jednak pewna niezwykłość: zamachowiec poruszał się zbyt wolno. Powinien być szybki, pchany napięciem długiego wyczekiwania, a ja nie powinienem sobie zdawać sprawy z tego, co się dzieje.

Dopiero po fakcie, jeśli w ogóle. Nie powinienem mieć czasu na częściowy obrót i wysunięcie ramienia tak daleko, jak to zrobiłem. Różowa mgła wypełniła mi pole widzenia i poczułem, jak moje przedramię trafia w wyciągniętą rękę dokładnie w tej samej chwili, gdy stał dotknęła mego brzucha i ukaśiła. Wśród czerwieni dostrzegłem słaby zarys kosmicznej wersji Wzorca, który dzisiaj przeszedłem. Kiedy zgąłem się wpół i upadłem, niezdolny do myślenia, lecz jeszcze przez moment przytomny, stał się wyraźniejszy, bliższy, pewniejszy. Chciałem uciekać, lecz rumak mego ciała

potknął się. I zrzucił mnie z siodła.

# Rozdział 8

---

Każda żywa istota musi czasem uronić trochę krwi. Niestety, znowu nadeszła moja kolej i miałem wrażenie, że jest to więcej niż trochę. Leżałem zgięty w pół, na prawym boku, trzymając się rękami za brzuch. Był mokry, a od czasu do czasu coś ciekło mi po skórze.

Z przodu, po lewej, tuż nad talią, czułem się jak rozerwana pospiesznie koperta. Takie były moje pierwsze wrażenia, kiedy pojawiła się świadomość. A moja pierwsza myśl: "Na co on jeszcze czeka?". Coup de Grace został najwyraźniej wstrzymany. Dlaczego?

Otworzyłem oczy, które wykorzystały miniony czas, by przystosować się do ciemności. Przekręciłem głowę; w pokoju nie było nikogo. Zdarzyło się jednak coś niezwykłego i nie bardzo potrafiłem to określić. Zamknąłem oczy i pozwoliłem, by głowa opadła z powrotem na materac.

Coś się nie zgadzało i zgadzało jednocześnie... Materac... Tak, leżałem we własnym łóżku. Nie zdołałbym tu dotrzeć bez pomocy. A z drugiej strony byłoby absurdem najpierw kłuć mnie nożem, a potem odprowadzać do łóżka.

Moje łóżko... tak, moje, ale jakby obce. Zacisnąłem mocno powieki. Przygryzłem wargę. Nie rozumiałem. Wiedziałem, że proces myślenia nie może przebiegać normalnie, skoro odczuwałem skutki szoku, a krew zbierała się w moich wnętrznościach, by wyciekać na zewnątrz. Spróbowałem się skoncentrować. Nie było to łatwe.

Moje łóżko. Zanim jeszcze zdasz sobie sprawę z czegokolwiek, wiesz, czy jesteś we własnym łóżku. Ja byłem, ale... Stłumiłem chęć, by kichnąć, bo czułem, że rozerwałoby mnie to na strzępy. Zatkaną nos i oddychałem szybko przez usta. Wokół mnie był zapach, smak i miękkość kurzu.

Atak kichania minął i otworzyłem oczy. Zrozumiałem, gdzie się znajduję. Nie wiedziałem, jak i dlaczego, ale ponownie trafiłem w miejsce, którego nie spodziewałem się już zobaczyć.

Opuściłem prawą rękę i z jej pomocą zdołałem się podnieść.

Byłem w sypialni swojego domu. Tego starego. Tego, który był moim domem, kiedy nazywałem się Carl Corey. Powróciłem do Cienia, do świata, gdzie spędziłem długie wygnanie. Pokój zalegały pokłady kurzu. Nikt nie posłał łóżka, odkąd spałem w nim po raz ostatni, ponad pięć lat temu. Wiedziałem, w jakim stanie znajdę cały dom. Odwiedziłem go przecież przed paru tygodniami.

Przesunąłem się dalej i zdołałem spuścić nogi na podłogę. Znowu zgiąłem się w pół i znieruchomiałem. Nie było dobrze. Czułem się chwilowo bezpieczny od dalszych ataków, wiedziałem jednak, że potrzebuję czegoś więcej, niż tylko bezpieczeństwa.

Potrzebowałem pomocy, gdyż sam sobie pomóc raczej nie mogłem. Nie byłem nawet pewien, jak długo uda mi się zachować przytomność. Musiałem więc zejść na dół i wydostać się stąd. Telefon z pewnością nie działa, a najbliższy dom stoi dość daleko. Trzeba będzie dotrzeć przynajmniej do szosy. Pomyślałem ponuro, że jednym z powodów zamieszkania tutaj była mało uczęszczana droga. Lubię samotność, przynajmniej czasami.

Prawą ręką przyciągnąłem do siebie poduszkę i zdjąłem poszewkę. Przewróciłem ją na lewą stronę, próbowałem złożyć, zrezygnowałem, zwinąłem w kłębek, wsunąłem pod koszulę i przycisnąłem do rany. Wysilek był ogromny. Każdy głębszy oddech sprawiał ból.

Po dłuższej chwili zdołałem sięgnąć po drugą poduszkę. Położyłem ją na kolanach i pozwoliłem, by wysliznęła się z poszewki. Potrzebowałem czegoś białego, żeby machać na przejeżdżających kierowców, ponieważ ubranie, jak zwykle, miałem ciemne. Nim jednak wsunąłem za pasek kwadrat jasnego płótna, zatrzymałem się zdumiony zachowaniem samej poduszki. Nie dotarła jeszcze do

podłogi. Puściłem ją, nie jej nie podtrzymywało, i rzeczywiście poruszała się. Ale poruszała się bardzo wolno, opadając z sennym dostojeństwem.

Wspomniałem klucz, upuszczony przed drzwiami. Wspomniałem nieświadomie szybki krok, gdy z Randomem wchodziłem po schodach. Wspomniałem słowa Fiony i Klejnot Wszechmocy, wciąż wiszący mi na szyi, pulsujący blaskiem w rytm fal bólu promieniującego z rany. Być może ocalił mi życie, przynajmniej na chwilę; tak, nawet na pewno, jeśli Fiona się nie myliła.

Prawdopodobnie dzięki niemu zyskałem dodatkowy ułamek sekundy i zdążyłem się odwrócić, zdążyłem poderwać ramię, nim napastnik uderzył. Może nawet sprawił, że przeniosłem się do Cienia. Zastanowię się nad tym później, o ile zdołałem utrzymać trwałe stosunki z przyszłością. Na razie Klejnot musiał zniknąć – na wypadek, gdyby obawy Fiony co do niego także miały się sprawdzić – a ja musiałem ruszać.

Zwinąłem drugą poszewkę i spróbowałem wstać, przytrzymując się oparcia łóżka. Nic z tego! Zawroty głowy i za silny ból. Zsunąłem się na podłogę w strachu, że po drodze stracę przytomność. Udało się. Odpocząłem. Potem poczołgałem się wolno przed siebie. Drzwi frontowe, o ile pamiętałem, były zabite gwoździami. A więc do kuchennych.

Dotarłem do drzwi sypialni i zatrzymałem się oparty o framugę. Zdjąłem z szyi Klejnot Wszechmocy i owinałem łańcuch wokół nadgarstka. Musiałem go gdzieś ukryć, a sejf w moim gabinecie był nie po drodze. Poza tym zostawiałem za sobą ślad krwi i każdy, kto okazałby się ciekawy i podążył za nim, mógłby pokonać tę drobną przeszkodę. A mnie brakowało czasu i sił...

Dotarłem wreszcie tam, gdzie zamierzałem. Musiałem teraz wstać i postarać się otworzyć kuchenne drzwi. Popełniłem błąd: nie odpocząłem przed tą próbą.

Kiedy odzyskałem przytomność, leżałem na progu. Noc była chłodna, a chmury zasłaniały większą część nieba. Wiatr dmuchał nad patio. Czułem kilka kropel wilgoci na wyciągniętej dłoni.

Podciągnąłem się i wyczołgałem na zewnątrz, śnieg zalegał pięciocentymetrową warstwą. Lodowate powietrze trochę mnie ocuciło. Z uczuciem bliskim paniki pojąłem, jak byłem oszołomiony podczas drogi z sypialni. Mogłem zemdleć w każdej chwili.

Natychmiast ruszyłem do rogu budynku, zbaczając tylko odrobinę, do przyzmy kompostu. Wykopałem w niej dziurę, rzuciłem Klejnot i przykryłem kępką wyjętej wcześniej suchej trawy. Narzuciłem śniegu i popęzłem dalej.

Kiedy znalazłem się za węglem, budynek chronił mnie od wiatru i trasa prowadziła trochę w dół. Dotarłem do frontowego wejścia i zatrzymałem się, by odpocząć. Właśnie przejechał jakiś samochód. Przyglądałem się jego nikiącym światłom. Był jedynym pojazdem w polu widzenia.

Kryształki lodu zakłuły mnie w twarz, gdy ruszyłem dalej. Kolana miałem mokre i przemarznięte do kości. Podjazd opadał w dół, z początku łagodnie, potem ostro, aż do drogi. Jakies sto metrów na prawo zaczynał się ostry zjazd i kierowcy zwykle wciskali tam hamulce.

Uznałem, że da mi to dodatkową sekundę w świetle reflektorów, gdyby ktoś nadjechał z tamtej strony. Było to jedno z tych drobnych zabezpieczeń, jakich szuka umysł, kiedy sprawy stają się poważne – taka aspiryna dla mózgu. Z trzema przystankami dotarłem na pobocze, do wielkiego kamienia, na którym widniał numer mojego domu. Usiadłem na nim, wsparty o zlodowaciałą zaspę.

Wyciągnąłem drugą poszewkę i położyłem na kolanach. Czekałem. Wiedziałem, że nie potrafię się skoncentrować.

Przypuszczam, że kilkakrotnie traciłem i odzyskiwałem przytomność. Za każdym razem, kiedy się na tym przyłapałem, usiłowałem zaprowadzić jakiś porządek we własnych myślach, ustalić, co zaszło w świetle wszystkiego innego, co się wydarzyło, poszukać zabezpieczeń. Lecz niedawny wysiłek okazał się zbyt wielki.

Po prostu nie potrafiłem się skupić powyżej poziomu reakcji na aktualne bodźce. Skojarzyłem jednak, choć dość mgliście, że wciąż mam przy sobie komplet Atutów. Mogłem połączyć się z kimś w Amberze i poprosić, żeby przerzucił mnie z powrotem.

Ale z kim? Nie byłem na tyle oszołomiony, by nie zdawać sobie sprawy, że mogę się skontaktować z osobą odpowiedzialną za mój aktualny stan. Czy lepiej narażać się na to, czy jednak podjąć ryzyko tutaj? Mimo wszystko, Random albo Gerard...

Wydało mi się, że słyszę samochód. Daleko, niewyraźnie... Wiatr i uderzenia serca utrudniały percepcję. Odwróciłem głowę. Skupiłem się.

Jest... I znowu. Tak, to silnik, Przygotowałem się do machania poszewką.

Nawet wtedy moje myśli umykały na boki. Przyszło mi na przykład do głowy, że nie byłbym już w stanie skoncentrować się na tyle, by operować Atutami.

Dźwięk narastał. Podniosłem poszewkę. Chwilę później światła dotknęły najdalszego widocznego po prawej stronie punktu szosy. Zaraz potem dostrzegłem samochód. Straciłem go z oczu, gdy zjechał w dół, lecz zaraz pojawił się znowu. Płatki śniegu wirowały w blasku reflektorów.

Zacząłem machać, gdy zbliżył się do zjazdu. Znalazłem się w stożku światła i kierowca musiał mnie zauważyć.

Mimo to przejechał obok – mężczyzna w najnowszym sedanie, z kobietą na miejscu pasażera. Kobieta obejrzała się, ale mężczyzna nawet nie zwolnił.

Parę minut później zbliżył się drugi wóz, trochę starszy, prowadzony przez kobietę. Nie zauważyłem pasażerów. Zwolniła wprawdzie, ale tylko na moment. Musiałem się jej nie spodobać. Przycisnęła gaz i zniknęła w jednej chwili.

Osunąłem się nieco. Musiałem odpocząć. Księżę Amberu nie powinien raczej powoływać się na braterstwo ludzkich istot, by dokonać krytyki moralnej. W każdym razie nie na poważnie, a za bardzo mnie bolało, żebym się śmiał.

Bez sił, możliwości koncentracji i pewnej zdolności poruszania się, moja władza nad Cieniem była fikcją.

Wykorzystałbym ją, pomyślałem, przede wszystkim do przeniesienia się w jakieś ciepłe miejsce... Ciekawe, czy potrafiłbym wrócić do przyzmy kompostu. Nie pomyślałem, by użyć Klejnotu i zmienić pogodę. Pewnie na to także byłem za słaby. Wysilek mógłby mnie zabić.

Mimo to...

Potrząsnąłem głową. Traciłem świadomość, przebywałem niemal we śnie. Musiałem zachować przytomność. Czy to następny samochód? Może. Spróbowałem unieść poszewkę i upuściłem ją. Kiedy się po nią schyliłem, po prostu musiałem na moment oprzeć głowę na kolanach.

Deirdre... Wezwałbym moją kochaną siostrzyczkę. Jeśli ktokolwiek zechciałby mi pomóc, to na pewno Deirdre. Zaraz znajdę jej Atut i zawołam ją. Za minutkę. Gdyby tylko nie była moją siostrą... Muszę odpocząć. Jestem łajdakiem, ale nie durniem. Może czasem, kiedy odpocznę, jest mi nawet przykro z powodu pewnych rzeczy. Ale nie wszystkich. Gdyby tylko było trochę cieplej... Chociaż, nie jest tak źle, siedzieć sobie schylony... Czy to samochód? Chciałem podnieść głowę, ale się nie udało.

Chyba nie stanę się przez to gorzej widoczny...

Poczułem światło na powiekach i usłyszałem silnik.

Nie zbliżał się ani nie oddalał. Po prostu warczał równo. Potem dosłyszałem krzyk. I klik – przerwa – trzask otwieranych i zamykanych drzwi. Mógłbym otworzyć oczy, ale nie miałem ochoty. Bałem się, że zobaczę tylko czarną, pustą drogę, że dźwięki zmienią się znowu w uderzenia serca i świst wiatru. Lepiej trzymać się tego, co już mam, niż ryzykować.



– Hej! Co tu robisz? Jesteś ranny?

Kroki... Więc to prawda.

Otworzyłem oczy. Wyprostowałem się z wysiłkiem.

– Corey! Boże, to ty!

Wykrzywiłem twarz w uśmiechu i wyhamowałem kiwnięcie głową, żeby nie upaść.

– To ja, Bill. Co u ciebie słychać? – Co się stało?

– Jestem ranny – wyjaśniłem. – Może ciężko.

Potrzebuję lekarza.

– Dasz radę przejść, jeśli ci pomogę? Czy mam cię przenieść?

– Spróbuję przejść – odparłem.

Postawił mnie na nogi. Oparłem się na nim i ruszyliśmy do samochodu. Pamiętam jedynie pierwsze kilka kroków.

Kiedy ten kołyszący się delikatnie słodki rydwan skwaśniał i zakołysał się ostro, usiłowałem podnieść rękę, stwierdziłem, że jest przywiązana, przemyślałem kwestię umocowanej do niej rurki i stwierdziłem, że chyba wyżyję. Wciągnąłem w nozdrza zapach szpitala i skontrolowałem wewnętrzny zegar. Skoro wyżyłem do tej pory, rezygnacja właśnie teraz byłaby czymś nieeleganckim. Poza tym było mi ciepło i tak wygodnie, jak na to pozwalala zajmowana pozycja. Ustaliwszy to, zamknąłem oczy i zasnąłem znowu.

Kiedy znów odzyskałem przytomność, czułem się już dużo lepiej. Zostałem dostrzeżony przez pielęgniarkę; poinformowała mnie, że minęło siedem godzin od mojego przyjazdu i że lekarz wkrótce przyjdzie ze mną porozmawiać. Przyniosła mi też szklankę wody i powiedziała, że śnieg przestał padać. Była ciekawa, co mi się przydarzyło.

Uznałem, że pora stworzyć własną historię. Im prostsza, tym lepiej. W porządku. Wracalem po długim pobycie za granicą. Ktoś mnie podwiózł, wszedłem do domu i zostałem zaatakowany przez jakiegoś wandala czy włamywacza, którego zaskoczyłem. Wyczołgałem się na dwór i wzywałem pomocy. Koniec.

Opowiedziałem to lekarzowi, niepewny, czy mi uwierzył. Był potężnym mężczyzną o twarzy, która dawno temu obwisła i znieruchomiała. Nazywał się Bailey, Morris Bailey. Wysłuchał mnie kiwając głową i zapytał:

– Przyjrzał się pan temu facetowi?

Zaprzeczyłem.

– Było ciemno – wyjaśniłem.

– Czy pana okradł?

– Nie wiem.

– Miał pan portfel?

Zdecydowałem, że na to pytanie lepiej odpowiedzieć twierdząco.

– Nie znaleźli go przy panu w izbie przyjęć, więc musiał go ukraść.

– Musiał – zgodziłem się.

– Czy pan mnie pamięta?

– Raczej nie. A powinienem?

– Wydał mi się pan jakby znajomy, kiedy pana przywieźli. Z początku tylko tyle...

– I...?

– W co pan był ubrany? Wyglądało to na rodzaj munduru.

– Ostatni krzyk mody w Tamtych Stronach. Mówił pan, że wydałem się znajomy?

– Owszem – przyznał. – Nawiasem mówiąc, gdzie leżą Tamte Strony? Gdzie pan był?

– Sporo podróżuję – odparłem wymijająco. – Przed chwilą chciał mi pan coś powiedzieć.

– Tak – potwierdził. – Jesteśmy niewielką kliniką i jakiś czas temu pewien wygadany handlarz przekonał dyrekcję, by zainwestowała w komputerowy system ewidencji pacjentów. Gdybyśmy rozbudowali szpital, a ta okolica rozwinęła się trochę bardziej, byłoby to sensowne. Żadna z tych rzeczy nie nastąpiła, a sprzęt jest raczej kosztowny. Zachęca wręcz do pewnej niedbałości ze strony urzędników. Starych danych się nie kasuje, jak dawniej bywało. Nawet w izbie przyjęć. Jest dość miejsca na całą masę zbędnych rejestrów. Dlatego, kiedy pan Roth podał pańskie nazwisko, przeprowadziłem rutynową kontrolę, znalazłem coś i zrozumiałem, czemu wygląda pan znajomo. Tamtej nocy też miałem dyżur, jakieś siedem lat temu, kiedy miał pan wypadek samochodowy. Zapamiętałem, jak pana operowałem i jak zdawało mi się, że pan nie przeżyje. Zaskoczył mnie pan jednak, wtedy i teraz. Nie znalazłem nawet blizn, które przecież powinny były pozostać. Znakomicie się wszystko wygoiło.

– Dzięki. Powiedziałbym, że to hołd dla lekarza.

– Mogę wiedzieć, ile pan ma lat? Do pańskiej kartoteki.

– Trzydzieści sześć – powiedziałem. To najbezpieczniejszy wiek.

Zapisał to na jakiejś karcie w teczce, którą trzymał na kolanach.

– Wie pan, przysiągłbym – skoro już sobie przypomniałem – że wcale się pan nie zmienił przez te lata.

– Zdrowy tryb życia.

– Zna pan swoją grupę krwi?

– Jest dość egzotyczna. Ale może ją pan traktować jak AB dodatni. Mogę przyjmować każdą krew, ale niech pan nie podaje nikomu mojej.

Pokiwał głową.

– Rodzaj pańskich obrażeń wymaga zawiadomienia policji.

– Domyślałem się tego.

– Sądziłem, że zechce się pan nad tym zastanowić.

– Dziękuję – powiedziałem. – Więc miał pan dyżur tamtej nocy? I to pan mnie połatał? Ciekawe.

Czy zapamiętał pan coś jeszcze?

– To znaczy co?

– Okoliczności, w jakich tu trafiłem. Moja pamięć to czysta karta od czasu tuż przed wypadkiem aż do chwili, kiedy przebywałem już w innym szpitalu, w Greenwood. Czy pamięta pan, kto mnie tu przywiózł?

Zmarszczył czoło akurat w chwili, gdy uznałem, że ma jeden wyraz twarzy na wszystkie okazje.

– Wysłaliśmy karetkę – powiedział.

– Kto ją wezwał? Kto zawiadomił o wypadku? Jak?

– Rozumiem, o co panu chodzi – oświadczył. – Karetkę wezwał patrol policji drogowej. O ile sobie przypominam, ktoś zauważył wypadek i zadzwonił do nich. Przekazali wiadomość do najbliższego radiowozu. Patrol dojechał nad jezioro, sprawdził meldunek, udzielił panu pierwszej pomocy i wezwał karetkę. To chyba wszystko.

– Jakies dane, kto złożył ten meldunek?

Wzruszył ramionami.

– Na ogół nie rejestrujemy takich rzeczy. Czy pańskie towarzystwo ubezpieczeniowe nie badało sprawy? Nie żądał pan odszkodowania? Mogliby chyba...

– Musiałem wyjechać z kraju, gdy tylko wróciłem do zdrowia – wyjaśniłem. – Nie zajmowałem się tą historią. Sądzę jednak, że policja powinna mieć jakies dane.

– Jasne. Ale nie mam pojęcia, jak długo je przechowują – zachichotał. – Chyba że trafił do nich ten sam handlarz. Ale już chyba za późno, żeby coś od nich wyciągnąć. Istnieją jakieś prawne ograniczenia terminów w takich sprawach. Pański przyjaciel, Roth, powie panu z pewnością...

– Nie chodzi mi o odszkodowanie – zapewniłem. – Po prostu chciałbym wiedzieć, co się stało. Zastanawiałem się nad tym od dobrych paru lat. Wie pan, doznałem amnezji.

– Czy próbował pan porozmawiać o tym z psychiatrą? – zapytał, a w jego głosie zabrzmiał jakiś ton, który mi się nie spodobał. Olśnił mnie wtedy jeden z rzadkich przeblysków intuicji: może, zanim trafiłem do Greenwood, Flora załatwiła mi papiery psychicznie chorego? Czy pozostało to w moich aktach? I czy wciąż byłem traktowany jako uciekinier ze szpitala? Minęło sporo czasu i nie miałem pojęcia o zastosowanych procedurach prawnych. Gdyby jednak tak było, to nie mogli wiedzieć, czy jakiś inny sąd nie uznał mnie znów za zdrowego. Przewrotność chyba kazała mi wychylić się i spojrzeć na rękę lekarza – miałem podświadome wrażenie, że kiedy sprawdzał mi puls, patrzył na zegarek z kalendarzem. Owszem, miał go. Spojrzałem z ukosa. Dobrze, dzień i miesiąc: 28 listopada. Wykonałem szybkie obliczenia z moim współczynnikiem konwersji dwa i pół i otrzymałem rok. Rzeczywiście, siedem lat, jak mówił.

– Nie, nie próbowałem – odparłem. – Uznałem, że to zaburzenia organiczne, nie funkcjonalne i potraktowałem te parę tygodni jako stratę nieodwracalną.

– Rozumiem – mruknął. – Dość swobodnie używa pan fachowych terminów. To dość częste u ludzi, którzy się leczą.

– Wiem – oświadczyłem. – Dużo czytałem na ten temat.

Westchnął. Wstał.

– Proszę posłuchać – powiedział. – Zatelefonuję do pana Rotha i dam mu znać, że już się pan obudził. Tak chyba będzie najlepiej.

– Co pan ma na myśli?

– To, że pański przyjaciel jest prawnikiem i może zechce pan z nim omówić pewne sprawy, zanim złoży pan wyjaśnienia dla policji.

Otworzył teczkę, w której zapisał gdzieś mój wiek, podniósł pióro, zmarszczył brwi i zapytał:

– A właściwie, którego dziś mamy?

Potrzebowałem Atutów. Moje rzeczy powinny być w szufladzie szafki koło łóżka, ale żeby tam sięgnąć, musiałbym za bardzo się wyginać, a nie chciałem naciągać szwów. Zresztą, nie było to znowu takie pilne. Osiem godzin snu w Amberze to mniej więcej dwadzieścia tutaj, więc wszyscy w domu powinni jeszcze zażywać spoczynku. Chciałem się skontaktować z Randomem, żeby ustalić jakąś historyjkę wyjaśniającą, dlaczego rano nie będę obecny. Później.

Nie miałem ochoty budzić podejrzeń, szczególnie w takiej chwili. Chciałem także dowiedzieć się jak najszybciej, co Brand ma do powiedzenia. Zastanowiłem się. Gdybym większą część rekonwalescencji odbył tutaj, straciłbym w Amberze mniej czasu. Musiałem wyliczyć to dokładnie, by uniknąć wszelkich komplikacji. Miałem nadzieję, że Bill zjawi się już niedługo. Nie mogłem się doczekać informacji, jak to wszystko wyglądało. Bill pochodził z tych terenów, skończył szkołę w Buffalo, wrócił, ożenił się, wszedł do rodzinnej firmy i to właściwie wszystko. Znał mnie jako emerytowanego oficera, który czasem wyjeżdżał w niezbyt jasnych interesach. Należeliśmy do tego samego, miejscowego klubu. Tam się zresztą poznaliśmy. Znałem go ponad rok i przez ten czas zamieniliśmy najwyżej parę słów. Aż pewnego wieczoru usiadłem obok niego przy barze i jakoś się wygadał, że interesuje się historią działań militarnych, zwłaszcza wojnami napoleońskimi. Kiedy się ocknęliśmy, zamykali już lokal. Od tamtej pory byliśmy bliskimi przyjaciółmi, aż do chwili, gdy zaczęły się moje kłopoty. Od czasu do czasu myślałem o nim. Szczerze mówiąc, gdy ostatnio

odwiedzałem to miejsce, od spotkania powstrzymała mnie jedynie myśl, że z pewnością będzie miał mnóstwo pytań na temat tego, co się ze mną działo. A miałem wtedy za dużo na głowie, żeby gładko z tego wybrnąć i jeszcze czuć się w miarę swobodnie. Raz czy dwa postanawiałem nawet wrócić i złożyć mu wizytę, gdy tylko będę mógł, a sprawy w Amberze trochę się uspokoją. Niestety, to jeszcze nie nastąpiło. Teraz żałowałem, że nie możemy się spotkać w przyjemniejszym miejscu, najlepiej w sali klubowej.

Zjawił się po godzinie: niewysoki, krępy, rumiany, trochę siwiejący na skroniach, uśmiechnięty i dobronudny. Zdażyłem już usiąść na łóżku i spróbować kilku głębokich oddechów, które jednak okazały się nieco przedwcześnie. Uścisnął mi rękę i przysunął krzesło.

Miał ze sobą neseser.

– Ostatniej nocy, Carl, śmiertelnie mnie przestraszyłeś. Myślałem, że widzę ducha.

Przytaknąłem.

– Jeszcze trochę, a wcale byś się nie mylił – stwierdziłem. – Dziękuję ci. Co słyhać?

– Mnóstwo roboty – westchnął Bill. – Sam wiesz. To samo, co zawsze, tylko więcej.

– Jak Alice?

– Świetnie. Mamy dwójkę nowych wnuków – bliźniaki Billa juniora. Zaczekaj chwilę. Wyciągnął portfel i wyjął zdjęcie.

– Spójrz.

Przyjrzałem się, zauważyłem rodzinne podobieństwo.

– Trudno uwierzyć – stwierdziłem.

– Nie zmieniłeś się prawie przez te lata.

Zaśmiałem się i dotknąłem brzucha.

– Tego nie liczę – zaznaczył. – Gdzie byłeś?

– Boże! Gdzie ja nie byłem! W tylu miejscach, że straciłem rachubę.

Jego twarz pozostała nieruchoma. Spojrzał mi w oczy.

– Carl, masz kłopoty?

– Jeśli pytasz o kłopoty z policją, to odpowiedź brzmi: nie. Moje problemy dotyczą innego kraju, do którego będę musiał wkrótce wrócić.

Odprężył się wyraźnie i jego oczy błysnęły zza dwuogniskowych szkieł.

– Jesteś tam jakimś doradcą wojskowym?

Przytaknąłem.

– Możesz powiedzieć, gdzie?

Pokręciłem głową.

– Przykro mi.

– Rozumiem – zapewnił. – Doktor Bailey powtórzył mi, co mu opowiedziałeś o wczorajszej nocy. Zupełnie prywatnie: czy miało to jakiś związek z twoim obecnym zajęciem?

Przytaknąłem znowu.

– To wyjaśnia sprawę – stwierdził. – Nie do końca, ale w wystarczającym stopniu. Nie będę pytał, kto cię tam wysłał, ani nawet, czy w ogóle ktoś cię wysłał. Zawsze znałem cię jako gentlemana i człowieka rozsądnego. Właśnie dlatego, kiedy zniknąłeś, przeprowadziłem małe dochodzenie. Czuję się trochę jak natręt i miałem wyrzuty sumienia. Ale twój status prawny był dość niezwykły i chciałem wiedzieć, co się stało. Głównie dlatego, że się o ciebie martwiłem. Mam nadzieję, że nie będziesz na mnie zły.

– Zły? Niewielu ludzi obchodzi, co się ze mną dzieje. Jestem wdzięczny. A także ciekawy, co wykryłeś. Nie miałem czasu zająć się tym wszystkim, wiesz, załatwić spraw do końca. Może mi

opowiesz, czego się dowiedziałeś?

Otworzył neser i wyjął brązową kartonową teczkę. Położył ją na kolanach i wyciągnął kilka kartek żółtego papieru, pokrytego równym, ręcznym pismem. Podniósł do oczu pierwszą z nich, przyglądał się przez chwilę i zaczął mówić:

– Kiedy uciekłeś ze szpitala w Albany i miałeś wypadek, Brandon najwyraźniej usunął się ze sceny...

– Stop! – zawołałem unosząc rękę i próbując usiąść prosto.

– Co się stało? – zapytał.

– Pomyliłeś kolejność i miejsce zdarzeń – wyjaśniłem. – Wypadek był pierwszy, a Greenwood nie jest w Albany.

– Wiem. Mówiłem o Sanatorium Portera, gdzie spędziłeś dwie doby, po czym uciekłeś. Wypadek zdarzył się tego samego dnia i w rezultacie trafiłeś tutaj. Potem zjawiała się twoja siostra, Evelyn. Przeniosła cię do Greenwood, gdzie przeleżałeś kilka tygodni, nim ich opuściłeś, znowu sam o tym decydując. Zgadza się?

– Częściowo – odparłem. – Konkretnie: w ostatniej części. Mówiłem już lekarzowi, że brakuje mi w pamięci paru dni poprzedzających wypadek. Albany istotnie z czymś mi się kojarzy, ale bardzo słabo. Masz coś więcej na ten temat?

– Jasne – oświadczył. – Może nawet ma to związek ze stanem twojej pamięci. Wsadzili cię tam z wyroku sądu...

– Kto?

Wyglądał na kartkę papieru.

– Brat, Brandon Corey; lekarz prowadzący, Hillary B. Rand – przeczytał. – Kojarzysz coś?

– Całkiem możliwe. Mów dalej.

– Wyrok został wydany na podstawie ich oświadczeń. Zostałeś rozpoznany, zatrzymany i przetransportowany. Teraz coś, co wiąże się z pamięcią...

– Tak?

– Nie znam się na tym i nie wiem, jakie wywiera skutki, ale u Portera poddano cię terapii elektrowstrząsów. Potem, jak już powiedziałem, z akt wynika, że uciekłeś drugiego dnia. Najwyraźniej z jakiejś nieznannej kryjówki wyciągnąłeś swój samochód i właśnie jechałeś z powrotem, gdy przytrafił ci się wypadek.

– To by się zgadzało – stwierdziłem. – Rzeczywiście.

Kiedy zaczął opowiadać, przez chwilę miałem szaleńcze wrażenie, że trafiłem do niewłaściwego Cienia, gdzie wszystko jest podobne, ale nie identyczne. Teraz już w to nie wierzyłem. Jego opowieść nabierała sensu.

– Wracając teraz do wyroku – kontynuował. – Był oparty na fałszywych zeznaniach, chociaż wtedy sąd nie mógł o tym wiedzieć. Kiedy to wszystko się stało, prawdziwy doktor Rand przebywał w Anglii, a kiedy później się z nim skontaktowałem, okazało się, że nigdy o tobie nie słyszał. Jednak podczas jego nieobecności ktoś się włamał do gabinetu. Nawiasem mówiąc, co jest dość ciekawe, drugie imię doktora nie zaczyna się na B. Nie słyszał też o Brandonie Coreyu.

– A co się stało z Brandonem?

– Po prostu zniknął. Kilkakrotnie próbowano go zawiadomić o twojej ucieczce, ale nie można go było znaleźć. Potem miałeś wypadek, przywieźli cię tutaj i pozszywali. Tymczasem zatelefonowała jakaś kobieta, przedstawiająca się jako Evelyn Flaumel, twoja siostra. Oświadczyła, że jesteś zwolniony warunkowo i że rodzina chce cię przenieść do Greenwood. Pod nieobecność Brandona, wyznaczonego na twojego opiekuna, zastosowano się do jej poleceń, jako jedyne go dostępnego

krewnego. I tak zostałeś odesłany. Uciekłeś znowu, kilka tygodni później. Na tym kończy się mój rejestr.

– A jak wygląda moja obecna sytuacja prawna? – spytałem.

– Jest w najlepszym porządku. Po rozmowie ze mną, doktor Rand zjawił się w sądzie i złożył wyjaśnienia. Wyrok został uchylony.

– Więc dlaczego lekarz traktował mnie jak czubka?

– O, rany! Nie przyszło mi to do głowy. Przecież. W ich kartotece nadał figurujesz jako pacjent szpitala psychiatrycznego. Pogadam z nim wychodząc. Mam przy sobie odpis wyroku. Mogę mu pokazać.

– Ile czasu minęło między ucieczką z Greenwood a wyjaśnieniem sprawy w sądzie?

– Prawie miesiąc. Dopiero po dwóch tygodniach przekonałem sam siebie, że powinienem być wścibski.

– Nie masz pojęcia, jaki jestem szczęśliwy, że się mną zająłeś – zapewniłem go. – Udzieliłeś mi kilku informacji, które okażą się pewnie niezwykle istotne.

– Przyjemnie jest czasem pomóc przyjacielowi – odpowiedział, zamykając teczkę i chowając ją w neseserze. – Jeszcze jedno... kiedy to wszystko się skończy... to, czym się teraz zajmujesz, i będziesz mógł o tym mówić, chciałbym poznać całą historię.

– Nie mogę ci tego obiecać.

– Wiem. Po prostu pomyślałem, że o tym wspomnę. Przy okazji, co chcesz zrobić z domem?

– Jest mój? Jestem jeszcze właścicielem?

– Tak, ale jeśli nic nie zrobisz, to w tym roku sprzedadzą go na zaległe podatki.

– Dziwię się, że jeszcze tego nie zrobili.

– Upoważniłeś bank do płacenia swoich należności.

– Zupełnie zapomniałem. Myślałem wtedy o stałych płatnościach i jakichś rachunkach. Takie drobiazgi.

– W każdym razie konto jest niemal puste – stwierdził. – Byłem u nich przedwczoraj i rozmawiałem z McNallym. Jeśli czegoś nie zdecydujesz, dom pójdzie na sprzedaż najdalej w przyszłym roku.

– Nie jest mi już potrzebny – oświadczyłem. – Mogą z nim zrobić, co zechcą.

– Więc może lepiej sam go sprzedaj. Dostaniesz przynajmniej trochę pieniędzy.

– Nie mam na to czasu.

– Zajmę się tym. Przekażę pieniądze, gdzie tylko zechcesz.

– No dobra – zdecydowałem. – Podpiszę, co będzie trzeba. Zapłać z tego mój rachunek za szpital, a resztę sobie zatrzymaj.

– Na to nie mogę się zgodzić.

Wzruszyłem ramionami.

– Więc zrób, co uznasz za stosowne, ale nie zapomnij pobrać solidnego honorarium.

– Wpłacę resztę na twoje konto.

– Jak chcesz. Dzięki. Przy okazji, zanim zapomnę, mógłbyś zajrzeć do szuflady w tej szafce i sprawdzić, czy nie ma tam talii kart? Nie bardzo mogę tam sięgnąć, a będą mi potrzebne.

Wysunął szufladę.

– Duża, brązowa koperta – oznajmił. – Dosyć wypchana. Pewnie wsadzili do niej wszystko, co miałeś w kieszeniach.

– Otwórz ją.

– Tak, jest tu talia kart – stwierdził, wsuwając dłoń do środka. – Ojej! Jaki piękny futerał! Mogę?

– No... – co mogłem powiedzieć.

Odsunął pokrywę.

– Wspaniałe – mruknął. – Chyba do tarota... Czy są zabytkowe?

– Tak.

– Zimne jak lód... Nigdy w życiu takich nie widziałem. O, to ty! Ubrany jak jakiś rycerz! Do czego służą?

– Do bardzo skomplikowanej gry.

– Skąd mógł się wziąć twój portret, jeśli są zabytkowe?

– Nie powiedziałem, że to ja. To ty powiedziałaś.

– A tak, rzeczywiście. Jakiś twój przodek?

– Coś w tym rodzaju.

– Znakomita babka! Ale ta ruda też świetna...

– Sądzę...

Złożył karty, wsunął je do futerału i podał mi.

– Jednorożec też bardzo piękny – dodał. – Nie powinienem ich oglądać, prawda?

– Nie ma sprawy.

Westchnął i oparł się wygodnie, splatając ręce za głową.

– Nie mogłem się powstrzymać – wyjaśnił. – Widzisz, Carl, jest w tobie coś tajemniczego, co nie wiąże się z tą tajną misją, jaką realizujesz. A tajemnice bardzo mnie intrygują. Nigdy dotąd nie znalazłem się tak blisko prawdziwej zagadki.

– Wszystko dlatego, że wpadła ci w rękę zimna talia kart do tarota?

– Nie, ona tylko dopełniła atmosfery – odparł. – Widzisz, twoje zajęcia przez te wszystkie lata to, oczywiście, nie mój interes, ale zdarzyło się coś, czego nie potrafię pojąć.

– Co takiego?

– Kiedy zostawiłem cię tutaj, a potem zawiozłem Alice do domu, wróciłem do ciebie w nadziei, że może znajdę jakieś ślady, śnieg przestał padać, choć wkrótce potem zaczął na nowo, więc twoje ślady były wyraźnie widoczne. Obchodziły dom dookoła i schodziły do szosy.

Przytaknąłem.

– Ale nie było śladów wejścia. Nic nie wskazywało, że wróciłeś. Nie było też śladów ucieczki napastnika.

Parsknąłem.

– Myślisz, że sam się poraniłem?

– Nie, oczywiście, że nie. Nie znalazłem zresztą żadnej broni. Poszedłem za śladami krwi do sypialni, aż do łóżka. Miałem tylko latarkę, ale zobaczyłem dość, żeby się poczuć trochę nieswojo. Wydawało się, że po prostu zjawiłeś się nagle na łóżku, potem wstałeś i wydostałeś się na zewnątrz.

– To, naturalnie, niemożliwe.

– Zastanawia mnie jednak brak śladów.

– Pewnie wiatr zasypał je śniegiem.

– A innych nie? – pokręcił głową. – Nie, nie przypuszczam. Zapamiętaj tylko, że to także mnie interesuje. Na wypadek, gdybyś zdecydował się kiedyś o wszystkim opowiedzieć.

– Będę pamiętał – obiecałem.

– Tak – mruknął. – Zastanawiam się jednak... Mam dziwne wrażenie, że mogę cię więcej nie zobaczyć. Jakbym był jedną z tych ubocznych postaci melodramatu, które znikają ze sceny i nie wiedzą nawet, jak wszystko się skończyło.

– Rozumiem twoje uczucia – zapewniłem. – Osobiście dostałem taką rolę, że mam czasem ochotę

udusić autora. Ale spójrz na to z innej strony: prawdziwe historie rzadko spełniają oczekiwania. Zwykle są to nieprzyjemne drobiazgi, a kiedy wszystko się wyjaśnia, pozostają tylko najbardziej przyziemne motywy. Hipotezy i iluzje to często lepszy towar.

– Mówisz to samo, co zawsze – uśmiechnął się Bill. – Ale pamiętam przypadki, gdy kusiła cię prawda. Wiele razy...

– Jak zdołałeś przejść od braku śladów do mojej osoby? – zdziwiłem się. – Właśnie miałem ci powiedzieć, że sobie przypominam, jak wszedłem do domu tą samą drogą, którą wyszedłem. I to pewnie zatarło wcześniejsze ślady.

– Nieźle – przyznał. – A twój napastnik też szedł tą samą trasą?

– Zapewne.

– Znakomicie – pochwalił. – Wiesz, jak budzić uzasadnione wątpliwości. Nadal jednak uważam, że większość dowodów sugeruje coś niesamowitego.

– Niesamowitego? Nie, raczej niezwykłego. To tylko kwestia interpretacji.

– Albo semantyki. Widziałeś policyjny raport z twojego wypadku?

– Nie. A ty?

– Uhm. A jeśli był on bardziej niż niezwykły? Przyznasz wtedy, że miałem rację używając słowa: "niesamowity"?

– Zgoda.

– ... I odpowiesz mi na jedno pytanie?

– Nie wiem...

– Prosta odpowiedź, tak lub nie. Nic więcej.

– No dobrze, umowa stoi. Czego się dowiedziałeś?

– Według raportu, otrzymali meldunek i wysłali radiowóz na miejsce wypadku. Spotkali tam dziwnie ubranego człowieka, który udzielał ci pierwszej pomocy. Oświadczył, że wyciągnął cię z wraku samochodu, który wpadł do jeziora. Chyba mówił prawdę, bo sam też ociekał wodą. Średniego wzrostu, szczupłej budowy, rudowłosa. Miał na sobie zielony kostium, który wyglądał, według słów jednego z policjantów, jakby pochodził z filmu o Robin Hoodzie. Odmówił podania nazwiska, pójścia na komisariat i złożenia jakichkolwiek zeznań. Kiedy nalegali, gwizdnął, a wtedy podbiegł truchtem biały koń. Facet wskoczył na siodło i odjechał. Więcej go nie widziano.

Wybuchnąłem śmiechem. To bolało, ale nie mogłem się powstrzymać.

– Niech mnie diabli! – wykrztusiłem. – Sprawy zaczynają nabierać sensu.

Bill przyglądał mi się ze zdumieniem.

– Naprawdę? – spytał niedowierzająco.

– Tak, chyba tak. Warto było dać się dźgnąć i wrócić tutaj po to, czego się dzisiaj dowiedziałem.

– Wymieniłeś te dwie sprawy w niezwykłym porządku – zauważył, pocierając dłonią podbródek.

– Tak, zgadza się. Ale zaczynam właśnie dostrzegać ten porządek tam, gdzie wcześniej go nie widziałem. Mimowolne wyznanie nie jest wysoką ceną.

– Wszystko z powodu tego faceta na białym koniu?

– Częściowo, częściowo... Bill, niedługo będę musiał wyjechać.

– Jeszcze przez dłuższy czas nigdzie nie pojedziesz.

– Wszystko jedno. Te papiery, o których mówiłeś... lepiej podpiszę je dzisiaj.

– Jak chcesz. Dostarczę je po południu. Ale nie chciałbym, żebyś zrobił coś nierozsądnego.

– Z każdą chwilą jestem bardziej ostrożny – zapewniłem go. – Możesz mi wierzyć.

– Mam nadzieję – westchnął. Zatrzasnął neseser i wstał. – Odpoczywaj teraz. Wyjaśnię, co trzeba, lekarzowi, a dokumenty podeślę ci jeszcze dzisiaj.



– Jeszcze raz: dzięki.

Uścisnąłem mu rękę.

– Przy okazji – zatrzymał się. – Zgodziłeś się odpowiedzieć na jedno pytanie.

– Obiecałem, to prawda. O co chodzi?

– Czy jesteś człowiekiem? – zapytał, wciąż ściskając mi dłoń, bez żadnego szczególnego wyrazu twarzy.

Spróbowałem się roześmiać, ale zrezygnowałem.

– Nie wiem. Ja... chciałbym w to wierzyć. Ale naprawdę... Oczywiście, że jestem! To głupie... Do diabła! Pytasz poważnie, prawda? Obiecałem, że odpowiem uczciwie... – przygryzłem wargę i zastanowiłem się. – Nie sądzę – powiedziałem w końcu.

– Ja też nie – oznajmił z uśmiechem. – Dla mnie to żadna różnica, ale pomyślałem, że może dla ciebie... kiedy się dowiesz, że ktoś wie, że jesteś inny, i wcale mu to nie przeszkadza.

– O tym także będę pamiętał.

– No cóż... Jeszcze się zobaczymy.

– Mam nadzieję.

# Rozdział 9

---

To było zaraz po tym, jak wyszedł policjant... Późne popołudnie. Leżałem sobie i czułem się coraz lepiej. I czułem się coraz lepiej z powodu, że czuję się lepiej.

Leżałem i myślałem o ryzyku związanym z życiem w Amberze. Brand i ja zostaliśmy zranieni ulubioną rodzinną bronią. Ciekawe, kto gorzej na tym wyszedł... Chyba on. Pchnięcie mogło sięgnąć nerki, a i tak był w nie najlepszym stanie.

Dwa razy zdążyłem niepewnym krokiem przejść przez pokój i z powrotem, nim zjawił się urzędnik z kancelarii Billa z dokumentami, które miałem podpisać. Musiałem się przekonać, na ile mnie stać. To zawsze może się przydać. Ponieważ moje rany goiły się kilka razy szybciej niż rany innych ludzi w tym cieniu, uznałem, że zdołam wstać i trochę pospacerować tak, jak oni po upływie doby, może dwóch. Stwierdziłem, że jest to możliwe, choć bolesne. Za pierwszym razem kręciło mi się w głowie, za drugim trochę mniej. To już było coś. Leżałem więc i czułem się coraz lepiej.

Z dziesięć razy tasowałem Atuty, stawiałem pasjanse, pośród znajomych twarzy odczytywałem wieloznaczne wróżby. I za każdym razem tłumiliem pragnienie, by wezwać Randoma, opowiedzieć mu, co się stało, zapytać o nowe fakty. Później, powtarzałem sobie. Każda dodatkowa godzina ich snu to dwie i pół godziny dla ciebie. Każde dwie i pół godziny dla ciebie odpowiada sześciu czy siedmiu dla tutejszych śmiertelników. Czekaj. Myśl. Regeneruj siły.

I zaraz po kolacji, gdy niebo pociemniało znowu, doznałem wstrząsu. Właśnie opowiedziałem młodemu, dobrze nakrochmalonemu przedstawicielowi policji stanowej wszystko, co miałem zamiar powiedzieć. Nie wiem, czy mi uwierzył, ale zachowywał się uprzejmie i nie został długo. Kilka chwil po jego wyjściu zaczęły się dziać różne rzeczy.

Leżąc tak i czując się coraz lepiej, czekałem na doktora Bailey'a, by wpadł sprawdzić, czy mogę już wstać. Leżałem i zestawiałem wszystko, co powiedział mi Bill, próbując połączyć to z faktami, które już znałem i których się domyśliłem...

Kontakt! Ktoś mnie wyprzedził. Ktoś w Amberze okazał się rannym ptaszkiem.

– Corwin!

To był Random, bardzo czymś podniecony.

– Corwin! Wstawaj! Otwórz! Brand odzyskał przytomność i pyta o ciebie!

– Czy stukales w drzwi, żeby mnie obudzić?

– Zgadza się.

– Jesteś sam?

– Tak.

– To dobrze. Nie ma mnie w środku. Połączyłeś się ze mną w Cieniu.

– Nie rozumiem.

– Ja też nie. Jestem ranny, ale wyjdę z tego. Później ci wszystko opowiem. Mów o Brandzie.

– Ocknął się parę minut temu. Powiedział Gerardowi, że natychmiast musi z tobą porozmawiać.

Gerard zadzwonił na służącego i posłał go do twojego pokoju. Kiedy służący nie mógł cię dobudzić, przyszedł do mnie, a ja odesłałem go z powrotem do Gerarda z wiadomością, że zaraz cię przyprowadzę.

– Rozumiem – przeciągnąłem się i spróbowałem usiąść. – Idź w jakieś miejsce, gdzie nikt cię nie zobaczy. Przejdę do ciebie. Będzie mi potrzebny jakiś szlafrok albo coś w tym rodzaju. Brakuje mi trochę ubrania.

– Najlepiej będzie, jeśli wrócę do siebie.

– Dobra. Ruszaj.

– Więc za minutę.

I cisza.

Ostrożnie poruszyłem nogami. Usiadłem na krawędzi łóżka. Zebrałem Atuty i schowałem je do futerału. Uznałem, że w Amberze należy jakoś ukryć moją ranę. Nawet w normalnych czasach nie rozgłasza się własnych słabości.

Odetchnąłem głęboko i wstałem, przytrzymując się ramy łóżka. Trening okazał się opłacalny. Zaczęłem oddychać normalnie i rozprostowałem palce. Całkiem nieźle, jeśli tylko będę chodził powoli i nie wysilał się ponad konieczne do zachowania pozory... Może zdołam pociągnąć to przedstawienie do chwili, gdy naprawdę powrócą mi siły. Wtedy właśnie usłyszałem kroki i w drzwiach stanęła miła pielęgniarzka, świeża, symetryczna, różniąca się od płatka śniegu głównie tym, że one wszystkie są do siebie podobne.

– Proszę wracać do łóżka, panie Corey! Nie wolno panu jeszcze wstawać!

– Madam – powiedziałem. – Jest absolutnie konieczne, bym wstał. Muszę wyjść.

– Mógł pan zadzwonić po basen – oświadczyła, wchodząc do pokoju i ruszając ku mnie.

Zniechęcony, pokręciłem głową, gdy raz jeszcze dotarła do mnie obecność Randoma. Ciekawe, jak ta dziewczyna będzie opowiadać o tym zdarzeniu... i czy wspomni o moim przyzmatycznym powidoku, gdy się wyatutuję. Kolejny punkt w spisie legend, jakie za sobą zostawiam.

– Spójrz na to z innej strony, moja droga – rzekłem. – Nasz związek był od samego początku czysto fizyczny. Przyjdą inne... wiele innych. Adieu!

Skłoniłem się, posłałem jej całusa i przeszedłem do Amberu, pozostawiając ją, by chwytiała tęczę, gdy ja złapałem Randoma za ramię i zachwiałem się.

– Corwin! Co u diabła...

– Jeśli krew jest ceną admirałskich szlifów, to właśnie zdałem egzamin przed Izbą Morską – odparłem. – Daj mi coś do ubrania.

Okrył mnie długim, ciężkim płaszczem. Z wysiłkiem zapiąłem klamrę pod szyją.

– Gotowe – oznajmiłem. – Prowadź mnie do niego. Wyprowadził mnie przez drzwi, na korytarz, do schodów. Opierałem się na nim całym ciężarem.

– Tak źle z tobą? – zapytał.

– To nóż – odparłem, kładąc dłoń na ranie. – Ktoś napadł na mnie nocą w moim pokoju.

– Kto?

– Na pewno nie ty, ponieważ właśnie się z tobą pożegnałem. A Gerard był na górze, w bibliotece, razem z Brandem. Odejmij was trzech od całej reszty i możesz zacząć zgadywać. To najprostsza droga do rozwiązania.

– Julian – oświadczył.

– Owszem, wyglądał na takiego brutala – przyznałem. – Wczoraj Fiona próbowała mi go wystawić, no i nie jest tajemnicą, że nie należy do moich faworytów.

– Corwinie, on zniknął. Wymknął się nocą. Służący, który przyszedł mnie obudzić, powiedział, że Julian wyjechał. Co można o tym sądzić?

Dotarliśmy do schodów. Jedną ręką trzymałem się Randoma, drugą poręczy. Na pierwszym podejściu zrobiliśmy przystanek i trochę odpocząłem.

– Sam nie wiem – powiedziałem. – Niedobrze jest przesadzać z domniemaniem niewinności, ale czasem jeszcze gorzej zupełnie je pominąć. Skoro uważał, że się mnie pozbył, to byłby chyba w lepszej sytuacji, gdyby zamiast uciekać, został tu i odgrywał zaskoczonego. To naprawdę wygląda

podejrzanie. Mam wrażenie, że wyjechał w obawie przed tym, co powie Brand, kiedy już dojdzie do siebie.

– Ale ty przeżyłeś, Corwinie. Wyrwałeś się temu, kto cię zaatakował, więc nie mógł być pewien, czy cię załatwił. Gdybym to ja próbował zamachu, w tej chwili znajdowałbym się o wiele światów stąd.

– Coś w tym jest – przyznałem. – Tak, może i masz rację. Zostawmy na razie ten akademicki problem. Nikt nie powinien wiedzieć, że jestem ranny.

– Jak sobie życzysz. Milczenie w Amberze jest lepsze niż karetka.

– Niby czemu?

– Jest złotem, mości książę, jak królewski poker.

– Twoja błyskotliwość uraża poranione i zdrowe części ciała, Randomie. Może wykorzystasz ją, by odkryć, w jaki sposób napastnik przedostał się do mojego pokoju.

– Przejściem?

– Blokuje się od wewnątrz i ostatnio nie zostawiam go otwartego. A w drzwiach jest nowy zamek. Skomplikowany.

– Więc dobrze. Wymyśliłem. Rozwiązanie wymaga, by był to ktoś z rodziny.

– Mów.

– Ktoś miał ochotę poprawić sobie samopoczucie i spróbować Wzorca, żeby cię zlikwidować. Zbiegł na dół, przeszedł, dokonał projekcji do twojego pokoju i zaatakował.

– Doskonały pomysł. Jedno się tylko nie zgadza. Wyszliśmy wszyscy mniej więcej w tym samym czasie. Napad zdarzył się już w chwilę później. Nastąpił natychmiast, gdy tylko wszedłem do sypialni. Nie wierzę, by ktoś zdążył zejść do komory, nie mówiąc już o pokonaniu Wzorca. Zamachowiec czekał na mnie. Zatem, jeśli to ktoś z nas, dostał się do środka innymi metodami.

– Więc otworzył zamek, razem z jego komplikacjami i całą resztą.

– Możliwe – przyznałem. Dotarliśmy do kolejnego podestu i nie zatrzymując się szliśmy dalej. – Odpoczniemy na zakręcie, żebym mógł wejść do biblioteki bez pomocy.

– Jasne.

Tak zrobiliśmy. Uspokoilem oddech, owinąłem się płaszczem, wyprostowałem ramiona, po czym podszedłem do drzwi i zastukałem.

– Chwileczkę!

Głos Gerarda. I kroki, zbliżające się do drzwi...

– Kto tam?

– Corwin – odpowiedziałem. – Jest ze mną Random.

Usłyszałem, jak woła:

– Randoma też wpuścić?

I ciche "nie" w odpowiedzi.

Drzwi otworzyły się.

– Tylko ty, Corwinie – oznajmił Gerard.

Przytaknąłem.

– Później – rzuciłem w stronę Randoma. Odpowiedział skinieniem i odszedł w stronę, z której przyszedliśmy.

Przekroczyłem próg biblioteki.

– Rozsuń płaszcz, Corwinie – polecił Gerard.

– To niepotrzebne – odezwał się Brand. Spojrzałem w jego stronę. Siedział wsparty o stos poduszek i pokazywał w uśmiechu żółte zęby.

– Przykro mi, ale nie jestem tak ufny jak Brand – oznajmił Gerard. – I nie chcę, żeby moja praca poszła na marne. Sprawdźmy.

– Powiedziałem, że to niepotrzebne – powtórzył Brand. – To nie on mnie zranił.

Gerard odwrócił się gwałtownie.

– Skąd wiesz, że to nie on? – zapytał.

– Bo wiem, kto to zrobił, oczywiście. Nie bądź durniem, Gerardzie. Nie wzywałbym go, gdybym miał powody się lękać.

– W chwili przeskoku byłeś nieprzytomny. Nie możesz wiedzieć.

– Jesteś tego pewien?

– No... to dlaczego mi nie powiedziałeś?

– Miałem swoje powody, i to poważne. Chcę teraz porozmawiać z Corwinem sam na sam, Gerard spuścił głowę.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz – mruknął i otworzył drzwi. – Będę w zasięgu głosu – dodał i zamknął je za sobą.

Podszedłem bliżej. Brand podniósł rękę, a ja uściśnąłem ją.

– Cieszę się, że udało ci się wrócić – oświadczył.

– I vice versa – odparłem. Przynaląłem sobie krzesło Gerarda i usiłowałem nie przewrócić się na nie.

– Jak się czujesz? – spytałem.

– Z jednej strony fatalnie. Z drugiej jednak lepiej, niż w ciągu ostatnich paru lat. Zależy od punktu widzenia.

– Jak wszystko.

– Oprócz Amberu.

– Zgadza się – westchnąłem. – Nie byłem precyzyjny. Co się z tobą stało, do diabła?

Wpatrywał się we mnie z uwagą. Obserwował moją twarz, szukał czegoś. Czego? Chyba wiedzy. Albo, dokładniej, ignorancji. Informacje negatywne są trudniejsze do znalezienia, więc musiał myśleć szybko, i to od chwili, gdy odzyskał przytomność. O ile go znałem, interesował się bardziej tym, czego nie wiem niż tym, co wiem. Nie miał zamiaru niczego mi mówić, jeśli tylko zdoła się wykręcić. Chciał ustalić to minimum informacji, jakim się musi podzielić, by uzyskać to, na czym mu zależy. Nie odda dobrowolnie ani bita więcej. Taki właśnie był i w oczywisty sposób czegoś chciał. Chyba że... W ostatnich latach bardziej niż kiedykolwiek przedtem starałem się przekonać samego siebie, że ludzie naprawdę mogą się zmieniać, że upływ czasu nie tylko podkreśla to, czym już się stali, ale że możliwe są zmiany jakościowe, wynikające z tego, czego dokonali, co zobaczyli, usłyszeli i odczuli. To przekonanie może przynieść pewne wytchnienie w takich czasach jak te, gdy nic się nie udaje. Że nie wspomnę o umacnianiu mojej doczesnej filozofii. A Brand ocalił mi chyba życie i pamięć, choć nie wiem, z jakich powodów.

Doskonałe. Postanowiłem tłumaczyć wątpliwości na jego korzyść, jednak bez odkrywania pleców. Niewielkie ustępstwo, ruch wbrew prostej psychologii nastrojów, rządzącej zwykle otwarciem naszych rozgrywek.

– Rzeczy nigdy nie są takie, jakimi się wydają, Corwinie – zaczął. – Twój dzisiejszy przyjaciel jutro stanie się wrogiem, a...

– Przestań – przerwałem mu. – Nadszedł czas wykładania kart na stół. Doceniam to, co zrobił dla mnie Brandon Corey, i to ja wpadłem na pomysł tej sztuczki, z której skorzystaliśmy, żeby cię znaleźć i ściągnąć z powrotem.

– Domyślałem się, że istniały ważne powody tego ponownego wybuchu braterskich uczuć, po tylu

latach.

– Mogę przypuszczać, że pomagając mi też miałeś jakieś ukryte motywy.

Uśmiechnął się, uniósł, a potem opuścił rękę.

– Zatem albo jesteśmy kwita, albo mamy w stosunku do siebie nawzajem dług wdzięczności, zależy, jak na to spojrzeć. Jak się wydaje, potrzebujemy siebie w tej chwili, lepiej więc, byśmy się oglądali w możliwie korzystnym świetle.

– Grasz na zwłokę, Brand. Próbujesz mnie wysondować. A także psujesz efekt mojego całodziennego utwierdzania się w idealizmie. Wyciągnąłeś mnie z łóżka, żeby mi coś powiedzieć. Nie krępuj się.

– Ten sam stary Corwin... – powiedział ze śmiechem. I nagle odwrócił wzrok. – Ale czy naprawdę? Zastanawiam się... Jak myślisz, zmieniły cię te lata w Cieniu? Gdy nie wiedziałeś, kim naprawdę jesteś? Gdy byłeś częścią czegoś innego?

– Może – stwierdziłem. – Nie wiem. Ale tak, chyba się zmieniłem. Na pewno jestem bardziej nerwowy w kwestiach polityki rodzinnej.

– Mówisz wprost, działasz otwarcie, jesteś szczery? W ten sposób tracisz połowę zabawy. Chociaż, taka nowość ma swoje zalety. Wytrącasz wszystkich z równowagi... cofasz się, gdy najmniej tego oczekują... Tak, to może być cenne. I odświeżające. No, dobrze. Nie obawiaj się. W tym miejscu kończą się rozmowy wstępne. Dokonaliśmy wymiany wszystkich koniecznych uprzejmości. Odsłonię podstawy, osiodłam bestię Nierozsądku i wyrwę spośród mętnych tajemnic najśłodsza perłę sensu. Ale najpierw jedno pytanie, jeśli pozwolisz. Czy nie masz przy sobie czegoś, co nadawałoby się do palenia? Minęło wiele lat i tęsknię za jakimś obrzydliwym zielskiem, by uczcić powrót do domu.

Już chciałem powiedzieć, że nie mam, ale byłem pewien, że zostawiłem na biurku jakieś papierosy. Nie miałem ochoty na wysiłek, ale...

– Chwileczkę. – Wstałem i przeszedłem przez salę starając się, by moje ruchy wydawały się swobodne, nie sztywne. Udałem, że to przypadkiem kładę rękę na blacie biurka, a nie opieram się na nim całym ciężarem, przeszukując leżące tam drobiazgi. Jak tylko mogłem, odwracałem się plecami i kryłem ruchy szerokim płaszczem.

Znalazłem pudełko i wróciłem, jak przyszedłem, zatrzymując się przy kominku, by zapalić dwa papierosy. Brand nie spieszył się z odebraniem ode mnie swojego.

– Chyba dłoń ci drży – zauważył. – Co się stało?

– Za ostra była ta wczorajsza impreza – wyjaśniłem, siadając na krześle.

– Nie pomyślałem o tym. Ale wyobrażam sobie, co się działo. Naturalnie. Wszyscy razem, w jednym pokoju... Nieoczekiwany sukces operacji sprowadzenia mnie do domu... Rozpaczliwy atak kogoś bardzo nerwowego i bardzo przestraszonego... I jego połowiczne zwycięstwo. Jestem ranny i unieruchomiony, ale na jak długo? Potem...

– Mówiłeś, że wiesz, kto to zrobił. Żartowałeś?

– A skąd.

– Więc kto?

– Wszystko w swoim czasie, drogi bracie. W swoim czasie. Kolejność i porządek, czas i napięcie – one są najważniejsze w tej historii. Pozwól mi w bezpiecznej retrospekcji smakować dramatyzm wydarzeń. Widzę siebie przebitego sztyletem i wszystkich zebranych wokół. Och, cóż bym dał, by być świadkiem tej sceny! Czy potrafiłbyś opisać mi wyraz każdej twarzy?

– Obawiam się, że twarze najmniej mnie wtedy interesowały.

Wypuścił kłęb dymu.

– Cudownie – westchnął. – Nie szkodzi, widzę niemal te twarze. Wiesz, że mam bujną wyobraźnię. Szok, zaskoczenie, zdumienie... zmieniające się wolno w podejrzliwość i strach. Potem wyszliście wszyscy, jak się dowiedziałem, a Gerard, czuła opiekunka, pozostał tutaj – umilkł, wpatrzony w dym. Na chwilę znikł z jego głosu ton ironii. – On jest jedyny przyzwoity między nami.

– I na mojej liście jest dość wysoko – zgodziłem się z nim.

– Zaopiekował się mną. I zawsze nas wszystkich pilnował – parsknął. – Sam szczerze mówiąc, nie wiem, czemu się przejmuję. Myślałem jednak, pobudzony przez twoje nie najlepsze samopoczucie, o tym, o czym przerwałeś opowieść, byśmy mogli omówić pewne sprawy. Musiała się odbyć jeszcze jedna impreza i żałuję, że nie byłem obecny. Wszystkie te emocje, podejrzlenia, kłamstwa odbijające się od siebie... i nikt nie chce powiedzieć "dobranoc" jako pierwszy. Po pewnym czasie sytuacja musiała być męcząca. Każdy zachowywał się wzorowo i pilnował okazji, by oczernić pozostałych. Próby zastraszenia winnego. Może kilka kamieni ciśniętych w kozły ofiarne. Ale, biorąc wszystko pod uwagę, niewiele naprawdę osiągnięto. Mam rację?

Kiwnąłem głową. Podziwiałem sposób działania jego mózgu. Nie miałem wyjścia; musiałem mu pozwolić się wygadać.

– Wiesz, że masz – przyznałem.

Spojrzał na mnie czujnie, po czym kontynuował.

– Ale każdy oddalił się w końcu, by leżeć bezsenne w udręce niepokoju, albo na spotkanie ze współnikiem, by knuć spiski. Noc była pełna sekretów. Pochlebia mi, że mój powrót do zdrowia zajmował wasze myśli. Naturalnie, część go chciała, a część wręcz przeciwnie. A w samym środku ja zbierałem siły... nie, rozkwitałem, nie chcąc rozczarować własnych kibiców. Gerard poświęcił sporo czasu, uzupełniając moje wiadomości o ostatnich wydarzeniach. Kiedy miałem już dosyć, posłałem po ciebie.

– Gdybyś przypadkiem nie zauważył, to już tu jestem. O czym chciałeś mi powiedzieć?

– Cierpliwości, bracie! Cierpliwości! Pomyśl o latach spędzonych w Cieniu, gdy nie pamiętałeś nawet o tym – zatoczył krąg dłonią, w której trzymał papierosa. – Pomyśl o czasie, gdy czekałeś, dopóki cię nie odnalazłem i nie spróbowałem ci pomóc. Z pewnością, prawem kontrastu, te kilka chwil przy mnie nie wyda ci się aż tak cenne.

– Powiedziano mi, że mnie szukałeś – oświadczyłem. – Zdziwiłem się, ponieważ, kiedy się rozstawaliśmy, nasze stosunki nie były najlepsze.

Pokiwał głową.

– Trudno zaprzeczyć – przyznał. – Ale takie konflikty zawsze w końcu mijają.

Parsknąłem.

– Myślałem, ile powinienem ci powiedzieć i w co potrafisz uwierzyć – mówił dalej. – Nie sędzę, byś przyjął za dobrą monetę moje oświadczenie, że poza kilkoma drobiazgami kieruję się wyłącznie motywami natury altruistycznej.

Parsknąłem znowu.

– Ale taka jest prawda. Aby rozwiać twoje podejrzlenia, dodam, że nie mam wielkiego wyboru. Początek jest zawsze trudny. Od czegokolwiek bym zaczął, coś było wcześniej. Długo cię nie było. Gdybym jednak miał wskazać konkretną rzecz, byłby nią tron. Właśnie. Powiedziałem to. Zastanawialiśmy się, jak go zdobyć. Wszystko zaczęło się zaraz po twoim zniknięciu i – w pewien sposób – zostało przez nie spowodowane.

Tato podejrzewał, że to Eryk cię zabił. Nie miał żadnych dowodów, ale pracowaliśmy nad tym. Wiesz, jakieś słówko tu czy tam, niezbyt często... Mijały lata, a ty wciąż byłeś nieosiągalny, żadnymi środkami. Twoja śmierć wydawała się coraz bardziej pewna. Eryk popadał w coraz większą

niełaskę. Wreszcie, pewnego wieczoru, w rezultacie dyskusji, która zaczęła się na jakiś całkiem neutralny temat – prawie wszyscy siedzieliśmy wtedy przy stole – tato oświadczył, że żadne bratobójstwo nie pomoże w zdobyciu tronu. Patrzył na Eryka. Wiesz, jak potrafi na kogoś spojrzeć. Eryk poczerwieniał jak słońce o zachodzie i przez dłuższą chwilę nie mógł przełknąć. Potem jednak tato pociągnął tę kwestię dalej, niż ktokolwiek się spodziewał czy pragnął. Żeby być z tobą szczerzy, nie wiem, czy mówił poważnie, czy chciał tylko dać ujście swym uczuciom. Ale stwierdził, że był już prawie zdecydowany, by wyznaczyć ciebie swoim następcą, więc każde nieszczęście, jakie mogło ci się przytrafić, traktuje jako osobistą zniewagę. Nie wspominałby o tym, gdyby nie był przekonany o twojej śmierci.

Zbudowaliśmy więc memoriał, by trwale upamiętnić tę konkluzję, i zadbaliśmy, aby nikt nie zapomniał stosunku taty do Eryka. Uznaliśmy, że po tobie właśnie Eryka trzeba obejść, by dotrzeć do tronu.

– My! Kim byli pozostali?

– Cierpliwości, Corwinie. Kolejność i porządek, czas i napięcie, akcent i emfaza... Słuchaj – wyjął drugiego papierosa, odpalił od niedopałka, machnął w powietrzu rozżarzoną końcówką. – Kolejny etap wymagał, byśmy pozbyli się taty z Amberu. Była to kluczowa i najbardziej ryzykowna część planu. W tym punkcie nasze poglądy zaczęły się różnić. Nie podobał mi się pomysł sojuszu z siłami, które nie w pełni rozumiałem, zwłaszcza takiego sojuszu, który dawał im pewną władzę nad nami. Wykorzystywanie cieni to jedna sprawa, ale pozwalanie im na wykorzystywanie siebie jest nierozsądne, niezależnie od okoliczności. Byłem przeciwny, ale większość zdecydowała inaczej – uśmiechnął się. – Dwa do jednego. Tak, było nas troje. Zaczęliśmy działać. Pułapka została zastawiona i tato chwycił przynętę...

– Czy jeszcze żyje? – przerwałem mu.

– Nie wiem – wyznał. – Wkrótce potem musiałem się zająć własnymi problemami. Jednak po zniknięciu taty następny ruch polegał na umocnieniu naszej pozycji i odczekaniu takiego czasu, by uznanie go za zmarłego było odpowiednio umotywowane. Potrzebowaliśmy tylko poparcia jednej osoby: Juliana albo Caine'a, wszystko jedno którego. Rozumiesz, Bleys wyruszył już w Cień i właśnie organizował silną armię...

– Bleys! Był jednym z was?

– Istotnie. Chcieliśmy osadzić go na tronie. Naturalnie z taką ilością powiązań, że byłby to de facto triumwirat. A więc, jak już mówiłem, wyruszył zbierać żołnierzy. Liczyliśmy na bezkrwawy przewrót, ale musieliśmy być przygotowani na wypadek, gdyby słowa nie zdołały zwyciężyć. Gdyby Julian stworzył nam przejście lądem lub Caine po falach, przetrucilibyśmy armię i w razie konieczności zbrojnie zapewnili sobie zwycięstwo. Niestety, wybrałem niewłaściwego człowieka. Według moich ocen, na polu korupcji Caine zdecydowanie przewyższał Juliana. Dlatego z należytą ostrożnością zacząłem go sondować. Z początku wydawał się chętny. Ale albo później zmienił zdanie, albo od samego początku umiejętnie mnie oszukiwał. Naturalnie, wolę wierzyć w tę pierwszą teorię. W każdym razie doszedł do wniosku, że więcej zyska popierając konkurencyjnego pretendenta. Czyli Eryka. Wprawdzie wobec nastawienia taty jego szanse nieco spadły, ale tato zniknął. Nasz plan dawał Erykowi możliwość wystąpienia w roli obrońcy tronu. Nieszczęśliwie dla nas, to stanowisko zbliżało go do samego tronu. By jeszcze bardziej zaciemnić sytuację, Julian poparł Caine'a i zaprzysiął wierność swych żołnierzy Erykowi jako obrońcy. W ten sposób powstało kolejne trio. Eryk złożył publiczną przysięgę, że będzie bronił tronu, i linie frontu zostały wykreślone. Moja pozycja była wówczas dość kłopotliwa. Samotnie znosiłem ich wrogość, ponieważ nie wiedzieli, kim są moi współnicy. Nie mogli mnie uwięzić ani torturować, gdyż wyatutowano by mnie



wprost z ich łap. A gdyby mnie zabili, wiedzieli, że narażają się na zemstę z niewiadomej strony. Przez pewien czas trwał stan remisji. Dopilnowali jednak, bym nie mógł działać przeciw nim bezpośrednio, i obserwowali mnie dokładnie. Powzięliśmy więc bardziej chytry plan. Znowu się nie zgodziłem i znowu przegrałem dwa do jednego. Postanowiliśmy wykorzystać te same siły, których użyliśmy, by pozbyć się taty. Tym razem w celu zdyskredytowania Eryka.

Gdyby zadanie ochrony Amberu, którego lekkomyślnie się podjął, okazało się zbyt trudne i gdyby wtedy Bleys pojawił się na scenie i odparł napastników, zyskałby ogólne poparcie, przyjmując na siebie rolę obrońcy. A po odpowiednio długim czasie przyjąłby także – z poczucia obowiązku i dla dobra Amberu – ofiarowany mu tron.

– Pytanie – przerwałem. – Co z Benedyktem? Wiem, że wyjechał i dąsał się w swoim Avalonie, ale gdyby coś naprawdę groziło Amberowi...

– To prawda – pokiwał głową. – Dlatego właśnie część naszego planu przewidywała stworzenie Benedyktowi serii własnych problemów.

Wspomniałem piekielne amazonki, które nękały Avalon Benedykta. Wspomniałem kikut jego prawego ramienia. Otworzyłem usta, by przemówić, lecz Brand uniósł dłoń.

– Pozwól mi skończyć tak, jak to zaplanowałem, Corwinie. Jestem świadomy twoich procesów myślowych, jak to określasz. Czuję ból w twoim boku, bliźniaczy z moim bólem. Tak, wiem to, i jeszcze o wiele więcej – jego oczy błyszczały dziwnie, gdy brał kolejnego papierosa, który sam się zapalił. Wciągnął w płuca dym i zaczął mówić, wypuszczając go ustami. – Po tej decyzji chciałem się wycofać. Uznałem, że wiąże się ze zbyt wielkim ryzykiem i zagraża samemu Amberowi. Wycofać się... – przez chwilę wpatrywał się w smugi dymu. – Sprawy zaszły zbyt daleko, bym mógł zwyczajnie wstać i wyjść. Musiałem wystąpić przeciwko nim, by bronić samego siebie, nie tylko Amberu. Było za późno, by przejść na stronę Eryka. Nie zgodziłby się mnie chronić, nawet gdyby mógł... zresztą, byłem pewien, że przegra.

Postanowiłem wtedy skorzystać z pewnych informacji, jakie znalazły się w moim posiadaniu. Często się zastanawiałem nad dziwnymi stosunkami Flory i Eryka na tym cieniu – Ziemi, który podobno tak lubił. Podejrzewałem, że nie bez powodu interesuje się tym miejscem i że ona może być jego agentką. Wprawdzie nie mogłem zbliżyć się do niego na tyle, by się czegoś dowiedzieć, lecz byłem pewien, że bez długiego śledztwa wykryję, o co chodzi Florze. Tak też się stało. Potem nagle tempo wydarzeń wzrosło. Moja grupa zaczęła się interesować moimi poczynaniami. Potem, kiedy cię znalazłem i elektrowstrząsami przywróciłem niektóre wspomnienia, Flora zawiadomiła Eryka, że dzieje się coś niedobrego. W rezultacie jedni i drudzy zaczęli mnie szukać. Zdecydowałem, że twój powrót rozbije wszelkie plany i wydostanie mnie ze ślepego zaułka na czas dostatecznie długi, bym zorganizował rozwiązanie alternatywne. Pretensje Eryka znów zeszyłyby na dalszy plan, ty miałbyś własnych stronników, manewr mojej grupy stałby się bezcelowy.

Zakładałem, że nie okazałbyś niewdzięczności za to, czego dla ciebie dokonałem. Wtedy jednak uciekłeś z Portera i sprawy skomplikowały się naprawdę. Wszyscy cię szukaliśmy, choć – jak się później dowiedziałem – z najróżniejszych powodów. Jednak moi dawni współpracownicy dysponowali pewną przewagą: dowiedzieli się, co się dzieje, zlokalizowali cię i dotarli na miejsce jako pierwsi. Istniał bardzo prosty sposób zachowania status quo. Bleys oddał te strzały, dzięki którym znalazłeś się razem z samochodem w jeziorze. Zjawiłem się tam dokładnie wtedy, gdy to nastąpiło. On zniknął niemal natychmiast, uznając pewnie, że zakończył sprawę ostatecznie. Wyciągnąłem cię i stwierdziłem, że jest w tobie jeszcze dość życia, by próbować ratunku. Czuję się wtedy dość niepewnie, gdyż nie wiedziałem, czy leczenie przyniosło jakieś efekty i czy ockniesz się jako Corwin, czy Corey...

Potem zresztą też mnie to męczyło... Kiedy zjawiała się pomoc, ruszyłem w piekielny rajd. Wspólnicy dopadli mnie jakiś czas później i umieścili tam, gdzie mnie znalazłeś. Znasz dalszy ciąg?

– Nie wszystko.

– Więc przerwij, kiedy zacznę mówić o tym, co już wiesz. Sam dowiedziałem się o wszystkim dużo później. Grupa Eryka przeniosła cię do prywatnej kliniki, gdzie mogli cię objąć ochroną. Żeby się zabezpieczyć, trzymali cię na proszkach nasennych.

– Czemu Eryk miałby mnie chronić? Zwłaszcza że moja obecność mogła pokrzyżować jego plany?

– Już siedmioro z nas wiedziało, że żyjesz. To zbyt wiele. Było za późno, by zrobić to, na co miałby ochotę. Wciąż usiłował sprawić, by zapomniano o słowach taty.

Gdyby coś ci się przytrafiło, gdy byłeś już w jego władzy, straciłby szansę na objęcie tronu. Gdyby Benedykt o tym usłyszał albo Gerard... Nie, nic nie mógł zrobić. Potem, tak. Przedtem, nie. Jednak powszechna wiedza o twoim przetrwaniu przyspieszyła koronację i zmusiła, by cię unieruchomić aż do jej terminu.

Przedwcześnie posunięcie, ale chyba nie miał wyboru. Przypuszczam, że wiesz, co się zdarzyło potem, gdyż zdarzyło się właśnie tobie.

– Dołączyłem do Bleysa w chwili, gdy ruszał do akcji. Niezbyt szczęśliwie.

Wzruszył ramionami.

– Mogło być inaczej... gdybyście zwyciężyli i gdybyś poradził sobie jakoś z Bleyssem. Chociaż, szczerze mówiąc, nie miałeś szans. Wprawdzie od tego momentu niezbyt pojmuję ich motywacje, ale uważam, że atak Bleysa był tylko rodzajem pozoracji.

– Po co?

– Nie wiem. Ale pozycja Eryka była wtedy dokładnie taka, jaką zaplanowali. Atak nie był właściwie potrzebny. Potrząsnąłem głową. Za dużo i za szybko... Wiele faktów robiło wrażenie prawdziwych, gdyby pominąć uprzedzenia narratora.

– Sam nie wiem... – zacząłem.

– To oczywiste – stwierdził. – Ale wytłumaczę ci, jeśli zapytasz.

– Kto był trzecim członkiem waszej grupy?

– Ta sama osoba, która próbowała mnie zabić. Spróbujesz zgadnąć?

– Powiedz.

– Fiona. To wszystko było jej pomysłem.

– Dlaczego nie powiedziałeś od razu?

– Bo wtedy nie usiedziałbyś spokojnie i nie wysłuchał tego, co miałem do powiedzenia. Pobieglbyś, by ją schwytać, odkrył, że zniknęła, obudził wszystkich, zaczął śledztwo i zmarnował mnóstwo cennego czasu. Nadal możesz to zrobić, ale przynajmniej słuchałeś uważnie przez czas wystarczający, by cię przekonać, że wiem, o czym mówię. Kiedy teraz oznajmię, że czas jest decydujący i że musisz mnie wysłuchać do końca jak najszybciej, jeśli Amber ma mieć jakąkolwiek szansę, może zechcesz słuchać, zamiast ścigać tę zwariowaną paniusię.

Zdażyłem już zerwać się z krzesła.

– Nie powinienem jej gonić? – spytałem.

– Do diabła z nią. Masz poważniejsze problemy. Lepiej usiądź.

Tak też zrobiłem.

# Rozdział 10

---

Tratwa księżycowych promieni... widmowe światło, niby ognie na czarno-białych filmach... gwiazdy... kilka delikatnych pasemek mgły...

Wsparty o poręcz spoglądałem ponad światem... Absolutna cisza pochłonęła noc, pogrążone w śnie miasto cały wszechświat, poczynając ode mnie, po wszystkie odległe miejsca, Amber, Arden, Garnath, latarnię morską na Cabrze, Gaj Jednorożca, mój grobowiec na szczycie Kolviru... Nieruchome, dalekie, a przecież wyraźnie widoczne... Spojrzenie oczu boga, albo może duszy puszczanej na wolność i szybującej wysoko... Pośród nocy...

Przybyłem do miejsca, gdzie duchy bawią się w duchy, gdzie wróżby, znaki, zapowiedzi i ożywione pragnienia spacerują po nocnych alejach i wysokich salach pałacu Amberu na niebie, Tir-na Nog'th...

Odwracając się plecami do poręczy i pozostałości dziennego świata, podziwiałem ulice i mroczne tarasy, pałace władców i domki ubogich... Księżyc w Tir-na Nog'th świeci mocno, srebrząc dachy wymarzonych miejsc... Z kijem w ręku szedłem przed siebie, a upiory poruszały się wokół, wyglądały z okien, stawały na balkonach, tarasach, w bramach... Mijałem je niewidoczny, gdyż w istocie to ja byłem tutaj duchem dla ich substancji... Cisza i srebro... Tylko przytłumiony stuk mego kija... Więcej mgły, sunącej ku sercu... I pałac, niby zamglone ognisko... Rosa, jak krople rtęci na wypolerowanych płatkach i łodygach kwiatów w ogrodach obok promenady... Sunący po niebie księżyc bardziej razi oczy niż słońce w południe, swym blaskiem przyćmiewa gwiazdy... Srebro i cisza... Lśnienie...

Nie planowałem przyjscia, gdyż wróżby tego miejsca – jeśli są nimi – bywają oszukańcze, a jego podobieństwo do miejsc i zdarzeń na dole budzi niepokój. Przybyłem jednak... To część mojego targu z czasem... Kiedy pozostawiłem Branda, by pod opieką Gerarda wracał do zdrowia, pojąłem, że sam muszę odpocząć, w dodatku tak, by nie zdradzić swej słabości. Fiona rzeczywiście uciekła i ani z nią, ani z Julianem nie udało się nawiązać kontaktu poprzez Atuty. Gdybym powtórzył Benedyktowi i Gerardowi, co powiedział mi Brand, nalegaliby z pewnością, by ich ścigać. I z równą pewnością ich wysiłki spełzłyby na niczym.

Posłałem po Randoma i Ganelona, po czym zamknąłem się w swoich pokojach informując, że zamierzam spędzić dzień na wypoczynku i rozmyślaniach by się przygotować do nocy w Tir-na Nog'th – rozsądny plan każdego Amberyty, mającego poważne problemy. Nie przywiązywałem większej wagi do takich praktyk, ale większość pozostałych traktowała je poważnie. A że chwila była jak najbardziej odpowiednia dla takiej decyzji, mój całodzienny odpoczynek wydał się czymś całkiem naturalnym. Oczywiście, zobowiązywał, by nocą zrealizować ten plan. Ale to mi nie przeszkadzało – zyskiwałem dzień, noc i część następnego dnia, by podleczyć ranę. Czułem, że dobrze wykorzystam ten czas.

Musiałem się jednak komuś zwierzyć. Powiedziałem Randomowi i powiedziałem Ganelonowi. Leżąc w łóżku, streściłem im plany Branda, Fiony i Bleysa, a także zespołu Eryk-Julian-Caine. Powtórzyłem, co mówił Brand na temat mojego powrotu i swojego uwięzienia przez współspiskowców. Pojęli, dlaczego pozostali przy życiu przedstawiciele obu frakcji, czyli Fiona i Julian, zniknęli: zamierzali zebrać siły, może po to, by wystąpić przeciw sobie, ale raczej nie. W każdym razie nie zaraz. Bardziej prawdopodobne, że jedno lub drugie spróbuje najpierw zdobyć Amber.

– Będą musieli wziąć numerki i czekać na swoją kolejkę, tak jak wszyscy – stwierdził Random.

– Niezupełnie – odpowiedziałem mu. – Sprzymierzeńcy Fiony i potwory nadszarpnięte czarną drogą to ta sama ekipa.

– A Krąg w Lorraine? – spytał Ganelon.

– Ci sami. Tak właśnie manifestowali się w tamtym cieniu. Przebyli wielką odległość.

– Wszędzie pełno tych drani – mruknął Random.

Kiwając głową usiłowałem mu to wyjaśnić.

... I tak przybyłem do Tir-na Nog'th. Kiedy wzeszedł księżyc i widmowy wizerunek Amberu pojawił się na niebie, z prześwitującymi przez niego gwiazdami i maleńkimi punkcikami poruszającymi się na murach, czekałem. Czekałem z Randomem i Ganelonem, czekałem na szczycie Kolviru, gdzie w skale wyciosano z grubsza trzy stopnie...

Gdy dotknął ich promień księżycy, zaczął się kształtować zarys całych schodów, przerzuconych nad otchłanią, aż do punktu ponad falami morza, gdzie tkwił obraz miasta. Światło księżycy padło na nie pełnym blaskiem i schody nabrały takiego pozoru materialności, jakiego można było oczekiwać. Postawiłem stopę na kamieniu... Random miał ze sobą pełną talię Atutów, a ja także trzymałem swoją w kieszeni kurtki. Grayswandir, wykuty na tym właśnie kamieniu przy księżycu, zachowywał swą moc w mieście na niebie. Dlatego zabrałem swój miecz. Wypoczywałem cały dzień, a teraz wspierałem się na kij. Iluzja odległości i czasu... Stopnie, biegnące poprzez ignorujące Corwina niebo, poruszają się jakoś, gdyż wspinaczka po nich, kiedy już się rozpocznie, nie jest zwykłym postępowaniem arytmetycznym.

Byłem tutaj, byłem tam, byłem w jednej czwartej drogi zanim jeszcze moje ramię zapomniało uścisk dłoni Ganelona... Kiedy przyglądałem się uważnie któremukolwiek ze stopni, tracił swą nieprzejrzyistość i, niby przez półprzezroczyste szkło, widziałem pod nim ocean...

Straciłem poczucie czasu, choć potem zawsze wydaje się, że nie upłynęło go wiele... Tak głęboko pod wodą, jak wkrótce miałem się znaleźć ponad nią, niewyraźny i połyskliwy, pojawił się kształt Rebmy wśród morskich fal. Pomyślałem o Moire i o tym, co się z nią dzieje. Co by się stało z naszą głębinową siostrą, gdyby Amber upadł? Czy jego odbicie pozostałoby nie naruszone w swoim zwierciadle? Czy żetony i kości zostałyby pochwycone i ciśnięte w podwodnych kanionach kasyna, nad którymi pływa nasza flota? Chciwie ofiar, corwinożerne wody nie dały żadnej odpowiedzi, choć poczułem nagłe ukłucie w boku.

U szczytu schodów wkroczyłem do widmowego miasta, jak ktoś mógłby wejść do Amberu, wspiawszy się na stopnie, wiodące po zwróconej ku morzu ścianie Kolviru.

Oparłem się o poręcz i spojrzałem na świat. Czarna droga biegła na południe. Nocą nie mogłem jej dostrzec. Zresztą, nie miało to znaczenia. Wiedziałem już, dokąd zmierza. A raczej Brand mi powiedział, dokąd zmierza. A że wykorzystał już chyba wszystkie możliwe powody kłamstw, uznałem, że naprawdę wiem, dokąd prowadzi.

Od początku do końca.

Z blasku Amberu, z potęgi i porządku przyległych cieni, poprzez coraz ciemniejsze warstwy obrazu, które otaczają nas ze wszystkich stron, poprzez skrócone krajobrazy i jeszcze dalej, poprzez miejsca widziane tylko w pijackich majaczeniach, gorączce i koszmarnych snach... i dalej, poza miejsce, gdzie się zatrzymuję... Gdzie ja się zatrzymuję...

Jak wytłumaczyć prosto coś, co wcale nie jest proste?

Trzeba chyba zacząć od solipsyzmu – idei, że nie istnieje nic prócz mnie, a przynajmniej że niczego nie możemy być w pełni świadomi, prócz własnego istnienia i postrzegania. Potrafię odnaleźć w Cieniu wszystko, co zdołam sobie wyobrazić. Każde z nas to potrafi. Ale to nie wykracza

poza granice ego. Można się spierać, i w istocie większość z nas tego próbuje, że sami stwarzamy cienie, które odwiedzamy, konstruujemy je z budulca naszej psyche, że tylko my istniejemy naprawdę, że światy, w które wkraczamy, są jedynie projekcją naszych pragnień.

Nie wiem, czy te teorie odpowiadają prawdzie, ale w dużej mierze wyjaśniają nasz stosunek do ludzi, miejsc i przedmiotów poza Amberem. Dokładniej: jesteśmy stwórcami, a oni to nasze zabawki, czasem niebezpiecznie aktywne, to prawda, ale to także stanowi część gry.

Jesteśmy z temperamentu impresariami i siebie także traktujemy odpowiednio. Wprawdzie solipsyzm sprawia pewne kłopoty, gdy stawia się pytania natury etiologicznej, ale łatwo można uniknąć tych problemów zaprzeczając ważności pytań. Często obserwuję, że większość z nas prowadzi swoje sprawy w sposób całkowicie pragmatyczny. Prawie...

Jednak... jednak w całym tym obrazie istnieje pewien niepokojący element. Są miejsca, gdzie cienie szaleją...

Jeśli ktoś świadomie przeciska się przez kolejne warstwy Cienia, na każdym etapie rezygnując – znowu świadomie – z części zrozumienia, dochodzi wreszcie do punktu, poza który nie może się posunąć. Po co to robić? Choćby szukając nowych doświadczeń albo nowej gry... Ale kiedy ten ktoś już się tam znajdzie, jak zdarzyło się to nam wszystkim, pojmuję, że dotarł do granicy Cienia albo do granic samego siebie – zawsze uważaliśmy, że to synonimy. Teraz jednak...

Teraz wiem, że tak nie jest; teraz, gdy stoję i czekam u Dworców Chaosu mówiąc ci, jak to było, wiem, że tak nie jest. Wiedziałem jednak już wtedy, tamtej nocy w Tir-na Nog'th, wiedziałem wcześniej, gdy walczyłem z koziołowym w Czarnym Kręgu Lorraine, wiedziałem owego dnia w latarni morskiej Cabry, po ucieczce z lochów Amberu, gdy spojrzałem na zniszczoną dolinę Garnath... Wiedziałem, że jest coś więcej, że czarna droga biegnie poza ten punkt. Prowadziła poprzez szaleństwo w chaos i wiodła dalej. Stwory, jakie nią podążały, przybywały skądś, ale nie były moim dziełem. Pomogłem im odnaleźć przejście, ale nie pochodziły z mojej wersji rzeczywistości. Należały do siebie, a może do kogoś innego – to nieważne – i wybijały dziury w małej metafizyce, którą tworzyliśmy sobie przez wieki. Wkroczyły do naszego rezerwatu, były w nim obce i zagrażały mu. Zagrażały nam. Fiona i Brand sięgnęli poza wszystko i znaleźli coś tam, gdzie nikt nie wierzył, by cokolwiek istniało. Groźba, jaką uwolnili była – na pewnym poziomie – niemalże warta otrzymanych dowodów: nie byliśmy samotni, a cienie nie były zabawkami w naszych rękach. I jakkolwiek odnosilibyśmy się do Cienia, już nigdy nie mogłem patrzeć na niego w dawnym świetle...

Wszystko dlatego, że czarna droga wiodła na południe i biegła poza kraniec świata, na którym musiałem się zatrzymać.

Cisza i srebro... Odchodzę od poręczy, wsparty na kiju, poprzez okrytą mgłami, osnutą blaskiem materię niepokojącego miasta... Duchy... Cienie cieni... Obrazy prawdopodobieństwa.... Możliwości spełnione i nie spełnione... Możliwości utracone... i odzyskane...

Przejście przez promenadę... Postacie, twarze, wiele znajomych... O co im chodzi? Trudno powiedzieć... Niektóre wargi się poruszają, niektóre oblicza wykazują ożywienie. Nie mają dla mnie słów. Przechodzę między nimi nie zauważony.

Tam... Jedna z tych postaci... Samotna, lecz wyczekująca... Palce rozplątują minuty, odrzucając je w przestrzeń... Twarz odwrócona, a chciałbym ją zobaczyć – to znak, że zobaczę lub że powinienem... Siedzi na kamiennej ławie pod sękatym pnem... Spogląda w stronę pałacu... Jej sylwetka wydaje się znajoma... Zbliżam się i widzę, że to Lorraine... Nadal wpatruje się w punkt daleko za moimi plecami; nie słyszy, gdy mówię, że pomściłem jej śmierć.

Mam jednak moc, by być tu usłyszonym... Tkwi w pochwie u mego boku.

Dobrym Grayswandira, wznoszę go nad głową, gdzie blask księżycy zdaje się ożywiać wyryte

wzory. Wbijam go w ziemię między nami.

– Corwinie!

Ogląda się gwałtownie, a jej włosy lśnią czerwienią w blasku księżyca. Jest zdziwiona.

– Z której strony nadszedłeś? Nie spodziewałam się ciebie tak wcześnie.

– Czekając na mnie?

– Oczywiście. Tak, jak mi kazałeś.

– Jak się tu znalazłaś?

– Na tej ławie...?

– W tym mieście.

– W Amberze? Nie rozumiem. Sam mnie przywiozłeś. Ja...

– Jesteś tu szczęśliwa?

– Wiesz, że tak, póki jesteś ze mną.

Nie zapomniałem jej równych zębów, śladu piegów pod jasną woalką skóry...

– Co się stało? To bardzo ważne. Przyjmij na chwilę, że nie wiem, i opowiedz o wszystkim, co się zdarzyło po bitwie w Czarnym Kręgu, Lorraine.

Zmarszczyła czoło. Wstała. Odwróciła się.

– Pokłóciliśmy się – powiedziała. – Pojechałeś za mną, przepędziłeś Melkina i rozmawialiśmy. Zrozumiałam, że nie miałam racji, i wróciłam z tobą do Avalonu. Tam twój brat, Benedykt, przekonał cię, byś nawiązał kontakt z Erykiem. Nie dałeś się udobruchać, ale coś ci powiedział i zgodziłeś się na zawieszenie broni. Przysiągł, że nie zrobi ci krzywdy, a ty przysiągłeś bronić Amberu. Benedykt był waszym świadkiem. Pozostaliśmy w Avalonie, póki nie otrzymałeś jakichś chemikaliów, a potem ruszyliśmy w jakieś dziwne miejsca, gdzie odebrałeś niezwykłą broń. Wygraliśmy bitwę, ale Eryk leży teraz, ranny – spojrzała na mnie uważnie. – Chcesz zerwać to zawieszenie broni? O to chodzi, Corwinie?

Pokręciłem głową i choć wiedziałem, że to nierozsądne, wyciągnąłem rękę, by ją objąć. Chciałem mieć ją przy sobie, mimo że jedno z nas nie istniało, nie mogło istnieć; a kiedy wąska przestrzeń między naszymi ciałami zostanie przekroczona, powiedziec jej, że cokolwiek się zdarzyło lub zdarzy...

Wstrząs nie był zbyt silny, jednak straciłem równowagę. Leżałem na Grayswandirze, a mój kij potoczył się na bok. Podnosząc się na kolana widziałem, jak kolor znika z jej twarzy, jej oczu, jej włosów. Wargi poruszały się wypowiadając widmowe słowa. Rozglądała się. Wsunąłem Grayswandira do pochwy, chwyciłem kij i wstałem. Spojrzenie Lorraine przeniknęło przeze mnie, uśmiech rozjaśnił jej twarz. Postąpiła o krok. Odsunąłem się i patrzyłem, jak podbiega do mężczyzny, który właśnie się zbliżył, jak pada mu w ramiona. Dostrzegłem jego twarz, gdy pochylał się do pocałunku... szczęściarz z tego upiora, ze srebrną różą u szyi... całował ją, ten człowiek, którego nigdy nie poznam... srebro wśród ciszy i srebro...

Odchodzę, nie oglądając się... Idę promenadą...

Głos Randoma:

– Corwinie, wszystko w porządku?

– Tak.

– Znalazłeś coś ciekawego?

– Później, Randomie.

– Przepraszam.

I nagle lśniące stopnie przed terenem pałacu... W góry i na prawo... Teraz powoli i spokojnie, do ogrodu.. Widmowe kwiaty pulsują wokół, widmowe krzewy wypuszczają pąki podobne do

zamrożonych fajerwerków... Naskikowane tylko, stopniami intensywności blasku przyciągają wzrok. Tylko szkice mogą tu istnieć. Czy Tir-na Nog'th jest specyficzną sferą Cienia w rzeczywistym świecie, poruszaną impulsami id! Pełnowymiarowym testem skojarzeniowym na niebie, może nawet systemem terapeutycznym? Jeśli to fragment duszy, to mimo blasku srebra noc jest bardzo ciemna... I cicha...

Idę... Mijam fontanny, ławeczki, gaje, małe altany ukryte w labiryntach żywopłotu... Mijam alejki, czasem kilka schodków, przekraczam mostki... Przechodzę obok stawów, wśród drzew, starych rzeźb, z rzadka jakiegoś głazu, zegara słonecznego (czy tutaj nazywa się: księżycowy?

Kieruję się na prawo, po pewnym czasie okrążam północne skrzydło pałacu, skręcam w lewo, na dziedziniec, nad którym zwieszają się balkony. Na nich kolejne widma, a ponad nimi, za nimi, we wnętrzu...

Przechodzę na tyły, tylko po to, by obejrzeć znowu tę część ogrodu, gdyż jest piękna pod normalnym księżycem w prawdziwym Amberze.

Kilka postaci... Stoją, rozmawiają... Oprócz mnie nic się tu nic porusza.

I czuję, że coś mnie ciągnie w prawo. Nie należy odrzucać darmowych przepowiedni, więc idę. Ku gąszczom wysokiego żywopłotu i niewielkiej polance wewnątrz, jeśli jeszcze nie zarosła... Dawno temu było tam...

Dwie postacie przytulone do siebie. Odstępują w chwili, gdy zaczynam się odwracać. Nie moja sprawa, ale... Deirdre... Jedną z nich jest Deirdre... Wiem, kim będzie mężczyzna, zanim się jeszcze obejrzy. To okrutny żart owych sił, które rządzą tym srebrem i tą ciszą... W tył, w tył, dalej od tego żywopłotu... Biegnę, potykam się, wstaję, idę dalej, szybko...

Głos Randoma:

– Corwinie! Nic ci się nie stało?

– Później, do diabła! Później!

– Wschód słońca już niedługo, Corwinie. Pomyślałem, że ci przypomnę...

– Uznaj, że przypomniałeś.

Szybciej... Czas także jest snem w Tir-na Nog'th. Niewielka to pociecha, lecz lepsza niż żadna. Szybko, dalej, dalej...

Do pałacu, jasnej konstrukcji umysłu albo ducha, wznoszącej się wyraźniej niż w realnym świecie... Osądzać perfekcję, to jak wydawać werdykt bez wartości, muszę jednak zobaczyć, co się dzieje wewnątrz... To pewnie ostatni etap podróży, gdyż popycha mnie tam jakaś siła. Nie zatrzymałem się, by podnieść swój kij z miejsca, w którym raz jeszcze upadłem wśród migotliwych traw. Wiem, gdzie muszę iść, co robić. Teraz to oczywiste, choć kierująca mną logika nie jest logiką czuwającego umysłu.

Przyspieszam, wspinam się ku tylnej bramie... Znowu ukłucie w boku... Przez próg, do wnętrza... W nieobecność światła gwiazd i księżyca. Bezkierunkowa iluminacja zdaje się płynąć bez celu i gromadzić w kałuże. Jeśli pominie jakieś miejsce, cienie stają się nieprzeniknione, okrywając fragmenty komnat, korytarzy, komórek i schodów.

Między nimi, poprzez nie, niemal biegiem... Monochromy mego domu... Ogarnia mnie lęk... Czarne plamy wyglądają jak dziury wybite w rzeczywistości... Boję się podchodzić zbyt blisko, zapaść się i zatracić...

Obrót... Przejście... Wreszcie... Wkraczam... Sala tronowa... Beczki mroku ustawione tam, gdzie biegłyby linie mego wzroku, gdybym patrzył na tron...

Dostrzegam jednak jakiś ruch. I zawirowanie po prawej stronie, gdy idę naprzód. Wraz z zawirowaniem, unosi się zasłona.

W polu widzenia pojawiają się buty na nogach; prac naprzód zbliżam się do centrum.

Grayswandir wskazuje mi do ręki, znajduje drogę do plamy światła, wzmacnia jej zwodniczy, zmiennokształtny blask, zyskuje własne lśnienie...

Stawiam lewą stopę na pierwszym stopniu, opieram lewą dłoń na kolanie. Ból mojej rany rozprasza, ale da się wytrzymać. Czekam, aż czerń i pustka uniosą się, jak kurtyna teatru, w którym tej nocy mam wystąpić. Odsuwa się w bok, odsłaniając rękę, ramię i lśniący, metaliczny przedmiot, o ściankach jak szlif klejnotu, niesamowity splot srebrnych kabli nakrapianych punktami ognia w miejscu nadgarstka i łokcia – to dłoń, stylizowana, szkieletowa, jak szwajcarska zabawka, mechaniczny owad, funkcjonalny i śmiertelnie groźny, piękny na swój sposób...

Kurtyna odsuwa się, odsłaniając resztę ciała mężczyzny... Benedykt stoi swobodnie obok tronu, opierając o niego swoją lewą, ludzką, dłoń. Pochyla się. Jego wargi się poruszają.

Kurtyna odsuwa się dalej, ukazując siedzącą na tronie...

– Dara!

Zwrócona w prawo uśmiecha się do Benedykta, kiwa głową, mówi coś. Podchodzę bliżej i wysuwam Grayswandira, aż jego ostrze wspiera się lekko o wgłębienie pod jej mostkiem...

Wolno, bardzo wolno odwraca głowę i patrzy mi w oczy. Nabiera barw i życia. Wargi poruszają się znowu, ale tym razem słowa docierają do mych uszu.

– Czym jesteś?

– Nie. To moje pytanie. Odpowiedz. Już.

– Jestem Dara, Dara z Amberu. Królowa Dara.

Zasiadam na tym tronie prawem krwi i zwycięzcy. Kim jesteś?

– Corwin. Także z Amberu. Nie ruszaj się! Nie pytałem, kim jesteś...

– Corwin nie żyje od wielu stuleci. Widziałam jego grób.

– Pusty.

– Nieprawda. Wewnątrz spoczywa jego ciało.

– Podaj swój rodowód!

Patrzy na prawo, gdzie wciąż stoi cień Benedykta. Klinga błyszczy w jego nowej dłoni, zdaje się niemal jej przedłużeniem, choć trzyma ją swobodnie, jakby od niechcenia. Lewa dłoń spoczywa teraz na ramieniu Dary. Jego wzrok szuka mnie za ręką Grayswandira. Bez skutku. Spogląda więc na to, co może zobaczyć: na ostrze. Rozpoznaje je...

– Jestem prawnuczką Benedykta i diablicy Lintry, którą kochał i którą potem zabił – Benedykt krzywi się boleśnie, lecz Dara mówi dalej. – Nie znałam jej. Moja matka i matka mojej matki przyszły na świat w miejscu, gdzie czas płynie inaczej niż w Amberze. Jestem pierwszą z rodu, która posiada wszystkie atrybuty człowieczeństwa. A ty, książę Corwinie, jesteś tylko upiorem dawno minionej przeszłości. Niebezpiecznym upiorem. Nie wiem, skąd się tu wzięłeś, ale popełniłeś błąd. Wracaj do swego grobu. Nie zakłócaj spokoju żyjących.

Moja dłoń drży lekko. Grayswandir odsuwa się najwyżej na centymetr, ale to wystarcza. Pchnięcie Benedykta następuje poniżej mego progu percepcji. Jego nowe ramię przesuwa nową dłoń trzymającą miecz, który odbija Grayswandira, a jego stare ramię porusza starą dłonią, która chwytając Darę odciąga ją przez poręcz tronu... Ta podprogowa wizja dociera do mnie chwilę później, gdy odskakuję rozcinając powietrze, odzyskuję równowagę i odruchowo uderzam en garde... Walka dwóch duchów jest śmieszna. Tutaj jest także nierówna. On nie może mnie osiągnąć, podczas gdy Grayswandir...

Ale nie! Puszczą Darę, wykonuje obrót i przerzuca miecz do drugiej ręki, na moment złączając razem starą i nową. Przesuwa się do tego, co – gdybyśmy mieli zwyczajne ciała – byłoby zwarciem



corps a corps. Na chwilę tylko nasze gardy blokują się nawzajem. Lecz ta chwila wystarcza...

Lśniaca, mechaniczna dłoń sięga w przód – aparat z księżycowego blasku i płomienia, czerni i gładkich płaszczyzn, same kąty, bez żadnych łuków, z lekko ugiętymi palcami. Na dłoni srebrzysty, na wpół znajomy wzór... Sięga do przodu, sięga ku mnie, chwytając mnie za gardło...

Chyba, palce zaciskają się na moim ramieniu, zakrzywiony kciuk próbuje się wbić w krtań czy obojczyk. Wyprowadzam cios z lewej na jego korpus, ale nic tam nie ma...

Głos Rando:

– Corwinie! Za chwilę wszędzie słońce! Musisz wracać!

Nie mogę nawet odpowiedzieć. Jeszcze sekunda czy dwie, a ta dłoń wyrwie to, co chwyciła. Ta dłoń... Grayswandir i ta dłoń, dziwnie do siebie podobne, to jedyne przedmioty współistniejące w moim świecie i mieście duchów...

– Widzę, Corwinie! Wyrwij się i sięgnij do mnie! Atut...

Uwalniam Grayswandira z blokady, zataczam krąg, prowadzę cięcie w dół...

Jedynie duch mógłby pokonać Benedykta czy ducha Benedykta, takim manewrem. Stoimy zbyt blisko siebie, by odbił moją klingę, ale jego idealnie wyprowadzona riposta odcięłaby mi ramię, gdyby istniało ramię, w które trafiłoby ostrze...

Ale nie ma go, więc kończę cięcie, z pełną siłą uderzając w to śmiertelnie groźne urządzenie z księżycowego światła i płomienia, czerni i gładkich płaszczyzn, tuż poniżej miejsca, gdzie łączy się z jego ciałem.

Czuję ból w ramieniu, ręka Benedykta odpada i nieruchomieje... Padamy obaj.

– Wstawaj! Na jednoróżca, Corwinie, podnieś się! Wschodzi słońce! To miasto rozpadnie się wokół ciebie! Podłoga kołysze się i staje się mgliście przejrzysta. Dostrzegam obszar wody pokrytej łuskami światła. Przetaczam się i podnoszę, ledwie unikając ataku widma, próbującego odzyskać rękę, którą utraciło. Zwisa mi z ramienia jak martwy pasożyt, a rana znowu zaczyna boleć...

Nagle staję się ciężki, a wizja oceanu nie znika. Zaczynam się zapadać. świat odzyskuje kolor i suną faliste pasy różu. Gardząca Corwinem podłoga rozstępuje się, rozwierając corwinobójczą otchłań...

Spadam...

– Tutaj, Corwinie! Teraz!

Random stoi na szczycie i sięga ku mnie. Wyciągam rękę...

# Rozdział 11

---

... A deszcze bez rynien nieczęsto padają między nimi...

Rozplątałem się i podnieśliśmy z ziemi. Usiadłem natychmiast na najniższym stopniu i oderwałem metalową dłoń od ramienia – ani śladu krwi, ale zapowiedź solidnych siniaków. Cisnąłem ją na ziemię. światło wczesnego poranka nie wpłynęło na jej perfekcyjny, groźny kształt.

Obok mnie stali Ganelon i Random.

– Wszystko w porządku, Corwinie?

– Tak. Dajcie mi trochę odetchnąć.

– Zabrałem prowiant – oznajmił Random. – Możemy zjeść tu śniadanie.

– Dobry pomysł.

Random zabrał się do rozpakowywania zapasów, a Ganelon czubkiem buta popchnął rękę.

– Co to jest, u diabła?

Pokręciłem głową.

– Odrąbałem to duchowi Benedykta – wyjaśniłem. – Nie wiem, w jaki sposób, ale zdołał mnie tym dosięgnąć.

Pochylił się, podniósł rękę i obejrzał ją dokładnie.

– O wiele lżejsza, niż się wydaje – zauważył. Machnął nią w powietrzu. – Taką ręką nieźle można kogoś załatwić.

– Wiem.

Zaczął poruszać palcami.

– Może prawdziwy Benedykt mógłby jej używać.

– Może – przyznałem. – Mam raczej mieszane uczucia, jeśli chodzi o ofiarowanie mu takiego prezentu, ale niewykluczone, że masz rację...

– Jak twoja rana?

Dotknąłem jej delikatnie.

– Całkiem nieźle, jeśli wziąć pod uwagę okoliczności. Po śniadaniu pewnie będę mógł dosięść konia, pod warunkiem, że pojedziemy wolno i spokojnie.

– To dobrze. Słuchaj, Corwinie, póki Random szykuje jedzenie, chciałbym ci zadać pewne pytanie. Wiem, że jest nie na temat, ale męczony mnie od dłuższego czasu.

– Pytaj.

– Może tak: popieram cię całkowicie. Inaczej by mnie tu nie było. Będę walczył o to, żebyś zdobył ten swój tron, niezależnie od sytuacji. Ale za każdym razem, gdy rozmowa zahacza o sukcesję, ktoś się denerwuje i obraża albo zmienia temat. Choćby Random, kiedy byłeś tam, na górze. Nie sądzę, bym koniecznie musiał poznać podstawy twoich roszczeń, tak samo jak pretensji pozostałych, ale nie umiem pohamować ciekawości co do powodów tego tarcia.

Westchnąłem ciężko i przez chwilę siedziałem w milczeniu.

– No dobrze – zgodziłem się wreszcie. – Jak chcesz. Jeśli sami nie potrafimy dojść w tej sprawie do zgody, ktoś z zewnątrz musi się czuć całkiem zagubiony.

Benedykt jest najstarszy. Jego matką była Cymnea. Dała ojcu jeszcze dwóch synów, Osrica i Frondo. Potem... jak by to wyrazić? Faiella urodziła Eryka. Jeszcze potem tato doszukał się jakichś nieprawidłowości w swoim małżeństwie z Cymneą i rozwiązał je, ab initio, jak by powiedzieli w moim dawnym cieniu – od początku. Sprytna sztuczka. No, ale przecież był królem.

– Czy w ten sposób stali się dziećmi z nieprawego łoża?

– W każdym razie ich pozycja nie była już tak pewna. Osric i Frondo zirytowali się bardziej niż trochę, ale niedługo potem zginęli obaj. Benedykt zirytował się mniej albo zachował w tej sprawie bardziej polityczny umiar. Nigdy nie zgłaszał pretensji. Później tato poślubił Faiellę.

– I Eryk został prawowitym następcą?

– Zostałby, gdyby tato uznał go za dziedzica. Traktował go jak własne dziecko, ale nigdy nie przeprowadził żadnych działań formalnych. Doprowadziłoby to do pogorszenia stosunków z rodziną Cymnei, nabierającą właśnie znaczenia.

– A jednak traktował go jak swojego...

– Tak. Ale Llewelle uznał formalnie. Przyszła na świat ze związku pozamałżeńskiego, a jednak potwierdził jej prawa. Biedna dziewczyna. Wszyscy zwolennicy Eryka nienawidzili jej za to. W każdym razie Faiella miała potem zostać moją matką. Urodziłem się bezpiecznie, z prawego łoża, i stałem się pierwszym potomkiem z prawomocnym tytułem do tronu. Gdybyś porozmawiał z kimś innym, mógłby tłumaczyć wszystko inaczej, ale musiałby się opierać na tych samych faktach. Właściwie nie sądzę, by było to nadał takie ważne, skoro Eryk nie żyje, a Benedykt nie przejawia zainteresowania... Ale tak właśnie sprawa wygląda.

– Rozumiem – oświadczył. – Mniej więcej. Jeszcze jedno...

– Co?

– Kto jest następny? To znaczy, gdyby coś ci się przytrafiło...

Pokręciłem głową.

– W tym punkcie sprawy komplikują się jeszcze bardziej. Następny byłby Caine. Skoro zginął, sukcesja przejdzie chyba na dzieci Clarissy, te rudowłose. Najpierw Bleys, potem Brand.

– Clarissy? Co się stało z twoją matką?

– Umarła przy porodzie. Tym dzieckiem była Deirdre. Tato nie zenił się przez wiele lat po jej śmierci.

W końcu znalazł jakąś rudą dziwkę z cienia daleko na południu. Nigdy jej nie lubiłem. Po pewnym czasie tato zaczął podzielać moje uczucia i znowu szukał okazji gdzieś na boku. Pogodzili się raz, po urodzinach Llewelli w Rebmie. Brand jest wynikiem tej zgody. Kiedy się wreszcie rozwiedli, tato uznał Llewelle, by zrobić Clarissie na złość. W każdym razie, tak mi się wydaje.

– Więc nie liczysz dam w kolejce do tronu?

– Nie. Żadna z nich nie przejawia zainteresowania ani odpowiednich cech charakteru. Gdyby je jednak wliczyć, Fiona byłaby przed Bleyssem, a po nim Llewella. Po dzieciach Clarissy przysłaby kolej na Juliana, Gerarda i Randoma, w tej właśnie kolejności. Przepraszam; dołącz jeszcze Flore przed Julianem. Układy małżeńskie są dość złożone, ale nikt nie zaprotestuje przeciw takiemu porządkowi. To chyba wszystko.

– Zupełnie wystarczy – stwierdził. – Więc teraz, gdybyś zginął, na scenę wchodzi Brand?

– Wiesz... Sam przyznał, że jest zdrajcą. A poza tym wszystkich drażni i nie wierzę, by pozostali zgodzili się na niego. Chociaż, nie wierzę też, by zrezygnował.

– Ale alternatywą jest Julian.

Wzruszyłem ramionami.

– Z faktu, że go nie lubię, nie wynika jeszcze, że się nie nadaje. Sądzę nawet, że mógłby zostać bardzo sprawnym władcą.

– Więc dźgnął cię sztyletem, by zyskać szansę dowiedzenia tego – zawołał Random. – Chodźcie jeść.

– Nadal w to nie wierzę – oświadczyłem wstając. – Przede wszystkim nie rozumiem, jak mógłby

się do mnie dostać. Po drugie, wszystko byłoby nazbyt oczywiste. Po trzecie, gdybym zginął w najbliższej przyszłości, Benedykt miałby wiele do powiedzenia w sprawie sukcesji. Wszyscy o tym wiedzą. Jest najstarszy, mądry i ma siłę. Mógłby powiedzieć, na przykład: "Dość tego gadania, popieram Gerarda" i to by było na tyle.

– A gdyby postanowił przeinterpretować własny status i samemu sięgnąć po władzę? – spytał Ganelon.

Usiedliśmy na trawie i chwyciliśmy napełnione przez Randoma blaszane talerze.

– Gdyby chciał, już dawno mógł to zrobić – stwierdziłem. – Jest kilka sposobów traktowania potomstwa z unieważnionego małżeństwa. Najbardziej przychylny jest najbardziej prawdopodobny. Osric i Frondo byli zbyt pochopni w sądach i przyjęli najgorszą wersję.

Benedykt okazał się mądrzejszy. Po prostu czekał. A zatem... Tak, to możliwe. Choć nie sądzę, by nastąpiło.

– Czyli przyjmując normalny bieg rzeczy – jeśli coś ci się stanie, kwestia pozostaje właściwie otwarta?

– Otwarta.

– Ale dlaczego zabito Caine'a? – spytał Random.

Po czym, między dwoma kęsami, sam sobie odpowiedział: – Po to, że kiedy załatwię ciebie, sukcesja przejdzie od razu do dzieciaków Clarissy. Przyszło mi do głowy, że Bleys ciągle jeszcze żyje, a jest następny w kolejce. Nie znaleziono jego ciała. Uważam, że było tak: w czasie waszego ataku wyatutował się do Fiony, wrócił do Cienia, by odbudować swoją armię, a ciebie zostawił na pewną – jego zdaniem – śmierć z rąk Eryka. Teraz jest gotów, by ruszyć znowu. Dlatego zabili Caine'a i ciebie też próbowali zlikwidować. Jeśli sprzymierzyli się z hordą czarnej drogi, mogli przygotować jeszcze jeden szturm. Chce pewnie powtórzyć twój numer: zjawić się w ostatniej chwili, odeprzeć najeźdźców i ruszyć dalej. Znalazłby się w znakomitej pozycji: następny w kolejności i pierwszy siłą. Proste. Tyle że ty przeżyłeś, a Branda ściągnęliśmy z powrotem. Gdyby wierzyć oskarżeniom Branda pod adresem Fiony – a nie wiem, czemu mielibyśmy mu nie wierzyć – wszystko to wynika z ich oryginalnego planu.

– Możliwe – pokiwałem głową. – O to samo pytałem Branda. Przyznał, że istnieje taka ewentualność, ale zaprzeczył posiadaniu jakichkolwiek wiadomości o Bleysie. Prywatnie uważam, że kłamał.

– Dlaczego?

– Może chce połączyć zemstę za swoje uwięzienie i próbę zabójstwa z usunięciem jedynej poza mną przeszkody dzielącej go od tronu. Moim zdaniem, uważa, że zniknę ze sceny w efekcie planu, jaki układa, by rozwiązać problem czarnej drogi. Rozbicie własnej grupy i zniszczenie drogi sprawi, że wyda się całkiem porządnym facetem, zwłaszcza że odbył już pokutę. Wtedy, właśnie wtedy, może zyskać pewne szanse. Albo wydaje mu się, że może.

– Więc też uważasz, że Bleys jeszcze żyje?

– To tylko przeczucie, ale tak, tak właśnie uważam.

– Na czym właściwie polega ich siła?

– Przewaga wykształcenia – odparłem. – Fiona i Brand uważali na to, co mówi Dworkin podczas gdy reszta zaspokajała swoje zachcianki gdzieś w Cieniu. W rezultacie, lepiej od nas rozumieją zasady. Więcej wiedzą o Cieniu i o tym, co leży poza nim, więcej o Wzorcu i o Atutach. Właśnie dlatego Brand potrafił ci przesłać wiadomość.

– Ciekawy pomysł – zadumał się Random. – Czy nie sądzisz, że mogli się pozbyć Dworkina, gdy tylko uznali, że dowiedzieli się już dosyć? W ten sposób zachowaliby wyłączność, gdyby cokolwiek

zdarzyło się tacie.

– Nie przyszło mi to do głowy.

Zastanawiałem się, czy mogli zrobić coś, co uszkodziło jego umysł i sprawiło, że stał się taki, jakim go widziałem przy naszym ostatnim spotkaniu? Jeśli tak, to czy się domyślali, że jeszcze żyje? Czy też przyjęli za pewnik jego ostateczne odejście?

– Tak, to ciekawy pomysł – powtórzyłem. – Myślę, że to niewykluczone.

Słońce pięło się wolno w górę, a śniadanie dodało mi sił. W świetle poranka nie pozostał żaden ślad po Tir-na Nog'th. Moje wspomnienia o nim zbladły, osiągając ostrość obrazów w mętym zwierciadle. Ganelon podniósł jedyną pamiątkę, rękę, a Random spakował ją razem z nakryciami. W blasku dnia stopnie wyglądały mniej jak stopnie, a bardziej jak popękana skała. Random skinął głową.

– Wracamy tą samą trasą? – zapytał.

– Tak – odparłem. Wskoczyliśmy na siodła. Przybyliśmy tu drogą wijącą się południowym zboczem Kolviru. Była dłuższa, ale wygodniejsza od szlaku biegnącego wzdłuż grzbietu. Postanowiłem sobie dogadzać, póki rana nie przestanie mi dokuczać.

Wykręciliśmy więc w prawo i ruszyliśmy jeden za drugim. Random prowadził, Ganelon zamykał kolumnę. Szlak wznosił się nieco w górę, by zaraz opaść ostro w dół. Powietrze było chłodne i niesło aromaty zieleni i wilgotnej gleby – rzecz raczej niezwykła w tym nagim miejscu i na tej wysokości. Pewnie jakieś zabłąkane podmuchy, pomyślałem, z lasów rosnących o wiele niżej.

Pozwoliliśmy koniom dobrać własne tempo po drodze w dół i na podjeździe. Gdy zbliżaliśmy się do grzbietu, wierzchovec Randoma zarżał nagle i stanął dęba.

Random opanował go natychmiast, a ja rozejrzałem się uważnie. Nie zauważyłem niczego, co mogłoby przestraszyć zwierzę. Na szczycie Random zwolnił.

– Rzuć okiem na to słońce, co? – zawołał przez ramię. Trudno byłoby tego nie zrobić, ale nie powiedziałem o tym głośno. Random nieczęsto dawał wyraz sentymentom dla roślinności, geologii czy oświetlenia. Sam prawie ściągnąłem cugle, gdy dotarłem do szczytu, gdyż słońce było fantastycznie złotą kulą, półtora raza większą niż zwykle. Jego przedziwny odcień nie przypominał niczego, co dotąd oglądałem. Wywoływał cudowne efekty na pasie oceanu, jaki pojawił się za kolejnym wzniesieniem. Chmury i niebo nabrały niezwykłych barw. Nie zatrzymałem się jednak, gdyż nagła jasność była niemal bolesna.

– Masz rację – krzyknąłem, zjeżdżając za nim w dół. Za moimi plecami Ganelon zaklął z podziwem.

Kiedy wymrugałem z oczu powidoki tej iluminacji, zauważyłem, że roślinność była bogatsza, niż ją zapamiętałem w tym małym zakątku tuż pod niebem. Zdawało mi się, że rośnie tu parę karłowatych drzew i parę plam mchu na kamieniach. Tymczasem widziałem kilkadziesiąt drzew – większych, niż mi się wydawało i bardziej zielonych – tu i tam kępkę trawy, pnącze czy dwa, zmiękczające ostre kształty skał. Mogłem się pomylić, w końcu przejeżdżałem tędy po ciemku. Stąd pewnie dobiegały zapachy, jakie czułem wcześniej. Odniosłem też wrażenie, że mała kotlinka stała się szersza niż poprzednio. Zanim znowu ruszyliśmy w górę, byłem tego pewien.

– Random – zawołałem. – Czy to miejsce nie zmieniło się trochę?

– Trudno powiedzieć – odkrzyknął. – Eryk nie wypuszczał mnie zbyt często. Chyba urosło.

– Wydaje się większe... szersze.

– Owszem. Ale myślałem, że to tylko moja wyobraźnia.

Gdy dotarliśmy do następnego wzniesienia, słońce nie oślepiło mnie, gdyż przesłoniły je liście. Kotlinkę przed nami porastało więcej drzew, niż tę, którą właśnie opuściliśmy. Były też większe i

rosły bliżej siebie. ściągnęliśmy cugle.

– Tego nie pamiętam – oświadczył Random. –

Zauważyłbym to przecież, nawet nocą. Chyba źle skręciliśmy.

– Nie mam pojęcia jak. Mimo wszystko wiemy, gdzie jesteśmy. Wolę raczej jechać naprzód, niż wracać i zaczynać od nowa. Zresztą, powinniśmy poznawać tereny wokół Amberu.

– Zgadza się.

Ruszył w stronę lasu, a my podążyliśmy za nim.

– To dość niezwykle na takiej wysokości – zawołał. – Za dużo tu rośnie.

– Warstwa gleby musi być grubsza, niż się nam wydawało.

– Chyba masz rację.

Gdy tylko znaleźliśmy się wśród drzew, droga wykręciła ostro w lewo. Nie wiedziałem, dlaczego odchyła się od linii prostej, ale potęgowało to wrażenie dystansu. Trzymaliśmy się szlaku. Po chwili znowu zawrócił w prawo, a przed nami otworzył się niezwykle widok. Drzewa stały się jeszcze wyższe i rosły tak gęsto, że spoza nich nie widać było nieba, ścieżka skręciła raz jeszcze i spory kawałek biegła prosto. Szczerze mówiąc zbyt daleko. Nasza mała kotlinka po prostu nie miała dostatecznej szerokości. Random zatrzymał się znowu.

– Do licha, Corwinie, to śmieszne! – oświadczył. – Mam nadzieję, że nie robisz żadnych numerów?

– Nie potrafiłbym, nawet gdybym chciał – odparłem. – Nigdy nie umiałem manipulować Cieniem na Kolvirze. W teorii nie ma tu żadnych cieni, z którymi można pracować.

– Też mi się tak wydawało. Amber rzuca Cień, ale sam nie jest elementem Cienia. Może jednak zawrócimy?

– Mam przeczucie, że nie znajdziemy powrotnej drogi. To wszystko musi mieć jakąś przyczynę i chciałbym ją poznać.

– Boję się, czy to nie pułapka.

– Nawet wtedy.

Kiwnął głową i ruszyliśmy ocienioną ścieżką, pod nieruchomymi liśćmi. Wokół panowała cisza. Teren był płaski, a szlak biegł prosto. Odruchowo popędziliśmy konie.

Przez jakieś pięć minut żaden z nas nie odezwał się ani słowem. Potem przemówił Random.

– Corwinie, to nie jest Cień.

– Dlaczego nie?

– Próbuję na niego wpłynąć i nic się nie dzieje. Ty też próbowałaś?

– Nie.

– Więc może spróbuj.

– Dobra.

Głaz mógłby wystawać z ziemi za najbliższym drzewem, promienie słońca oplatać pnącza i dzwonki w tamtej kępie krzaków... Powinno się zjawić czyste niebo, z maleńką chmurą jak pasmo dymu... Potem, niech leży odłamany konar, ze schodkowatą hubą na korze... Zarośnięty staw... żaba... Opadające piórko, unoszone wiatrem nasienie... Gałąź, skręcana w taki sposób... Inny szlak, świeżo wycięty i krzyżujący się z naszym, tuż za miejscem, gdzie piórko powinno spaść na ziemię...

– Nic z tego – oświadczyłem.

– Jeśli to nie jest Cień, to co?

– Coś innego, oczywiście.

Pokręcił głową i sprawdził, czy klinga lekko wychodzi z pochwy. Zrobiłem to samo. Chwilę później usłyszałem cichy szcęk miecza Ganelona.

Przed nami szlak zwężał się i zaczął zakręcać. Musieliśmy zwolnić, drzewa rosły gęściej i wyciągały swe gałęzie niżej niż przedtem. Szlak stał się dróżką, biegł naprzód, skręcał, zakreślił końcowy łuk i wreszcie zniknął.

Random uchylił się przed sterczącą gałęzią, podniósł rękę i zatrzymał konia. Stanęliśmy przy nim. Jak daleko sięgałem spojrzeniem przed siebie, nie dostrzegałem nawet śladu naszej ścieżki. Obejrzawszy się, też niczego nie zauważyłem.

– Domyśły – stwierdził Random – byłyby teraz bardzo pożądane. Nie wiemy, gdzie byliśmy i dokąd zmierzamy, nie mówiąc już o tym, gdzie jesteśmy.

Proponuję odesłać ciekawość do diabła i wydostać się stąd najszybszym możliwym sposobem.

– Atuty? – spytał Ganelon.

– Tak. Co ty na to, Corwinie?

– Zgoda. Nie podoba mi się tu i nie mam żadnego lepszego pomysłu. Do roboty.

– Kogo mam wezwać? – spytał, wyjmując talię z futerału. – Gerarda?

– Tak.

Przerzucił karty, znalazł Atut Gerarda i wpatrzył się w portret. My wpatrzyliśmy się w niego. Czas płynął.

– Nie mogę do niego dotrzeć – oznajmił w końcu.

– Spróbuj z Benedyktem.

– Dobrze.

Powtórka akcji. Bez rezultatu.

– Teraz Deirdre – powiedziałem, wyjmując własną talię i wybierając Atut. – Pomogę ci. Zobaczymy, czy się uda, jeśli spróbujemy razem.

I znowu. I jeszcze raz.

– Nic – stwierdziłem po dłuższej chwili.

Random pokręcił głową.

– Zauważyłeś, że Atuty są jakieś niezwykłe? – spytał.

– Tak, ale nie wiem, na czym to polega. Wydają się inne.

– Moje jakby się rozgrzały. Kiedyś były zimniejsze. Przetasowałem swoją talię. Dotknąłem palcami kart.

– Tak, masz rację – przyznałem. – To właśnie to.

Ale próbujmy dalej. Może Florę.

– Zgoda.

Wyniki były identyczne. Z Llewellä także. I z Brandem.

– Domyślasz się, czemu nie ma kontaktu? – spytał Random.

– Nie. Nie mogą przecież wszyscy nas blokować.

Nie mogli wszyscy zginąć... No, właściwie mogli, ale to mało prawdopodobne. Coś musiało wpłynąć na same Atuty. Nigdy nie słyszałem, by coś wywierało takie efekty.

– Producent nie dawał stuprocentowej gwarancji – stwierdził Random.

– Wiesz coś, czego ja nie wiem?

Uśmiechnął się.

– Nigdy nie zapominasz dnia, gdy stałeś się dorosły i pierwszy raz przeszedłeś Wzorzec – powiedział. – Pamiętam ten dzień, jakby się zdarzył przed rokiem. Kiedy mi się udało, kiedy stałem zarumieniony z podniecenia i dumy, Dworkin wręczył mi mój pierwszy komplet Atutów i poinstruował, jak ich używać. Dokładnie sobie przypominam, jak go zapytałem, czy działają w każdym miejscu. I pamiętam jego odpowiedź. "Nie", stwierdził. "Ale powinny ci służyć wszędzie,

gdzie się znajdziesz".

Wiesz, że nigdy za mną nie przepadał.

– A czy spytałeś, co ma na myśli?

– Tak, a on powiedział: "Wątpię, czy kiedykolwiek osiągniesz stan, w którym Atuty cię zawiodą.

A teraz uciekaj". Tak też zrobiłem. Nie mogłem się doczekać, żeby sam się pobawić Atutami.

– "Osiągniesz stan"? Nie powiedział "znajdziesz się w miejscu"?

– Nie. Wiesz, że w pewnych sprawach mam znakomitą pamięć.

– Dziwne... chociaż nie na wiele nam się przyda. Zalatuje metafizyką.

– Założę się, że Brand by zrozumiał.

– Chyba masz rację, ale co nam z tego przyjdzie?

– Powinniśmy coś robić, zamiast dyskutować o metafizyce – oświadczył Ganelon. – Jeśli nie potraficie kształtować Cienia i nie możecie skorzystać z Atutów, to należy określić, gdzie się znajdujemy. A potem poszukać pomocy.

Kiwnąłem głową.

– Ponieważ nie jesteśmy w Amberze, można chyba bezpiecznie założyć, że znaleźliśmy się w Cieniu – w jakimś niezwykłym miejscu, całkiem blisko Amberu, gdyż przemiana nie była skokowa. Ponieważ zostaliśmy przeniesieni bez aktywnego współdziałania z naszej strony, za tym manewrem musi się kryć jakaś siła, być może działająca świadomie. Jeśli zechce nas zaatakować, równie dobrze może to zrobić teraz. Jeśli chce czegoś innego, musi nam to okazać, ponieważ nie mamy najmniejszej szansy na odgadnięcie tego samodzielnie.

– Więc proponujesz nic nie robić?

– Proponuję poczekać. Nie widzę sensu dalszego błądzenia. Pogubimy się tylko.

– Mówiłeś kiedyś, że przyległe cienie z reguły bywają podobne – odezwał się Ganelon.

– Tak, chyba mówiłem. I co z tego?

– Jeśli jesteśmy tak blisko Amberu, jak przypuszczasz, to wystarczy pojechać w kierunku wschodzącego słońca, by dotrzeć do punktu, gdzie w Amberze leży miasto.

– To nie jest takie proste. A nawet gdyby, to co nam z tego przyjdzie?

– Może w punkcie maksymalnej zbieżności zaczną działać Atuty.

Random spojrział na Ganelona, potem na mnie.

– Warto spróbować – stwierdził. – Co mamy do stracenia?

– Tę odrobinę orientacji, jaką jeszcze dysponujemy – odparłem. – Chociaż sam pomysł nie jest zły. Jeśli tutaj nic się nie będzie działo, spróbujemy. Z drugiej strony, jeśli spojrzysz za siebie, stwierdzisz, że droga z tyłu zamyka się w odległości wprost proporcjonalnej do przebytego dystansu. Poruszamy się nie tylko w przestrzeni. W tej sytuacji wolałbym nie błądzić, póki się nie upewnię, że nie ma innego wyjścia. Jeżeli ktoś pragnie naszej obecności w określonym miejscu, powinien wyraźniej sformułować zaproszenie. Czekamy.

Zgodzili się obaj. Random zaczął zsiadać z konia, ale zamarł nagle z jedną stopą na ziemi, drugą w strzemieniu.

– Po tylu latach – powiedział. – Nigdy tak naprawdę nie wierzyłem...

– Co jest? – szepnąłem.

– Inne wyjście – odparł, wskakując na siodło. Jego koń ruszył bardzo wolno do przodu. Popędziłem swojego i po chwili dostrzegłem go: biały, jak wtedy w gaju, stał na pół schowany w kępie paproci. Jednorożec.

Zawrócił, gdy się poruszyliśmy, po sekundzie wyprysnął do przodu i stanął ukryty częściowo za pniami drzew.



– Widzę go! – szepnął Ganelon. – Pomyśleć, że takie zwierzę naprawdę istnieje... To wasze rodzinne godło, prawda?

– Tak.

– Moim zdaniem to dobra wróżba.

Nie odpowiedziałem. Jechałem, nie tracąc Jednorożca z oczu. Byłem pewien, że chce, byśmy podążali za nim. Udawało mu się ani razu nie ukazać w całości – wyglądał zza czegoś, przebiegał od kryjówki do kryjówki, poruszał się z niewiarygodną szybkością i unikał otwartych polanek, wybierając cieniste zagajniki. Zagłębialiśmy się coraz dalej w las, niepodobny teraz do niczego, co można było znaleźć na zboczach Kolviru. Najbardziej przypominał Arden, gdyż teren był stosunkowo płaski, a drzewa coraz większe i większe.

Minęła godzina, potem druga, nim wreszcie dotarliśmy do kryształowo czystego strumyka, a Jednorożec podążył w górę jego nurtu. Jechaliśmy wzdłuż brzegu.

– Okolica zaczyna się wydawać mniej więcej znajoma – zauważył Random.

– Ale tylko mniej więcej – odparłem. – Sam nie wiem, czemu.

– Ja też nie.

Wkrótce potem wjechaliśmy na zbocze, coraz bardziej strome. Konie szły z trudem, ale Jednorożec dostosował tempo do ich możliwości. Grunt stał się kamienisty, a drzewa niższe. Strumyk wił się i wreszcie straciłem go z oczu, zbliżaliśmy się już jednak do szczytu wzniesienia.

Trafiliśmy na płaski teren i ruszyliśmy w stronę lasu, skąd wypływał strumień. Wtedy zobaczyliśmy – przed nami i trochę z prawej, ponad miejscem, gdzie teren opadał gwałtownie – zimnobłękitne morze, daleko w dole.

– Dotarliśmy całkiem wysoko – zauważył Ganelon. – Zdawało się, że to nizina, ale...

– Gaj Jednorożca! – przerwał mu Random. – To właśnie przypomina! Patrzcie!

Nie mylił się. Przed nami leżała polana zarzucona głazami. Między nimi tryskało Źródło – początek strumienia, którego tropem dotarliśmy aż tutaj. Całość zdawała się większa i – według mojego wewnętrznego kompasu – znajdowała się w nieprawidłowym miejscu, ale podobieństwo nie mogło być czysto przypadkowe. Jednorożec wspiał się na skałę koło Źródła, spojrzął na nas i odwrócił się. Może patrzył na ocean.

Gdy jechaliśmy dalej, gaj, Jednorożec, drzewa wokół nas i strumień obok nabrały niezwyklej wyrazistości, jakby promieniowały własnym światłem, pulsującym barwami, a jednocześnie rozmywającym kontury na samej granicy percepcji. Wywołało to dziwne uczucie, zbliżone do emocjonalnego tła piekielnego rajdu.

Wtedy, wtedy i wtedy, z każdym krokiem mojego wierzchowca, coś zniknęło z otaczającego nas świata. Relacje przestrzenne odmieniły się, krusząc wrażenie głębi, niszcząc perspektywę, na nowo aranżując układy obiektów w polu widzenia. Zdawało się, że każda rzecz zwraca ku mnie całą swą zewnętrzną powierzchnię, nie zajmując przy tym więcej miejsca; przeważały kąty, a stosunki rozmiarów wydały się nagle bezsensowne.

Koń Randoma zarżał i stanął dęba, ogromny, apokaliptyczny, w jednej chwili przywodzący mi na myśl Guernicę. Z lękiem spostrzegłem, że niezwykle fenomen działa również na nas – że Random walczący z wierzchowcem, i Ganelon, kontrolujący swojego Świetlika, także zostali przekształceni tą kubistyczną wizją przestrzeni.

Gwiazda jednak był weteranem wielu piekielnych rajdów, a świetlik także wiele przeżył. Przylgnęliśmy do ich grzbietów wyczuwając ruch, którego nie mogliśmy ocenić. Randomowi udało się w końcu narzucić zwierzęciu swoją wolę. Jechaliśmy naprzód, a otoczenie zmieniało się ciągle.

Zmieniły się wartości oświetlenia. Niebo poczerniało, nie jak nocny firmament, ale jak płaska, nic

odbijająca światła powierzchnia. Podobnie niektóre puste obszary pomiędzy obiektami. Jedyne blask, jaki pozostał w tym świecie, zdawał się promieniować z samych przedmiotów.

Był coraz jaśniejszy. Płaszczyzny egzystencji emitowały biel o różnych stopniach intensywności, a najjaskrawszy ze wszystkiego, wspaniała i straszny Jednorożec stanął nagle dęba i uderzył kopytami w powietrze, wypełniając spowolnionym ruchem jakieś dziewięćdziesiąt procent kreacji. Bałem się, że unicestwi nas, jeśli posuniemy się choćby o krok dalej.

Potem było już tylko światło.

Potem absolutny bezruch.

Potem światło zniknęło i nie pozostało już nic. Nawet ciemność. Przerwa w istnieniu; mogła trwać tylko chwilę, albo całą wieczność...

Potem wróciła ciemność, a po niej światło. Tyle że odwrócone. Blask wypełniał przerwy i rysował kontury tego, co pewnie było obiektami. Pierwszym dźwiękiem, jaki usłyszałem, był szum wody i wiedziałem wtedy, że zatrzymaliśmy się obok Źródła. Pierwszą rzeczą, jaką poczułem, było drżenie Gwiazdy. Później doleciał zapach morza.

Pojawił się Wzorzec, a raczej jego zniekształcony negatyw...

Pochyliłem się do przodu i zza krawędzi przedmiotów wyciekło więcej światła. Cofnąłem się i zniknęło. Znowu do przodu, tym razem dalej... światło rozlewało się, wprowadzając do świata kolejne odcienie szarości. Delikatnym ruchem kolan zasugerowałem Gwieździe, by ruszył.

Z każdym krokiem coś powracało: powierzchnie, struktury, kolory...

Za mną ruszyli dwaj pozostali. Pode mną Wzorzec nie zdradzał nawet cząstki swych sekretów, zyskał jednak kontekst i stopniowo umiejscowił się w ramach ogólnego przekształcania świata wokół nas.

Jechaliśmy w dół. Pojawiło się wrażenie głębi. Morze, wyraźnie teraz widoczne, zostało – może czysto optycznie – oddzielone od nieba, z którym przez chwilę łączyło je jakby Urmeer wód w górze i wód na dole – zjawisko niepokojące po fakcie, lecz nie dostrzeżone, gdy trwało. Zmierzaliśmy w dół stromym, skalistym zboczem, opadającym od tylnej części gaju, do którego doprowadził nas jednorożec. Jakieś sto metrów poniżej znajdowała się idealnie pozioma płaszczyzna jakby równej, gładkiej skały. Była mniej więcej owalna i miała kilkaset metrów długości wzdłuż głównej osi. Zbocze odchyłało się na lewo i powracało, zakreślając szeroki łuk, jakby wielki nawias otaczający gładką powierzchnię.

Poza jej prawym brzegiem nie było nic – grunt opadał stromym urwiskiem ku temu dziwnemu morzu. Po drodze wszystkie trzy wymiary odzyskały właściwe relacje. Słońce było ogromną kulą roztopionego złota, jaką widzieliśmy przedtem. Niebo miało głębszy niż w Amberze odcień błękitu; nie widziałem na nim śladu chmur. Błękitu morza nie zakłócały punkciki żagli ani plamy wysp. Nie było ptaków i słyszałem jedynie stuk kopyt naszych koni. Niezmierzona cisza zapadła nad tym miejscem i tym dniem. Wzorzec pojawił się w kręgu mego, wreszcie niczym nie zakłóconego, spojrzenia i zajął miejsce na płaskiej powierzchni pod nami. Z początku sądziłem, że jest wyryty w kamieniu, potem jednak zrozumiałem, że tkwi we wnętrzu – złocisto-różowe wiry przypominały żyłkowanie egzotycznego marmuru.

Zdawały się naturalne, mimo wyraźnej celowości linii.

Ściągnąłem cugle. Tamci stanęli przy mnie, Random po prawej stronie, Ganelon po lewej. Długi czas przyglądaliśmy się w milczeniu. Ciemna, bezkształtna smuga przesłaniała część Wzorca tuż przed nami, od krawędzi aż do samego środka.

– Wiesz co – odezwał się w końcu Random. – To wygląda, jakby ktoś ściął szczyt Kolviru mniej więcej na poziomie lochów.

– Zgadza się.

– Zatem, uwzględniając podobieństwo, mniej więcej w tym miejscu znajduje się nasz Wzorzec.

– Zgadza się – powtórzyłem.

– A ta ciemna plama sięga na południe, skąd biegnie czarna droga.

Wolno kiwnąłem głową, gdyż pojawiło się zrozumienie i zostało przekute w pewność.

– Co to jest? – zapytał Random. – Wydaje się odpowiadać realnemu stanowi rzeczy, ale poza tym nie pojmuję znaczenia. Po co nas tu sprowadzono i pokazano to wszystko?

– Na cieniu – Ziemi, który odwiedziliśmy – odezwał się Ganelon – i na którym spędziłeś tyle lat, słyszałem wiersz o dwóch drogach, które rozchodzą się wśród lasu. Wiersz kończy się słowami: "Ruszył mniej zdeptaną ścieżką i to zdecydowało". Kiedy go słuchałem, przyszło mi na myśl coś, o czym kiedyś wspomniałeś: "Wszystkie drogi prowadzą do Amberu". Zastanawiałem się wtedy, tak jak i teraz, czy to nie wybór decyduje, mimo że na pozór cel jest zupełnie pewny dla tych, co są twojej krwi.

– Wiesz? – spytałem. – Rozumiesz?

– Chyba tak.

Pokiwał głową, po czym wyciągnął rękę.

– Przed nami leży prawdziwy Amber, prawda?

– Tak – powiedziałem. – To prawdziwy Amber.

# **SPIS TREŚCI**

[Stronatytułowa](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

# Spis treści

[Strona tytułowa. 1](#)

[Rozdział 1. 2](#)

[Rozdział 2. 6](#)

[Rozdział 3. 20](#)

[Rozdział 4. 26](#)

[Rozdział 5. 34](#)

[Rozdział 6. 38](#)

[Rozdział 7. 46](#)

[Rozdział 8. 58](#)

[Rozdział 9. 69](#)

[Rozdział 10. 78](#)

[Rozdział 11. 85](#)